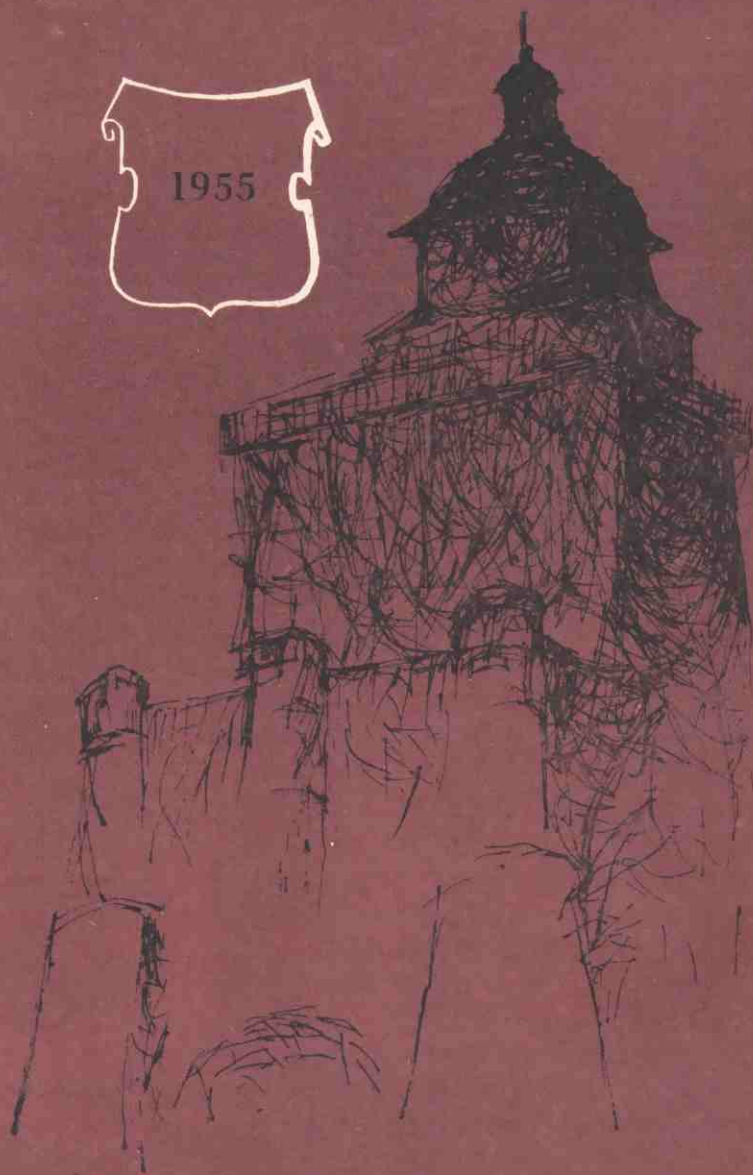




1955



KAMENA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXII LUBLIN NR 8-9 (102-103)

T R E Ś Ć

| | |
|---|----|
| ANTONI WALIGÓRA: Bunt starości | 1 |
| EUGENIUSZ GOŁĘBIEWSKI: Szkolna mizéria Filipa Jeżowskiego | 6 |
| JAKUB KOŁAS: Do Polaków — przeł. <i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i> | 9 |
| JANKA KUPAŁA: Wiosna — przeł. <i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i> | 9 |
| JANINA BRZOSTOWSKA: Kocham Warszawę | 10 |
| MARIA BEHCZYC-RUDNICKA: Droga w ciszy | 11 |
| JAN KOCZWARA: * * ; Rozmowa ze staruszką; Moje rodzinne | 14 |
| TADEUSZ CHABROS: Recenzja z recenzji | 15 |
| KONRAD EBERHARDT: Odejścia i dojścia | 19 |
| ANDRZEJ TURCZYŃSKI: Kandelabr Weimaru | 22 |
| JERZY MIKKE: „Oby wszyscy stanowili jedność” | 24 |
| JAN KOPROWSKI: Listy do więzienia | 27 |
| ZYGMUNT MIKULSKI: Wróżba; Aleja; Za radą rejowską | 28 |
| KONRAD BIELSKI: Lubelskie żywe kamienie | 30 |
| ANATOL STERN: Sonet magiczny | 32 |
| WACŁAW GRALEWSKI: Wczoraj i dziś | 32 |
| JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI: „Chciałem być chłopskim Petrarcką” | 35 |
| STANISŁAW BOJARCZUK: Żarna; Sosna; Wielki Dół; W południe | 40 |
| KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI: Gdybyśmy mieli taki teatr | 41 |
| WŁODZIMIERZ CHELMICKI: Wśród działkowców i miczurinowców | 45 |
| KSIĘGA POCHWAŁ, ŻYCZEŃ I ZAŻALEŃ NA LUBELSKIEJ WYSTAWIE ROLNICZEJ — (W) | 47 |

Z FRONTU KULTURALNEGO LUBELSZCZYZNY:

| | |
|---|----|
| ROMAN WALLNER: Sprawa musi być w dobrych rękach | 49 |
| STEFAN WOLSKI: Rozmowa o przyjaźni | 51 |
| WYCINANKA IGNACEGO DOBRZYŃSKIEGO — <i>jnk.</i> | 53 |
| HELENA PLATTA: Nowy Steinway, „Blue Rapsody” i ziarno, które zakiełkowało | 56 |

PIÓREM SZYDERCY:

| | |
|---|----|
| HUBERT KRZYŻANOWSKI: Wspomnienia festiwalowe; Kuplety o niedzielnych wczasach | 58 |
| WŁADYSŁAW ĆWIK: Gęsi za wodą | 60 |
| ZBIGNIEW STEPEK: Wyróżniona strona | 61 |

(Ciąg dalszy na stronie 3 okładki)

KAMENIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXII

LUBLIN, 1955

Nr 8-9 (102-103)

Antoni Waligóra

BUNT STAROŚCI

Jednym z najistotniejszych problemów kulturalnych w naszej rzeczywistości jest sprawa młodzieży artystycznej w ogóle, a literackiej w szczególności. Literackiej dlatego, że przecież słowo jest najbardziej komunikatywnym sposobem oddziaływania na środowisko ludzkie, dlatego, że słowo rozszerza lub zwęża granice naszego poznania. A więc problem młodzieży literackiej jest aktualny i z punktu widzenia przyszłości bardzo ważny.

Nic dziwnego, że w naszej epoce gigantycznych wstrząsów szukamy tych, co wypowiadają najbardziej ważne słowa, najlepiej wyrażają to, co głębokim ogarnęło nas nurtem, co żłobi dla tego nurtu nowe koryto.

Epoki przełomowe, a w takiej żyjemy, kształtowały się z wolna, poprzez długie i żmudne erozje, których siłą główną była walcząca myśl ludzka, szukająca ciągle i wiecznie nowych dróg. Ujawniały się natomiast nagle w obliczu walk rewolucyjnych lub kataklizmów, które dla wyzwolenia nowych sił wielce pomocne były.

Gdy fala walki nieco opada, gdy osiągnięcia wymagają podsumowania, zjawia się również wielka potrzeba utrwalenia nowego oblicza rzeczywistości w dziele artystycznym.

Dla literatów jest to sprawa napisania książki będącej wykonaniem nie tylko zamówienia społecznego, ale przede wszystkim zamówienia serca, stworzenia dzieła wynikającego z potrzeby wewnętrznej, ukazującego problem we właściwych proporcjach.

Zadanie jest wielkie i wcale nie łatwe — czego dowodem jest fakt niesporny, że mimo iż w okresie naszego dziesięciolecia napisano szereg interesujących książek, to jednak nikt z twórców nie

dał dzieła, o którym można by powiedzieć: oto książka, na którą czekaliśmy.

Dowodem jest i to, że tegoroczne nagrody państwowe w dziedzinie literatury koronują przeszłość, wyróżniając i nagradzając w drugim rzucie twórczość pionierską, obciążoną jeszcze wieloma niedostatkami. Żyjemy w okresie, w którym zagadnienie wojna czy pokój waży się na szalach dziejowych i choć zaczyna chylić się na rzecz pokoju, musimy jednak być czujni i ostrożni. Okres taki jest trudny dla twórców. Zbyt często swe najlepsze osiągnięcia artystyczne czerpali z materiałów umiejscowionych w tak zwanej perspektywie czasu. Ale wymogi teraźniejszości są nie mniej silne niż wymogi przeszłości i nie mniej mocnym głosem wołają o realizację. Rzeczywistość, w której żyjemy, dała dużo artystom i twórcom, usunęła z ich drogi wiele przeszkód, które dawniej niby przysłowiowe kłody waliły się im pod nogi. Żąda tylko w zamian jednego: związania się z jej potrzebami, wyrażenia dzisiejszej treści życia.

Zdawałoby się, że odzew na rzucone hasło powinien w pierwszym rzędzie zabrzmieć w szeregach młodzieży, że młodzież w walce ze starym powinna wyrzesać swoje twórcze nowe. Jeśli dziś w naszym dziesięcioleciu podsumujemy osiągnięcia z wielu dziedzin naszego życia, a w tej liczbie i dziedzin kulturalnych, to na specjalne podsumowanie zasługuje wkład dzieła młodzieży twórczej w naszą rzeczywistość.

Analizując ten wkład stwierdzić musimy, że w kręgu literatury jest on niewielki. Nie ma w tej chwili w Polsce grupy romantyków — rewolucjonistów, którzyby toczyli zacięte zwycięskie boje z klasykami — formalistami i w bo-

jach tych zdobywali pozycje pierwszeństwa i sławy, a swymi płomiennymi wypowiedziami zestrzeliwali w jedno ognisko duchy. A jakby takie zjawisko, gdyby było, radowało serca właśnie w roku Mickiewiczowskim.

Aby lepiej poznać sens tej sprawy, trzeba z bliska przyrzeć się młodzieży, która predestynowana jest do zajęcia pozycji po tych, którzy odedają.

My tutaj w Lublinie problem ten naświetlać będziemy od strony przykładów lokalnych. Właśnie nie tak dawno toczyła się na łamach miejscowego dodatku, noszącego nazwę „Kultura i Życie“, dyskusja na temat literackiej młodzieży. Prawda, że dyskusja ta nie była żywiołowa, nie miała szerszego zasięgu, nie wciągnęła w swe szranki najwybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa, a nawet, co najważniejsze, nie rozgrała młodzieży i nie wciągnęła dostatecznie w swój wir. Dlatego pokłosie jej nie było zbyt obfite — niemniej jednak dostarczyło charakterystycznych materiałów, które dla oceny problemu mieć będą pewne choć nie kluczowe znaczenie. Narybek literacki, jeśli wolno użyć określenia wziętego z dziedziny rybołówstwa czy też planowej gospodarki rybnej, jest dwojaki, zorganizowany i niezorganizowany. Pierwszy grupuje się w Kole Młodych przy Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich, drugi chodzi luzem i od czasu do czasu daje znać o swoim istnieniu przesyłając do redakcji pism swe utwory. Z pierwszym kontakt jest łatwy, z drugim — przypadkowy.

O życiu takiego narybku w przedwojennej kapitalistycznej Polsce dowiadaliśmy się wtedy, gdy któryś z jego przedstawicieli zaczął być drukowany i gdy te tematy poruszał. Np. głośny w swoim czasie „Wspólny pokój“ Unilowskiego (czy nie należałoby go jako dokumentu swojego rodzaju wznowić obecnie?), skonfiskowany na skutek zabiegów pewnych grup. Na młodzież literacką nikt wówczas nie zwracał uwagi, chyba że ona sama zaczynała krzyżeć i atakować, gdy obowiązującym konwenansom artystycznym rzucała w twarz wyzwanie. Taki atak wykonała w Lublinie w latach 1921—1925 młodzież zgrupowana przy czasopismach literackich noszących nazwy „Lucifer“ i „Reflektor“, a w latach późniejszych wydająca pisma: „Trybuna“, „Dźwigary“ i „Barykady“.

Od młodzieńczej romantycznej trawestacji rzuconej jako artystyczne hasło: zjadaczy chleba bić w mordę, jeśli ich w aniołów przerobić nie można — do świadomych sformułowań związanych z materialistycznym światopoglądem przejawiała się twórczość młodych adeptów literatury. Szczegółowo o tych sprawach na innym miejscu. Tutaj sprawę tę przypominam jako materiał ilustracyjny.

Ataki te wywołały poruszenie i na prawicy i na lewicy społecznej. Młody twórca w walce zdobywał artystyczne ostrogi, światopogląd i swoje miejsce na barykadzie społecznej. Wiek

tej najbardziej burzliwej młodzieży nie przekraczał 24 lat, a rekrutowała się ona często z ławy szkolnej lub co najwyżej uniwersyteckiej.

Dzisiejsze środowisko młodzieży literackiej, przede wszystkim tej zorganizowanej, jest bardziej dostojne — dōsięga górnej granicy lat 30, a nawet w niektórych wypadkach ją przekracza. Niektórzy z nich mają rodziny, dzieci, pracują w biurach itp.

W przeciwieństwie do lat dawnych ma dzisiejsza młodzież literacka oparcie organizacyjne o Związek Literatów Polskich, który daje jej pomoc materialną w postaci lokalu, urządzeń oraz subwencji pieniężnej.

Rodzi się zatem zagadnienie, czym jest ta młodzież literacka, jakie ma oblicze i jak zapowiada się na przyszłość.

Dyskusję na jej temat na łamach wymienionego dodatku „Kultura i Życie“ zainicjował członek ZLP, utalentowany poeta i były opiekun Koła Młodych, Zygmunt Mikulski, artykułem zatytułowanym „Czekamy na wino“. W artykule tym zachęcał młodzież do żywszej akcji wołając: „ten przywilej posiadacie, ale skromnie trzymacie go w zawieszeniu. Występować, domagać się, potrząsać czupryną“. I analizując dalej przyczyny indolentnej postawy wśród młodzieży stwierdzał: „A więc pierwszego winowajcę mamy. Jest nim sama młodzież, która traktowana jak kopcuszek sama często była macochą dla swych spraw“.

Artykuł Zygmunta Mikulskiego wywołał echo w postaci kilkunastu wypowiedzi ludzi, którzy pospieszili w szranki, by kruszyć kopie argumentów o tarcze dyskusyjne. Specyficzny był jej przebieg. Tematy poruszone przez młodych — to zagadnienie dostatecznej czy niedostatecznej opieki społeczeństwa i starszych literatów nad nimi, żale do młodzieżowych kolegów, którzy na zebraniach Koła niewłaściwie krytykowali utwory innych kolegów i wreszcie drobniejsze sprawy organizacyjne. Głównego zagadnienia, jakim jest sprawa stosunku do rzeczywistości dzisiejszej i problemów twórczych z niej wynikających, nie poruszono i nie usiłowano poruszyć. Naświetleń spraw, które by wskazywały, że obecna młodzież literacka ma swe pasje, o których realizację chce walczyć, nie było.

Jedną z obszerniejszych wypowiedzi dał były członek Koła Młodych, Janusz Tchórzewski, który zaraz na wstępie stwierdził, iż „nie jest prawdą to, że los młodych pisarzy zależy tylko od nich“. A dalej: „Młodzi chcą polepszenia swego losu“. Mówiąc o pracy w Kole Młodych Tchórzewski twierdził: „Podstawowe kryterium to osobista zawiść“.

Następny uczestnik dyskusji, Eugeniusz Kapusta pisze: „Bądźmy szczerzy. Ogromna wina za ten niepokojący stan rzeczy spada właśnie na Koło Młodych Pisarzy. Dyskusje są anemiczne, nieopiętione, jakby brakowało im kośca. Zresztą nie powinno to nikogo dziwić, skoro przecieź młodzi nie uczą się“. Kończy się wywód w ten sposób: „Rzeczą jednak najważniejszą jest, by

członkowie Koła zrozumieli sami i docenili wagę nieustannego poszerzania światopoglądu przez uporczywą walkę i pracę nad sobą — dla doskonalenia swego warsztatu pisarskiego“.

Zbigniew Stepek stwierdza: „koła nie wolno traktować jako szkoły poetyckiej (analogicznie do innych szkół zawodowych...)“.

Wojciech Kielczewski wysuwa dość gwałtowne oskarżenie: „Co daje młodym w dotychczasowych warunkach Koło Młodych? Nic. Krytyka? Nie ma w Kole krytyki, jest tylko ośmieszanie. A szkolenie ideologiczne? Nie istnieje“.

Podsumował dyskusję artykuł przedstawicielki „Kultury i Życia“, Wiery Korneluk, zatytułowany „Trzeba odbudować zaufanie do krytyki“. Autorka przeanalizowała wszystkie wypowiedzi i zakończyła swój artykuł słowami: „los młodych zależy jednak przede wszystkim od nich samych, od ich zdolności, inicjatywy i pracy“.

Przytaczając powyższe głosy trzeba na jedno zwrócić uwagę, że osiã dyskusji, jak to już powyżej zostało powiedziane, były żale na różne braki, między innymi na brak należytej opieki ze strony starszych literatów nad młodszymi, na brak odpowiedniej pracy w Kole, na brak odpowiedniej krytyki itd.

Ale była i inna grupa dyskutantów, która słusznie stawiała sprawę, twierdząc, że los młodych w dużej mierze od nich zależy.

Gdzie jest zatem prawda? Aby zdać sobie sprawę z powyższego zagadnienia, trzeba zrozumieć, czym jest środowisko literackie, czym jest Związek Literatów.

Może niektórzy wyobrażają sobie, że jest to organizacja, w której obowiązuje dyscyplina pracy z punktualnym przychodzeniem do lokalu o 8 rano, z wyznaczonymi z góry tematami, normami pracy, dyskusjami, szkoleniem, referatami itp.

Naumyślnie rzuciłem ten groteskowy obraz, aby podkreślić, że praca literata, zresztą jak każda artystyczna, jest czymś swoistym i odrębnym, że kształtuje się głównie i wyłącznie w jego umyśle, że kształty przybiera w samotności, że dyscyplinę jak i wybór tematu narzuca sobie sam twórca. I dlatego „szkolenie“ młodych również musi mieć inny zupełnie przebieg — nie taki jak w ZMP i nie taki jak w szkołach.

Młodzi muszą mieć pasję, muszą mieć temperament, muszą mieć zdolności i talenty, muszą czegoś pragnąć i to gorąco i muszą walczyć i to gwałtownie o realizację swego ideału.

Jeśli w nich nie ma powyższych cech, to najbardziej uzasadnione żale na nic się nie przydadzą. Trudno sobie wyobrazić, że Związek Literatów Polskich stworzy dla swych młodych (szczególnie tych ocierających się o trzydziestkę) coś w rodzaju ogródka jordanowskiego, w którym starsi literaci będą spełniać rolę guwernerów i wychowawców młodego pokolenia, że wdrażać je będą w tajniki abecadła literackiego

i podstawowe wiadomości z zakresu rymowania czy też pisania prozą opowiadań. Środowisko literackie kształtuje się poprzez pracę swych członków i poprzez wzajemne oddziaływanie, którego najlepszym wykładnikiem jest wymiana myśli w dyskusjach, na zebraniach poszczególnych sekcji, jak twórczości oryginalnej, przekładowej itp. Młodzi mają dostęp na zebrania, na które nie tylko są zapraszani, ale na których są witani jako najmilszy goście.

Ale, niestety, stwierdzić trzeba, że na zebrania sekcji ZLP, podobnie zresztą jak i na swe własne, przychodzą rzadko i w niedostatecznej liczbie.

Niedawno w lokalu Lubelskiego Oddziału ZLP odbyło się zebranie sekcji twórczości oryginalnej poświęcone omówieniu dotychczasowej pracy Koła Młodych. Na zebranie to przybył sekretarz KW PZPR, przybyli również przedstawiciele prasy. (Nawiasem mówiąc ciekawym szczegółem jest to, że na łamach „Kultury i Życia“ nie ukazała się najmniejsza nawet wzmianka sprawozdawcza, mimo że przedstawiciele „Kultury i Życia“ byli obecni na zebraniu). Dyskusja miała charakter żywy. Parokrotnie zabierał głos sekretarz KW, zabierali głos w obszernych wypowiedziach członkowie Oddziału Związku Literatów... tylko młodzież milczała dając do dyskusji niewielki wkład. A przecież założeniem zebrania było jak najwszechstronniejsze omówienie spraw literackiej młodzieży.

O tym, że Koło Młodych zobowiązało się niejednokrotnie do zapełniania kolumny w „Kulturze i Życiu“ i zobowiązania tego nie zrealizowało, pisano nieraz. Na wieczorze literackim w sali TPPR młodzież miała recytować swoje utwory, a wieczór wypełniła w znacznej części utworami znanych poetów. Do „Kameny“ młodzieżowych materiałów wpływa bardzo mało.

Wszystko to świadczy, że życie literackie naszej młodzieży to nie rwąca rzeka, ale cicho szmerzący strumyk i co gorsze — strumyczek, który szmerze nie na tematy literackie, ale wyplakuje jakieś bytowe pretensje.

Od króla Ćwiczka, na którego osobę chętnie powołuje się społeczna tradycja, wiadomo, że młodzież szła zawsze w pierwszym szeregu postępu, że robiła wyłomy w zmurszałych tradycjach, że była bezinteresowna, ideowa, bezkompromisowa i że wznosiła sztandar buntu i walki...

*

Na łamach wymienionego wyżej dodatku „Kultura i Życie“ w Nr 29, z dnia 21 sierpnia 1955 roku, Leszek Siemion, w artykule pt. „Geografia ignorancji“, poruszył sprawę poziomu umysłowego młodzieży wstępującej na wyższe uczelnie, a wśród niej i tej, która ma studiować na wydziałach humanistycznych. Nas interesować będzie bardziej ta ostatnia. Nie znaczy to, że uwagę swą odwrócimy od pozostałej.

Przykłady przytoczone przez Siemiona i wnioski, jakie wyciąga, nie wybiegają poza prze-

ciężność. Niejednokrotnie czytaliśmy o młodych adeptach, którym Kościuszko mieszał się z Mickiewiczem, którzy nie umieli wymienić dzieł czołowych twórców itp. Znamy to. Artykuł, który przytaczamy, jest dowodem, że nadal na tym odcinku nie tylko nie widać zmian na lepsze, ale zaczynają występować cechy masowości. Np. autor „Geografii ignorancji“ stwierdza: „Bardzo nieliczne były prace nie zawierające błędów ortograficznych“.

A konkluzja jest taka: „Egzaminy ujawniły szereg zasadniczych braków w przygotowaniu kandydatów do studiów. Stwierdzić trzeba, że ich większość wykazała niski poziom przygotowania ogólnego, że wiadomości i zainteresowania kandydatów wyniesione ze szkół są na ogół nikłe. Zrozumiałe jest, że przy tym stanie rzeczy nie może być mowy o należytych rozwijaniu życia społecznego, ideowej twórczej atmosfery“...

A dalej: „Wprawdzie zebrane przez nas materiały dotyczą przeważnie kandydatów na studia humanistyczne, jednak rzucają one światło również na poziom całej młodzieży, kończącej szkoły średnie w woj. lubelskim. Tym bardziej, że właśnie na humanistycznym kierunku studiów postawa ideowa młodzieży powinna wyrażać się najmocniej, a jej zainteresowania osobiste powinny być najszersze“.

Zgadamy się z autorem całkowicie. A nas literatów interesuje przede wszystkim młodzież wybierająca studia humanistyczne, gdyż z jej szeregów najczęściej rekrutują się kandydaci do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich.

Koło Młodych jest specyficzną organizacją nie opartą na żadnym statucie ani skonkretyzowanych przepisach. Nie jest składową częścią Związku Literatów Polskich, ale luźnym zrzeszeniem, nad którym ZLP sprawuje opiekę. W praktyce Koło Młodych jest sitem, przez które przesiewa się jego członków. Najlepsi, najzdolniejsi, na podstawie prac wyróżniających się, przechodzą do szeregów zorganizowanego ogółu pisarzy. Dlatego na Koło Młodych zwrócona jest baczna uwaga w szczególności, a na młodzież wstępującą na studia humanistyczne w ogólności.

Niestety, atmosfera ignorancji, o której jako o zjawisku powszednim wśród młodzieży pisze Leszek Siemion, towarzyszy i licznym grupom młodzieży mającej ambicje być młodzieżą literacką. Wielu z nich usiłuje się dostać do Koła na podstawie fałszywej ambicji, że jako członkowie jego uzyskają tytuł młodego pisarza i że nim imponować będą swemu otoczeniu. Inni mają nadzieję, że da im to korzyści materialne i ułatwienia społeczne. A ponieważ kryteria dla kandydatów nie są zbyt wygórowane, więc wielu spośród wymienionych udaje się to.

Wkrótce jednak zjawiają się rozczarowania i to właśnie wśród tych, którzy ani talentem ani wiadomościami wyróżnić się w swym otoczeniu nie mogą. Wysuwają więc zarzuty, że koledzy są zawistni, że krytyka ich jest uszczypliwa, że starsi literaci się nimi nie opiekują i nie pomagają i że w ogóle jest źle. Niektórzy rozumia-

szy swój błąd sami opuszczają szeregi Koła, innych zmusza do tego weryfikacja. Oto główna przyczyna wyjaśniająca, dlaczego w dyskusji wymienionej na początku artykułu, młodzież zamiast mówić o zagadnieniach twórczych wносиła pretensje bytowe i żale natury materialnej.

Ci, o których już dziś mówić można, że mają szanse wyróżnić się w literaturze, ci w dyskusji i poza nią stawiają na samych siebie, a swój stosunek do organizacji literackiej układają we właściwy sposób. Już dziś ZLP w Lublinie stwierdzić może, że dysponuje nielicznym, ale wartościowym narybkiem, którego atmosfera „geografii ignorancji“ nie dotyczy.

*

A teraz inna, jakże trudna sprawa, która pozornie powyżej poruszonych zagadnień nie dotyczy.

Od pewnego czasu zaczęła się i toczyła, przybierając różne formy, dyskusja, czy należy młodzieży udostępnić środki antykoncepcyjne. I ciekawe, że w dyskusji tej magna pars należy do kobiet. Jacek Bocheński wmieszał się do niej i w nr. 34 „Przeglądu Kulturalnego“ zamieścił „Felieton o trudnej sprawie“, nazywając zaraz na wstępie poruszane zagadnienie, konkretnie, dyskusją o przerwytywach.

A więc wyłożono, jak się to mówi, kawę na łąwę. Czy dostarczyć je w dostatecznej ilości młodzieży czy też nie. Autor, który jeszcze daleko nie odbiegł od szeregów młodzieżowych, pisze: „Uważam zgłoszone w prasie propozycje na temat środków antykoncepcyjnych i poradni świadomego macierzyństwa za słuszne i obawiam się, aby ich nie zagadano jałowymi wywodami, że człowiek powinien być aniołem. Jestem bardzo za anielstwem, lecz jeszcze bardziej za praktycznymi sposobami przeciwdziałania ludzkim nieszczęściom. Wypowiadam się za wyrobami z gumy, i za popularyzacją teorii Ogino-Knausa, ponieważ wiem, że nie mamy wyboru między gumą a szlachectwem duszy, ale między gumą i nożyczkami“.

Ze słów tych bije zbyt symplicystyczny pogląd na zagadnienie dużej doniosłości społecznej, choć uprzednio autor, zanim wypowiedział te słowa, zrobił wywód i szereg słusznych uwag na temat kultury miłości i nadbudowy erotycznej wynikłej z tradycji itp.

„Aby wzrastała kultura miłości, nie wolno przekreślać tradycji, którą stworzyła ludzkość na przestrzeni wieków, nie wolno odmawiać praw do swobodnego bytu objawom uwznioślonemu popędu płciowego, kultowi tego uwznioślenia, kształtowania się ideałów i opinii na temat miłości. O miłości trzeba mówić, pisać, czytać, muszą istnieć pewne wzory, którymi młodzież mogłaby się zachwycać i które chciałaby naśladować, wzory w literaturze, filmie, tygodnikach ilustrowanych, w umownych kodeksach dobrego wychowania, w panujących modach, w uznanych przez opinię sposobach flirtu i obcowania towa-

rzyskiego. Całą tę „nadbudowę“ erotyczną trzeba pielęgnować jako część składową kultury i cywilizacji społecznej, natomiast tępienie jej w imię rzekomych potrzeb socjalizmu, celem zwycięskiego zbudowania Nowej Huty ma tylko ten skutek, że Nowa Huta została zbudowana, lecz obyczaje w niej panujące cofają nas ku barbarzyństwu“.

Zgola inaczej podeszła do zagadnienia Danuta Zabłocka w nr. 37 „Nowej Kultury“. W artykule pn. „Szkoła uczyć czy szkoła fizjologii“ próbuje rozpatrzyć problem z pozycji ściśle marksistowskich. Z dużą erudycją i swadą napisany elaborat ma jednak wiele cech schematycznych i sprowadza zagadnienie do proporcji prowincjonalnych. Znajdujemy w nim i „aspekt spraw obyczajowych“, i „bakcyle amoralności starego świata, najzjadliwiej atakujące młodzież“ i „nową miarę godności, jaką dajemy człowiekowi“. A sens zagadnienia wyraża się w ataku „na rozkładanych starszych panów na dyrektorskich stanowiskach, którzy upatrują sobie w wiadomych celach znajome spośród najmłodszych pracowników“. Te słowa i ten ton coś przypominają. W podobny sposób przed wojną niektóre działaczki Narodowej Organizacji Kobiet i Związku Pań Katolickich atakowały zwolenników poruszania zagadnień erotyki i spraw populacyjnych z tą różnicą, że one cytowały Biblię i Nowy Testament...

Te i inne wywody, będące okazją do wypowiedzenia się na temat, który dotąd ukrywano wstydliwie pod korcem, mają coś z „uroku szatana“ lub „igraszek z diabłem“. Igraszki takie, jak wiadomo, w końcu nic dobrego nie dają, nie dadzą one również sprawie, do której trzeba podejść wprost. Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy z bliska i skonkretyzować środki, opracować plan działania i szybko zacząć go realizować bez bajdurzenia. Stan bowiem jest alarmowy. To nie umizgi starszych dyrektorów zagrażają zdrowiu moralnemu i fizycznemu społeczeństwa, ale chuligaństwo przeradzające się w bandytyzm erotyczny, jaki szerzy się wśród młodzieży.

Piszący te słowa wysłuchał w końcu ubiegłego roku w warszawskim pociągu podmiejskim rozmowy głośno i bez żenady prowadzonej przez kilku nie przekraczających dwudziestki młodzieńców.

— U nas — mówił jeden z nich — na Saskiej Kępie wieczorem nie przejdzie na gapę żadna kobita w wieku poborowym. Szkoda gadać. No, chyba że jest w ciąży albo się uchytry i prowadzi buldoga. — Słuchacze roześmieli się chórem.

Różne przykłady od anegdotycznych do wstrząsających można by mnożyć na tysiące.

Zresztą toczona dyskusja daje bardzo poważny obraz zagadnienia. Co do jej wielkości społecznego znaczenia nie ma żadnej wątpliwości. Tylko czy sprowadzenie jej do wspólnego mianownika środków antykoncepcyjnych i poradni świadomego macierzyństwa wyczerpie sprawę. Wątpliwe czy chuligan atakujący młodą dziewczynę

czynie myśleć będzie o środkach antykoncepcyjnych!...

Podczas wojny ponieśliśmy ciężkie straty. Nadrobienie ich stało się koniecznością. Dziś możemy powiedzieć, że zadanie zostało wykonane z nadwyżką. Mamy jeden z największych na świecie przyrostów naturalnych, mamy liczbę urodzin, która zaczyna... zagrażać naszym planom budownictwa mieszkaniowego na wiele, wiele lat naprzód. Trzeba zacząć myśleć o problemie, który ma wielostronne znaczenie.

Wiadomo, że w ciasnocie mieszkaniowej rodzą się niezdrowe warunki nie tylko fizyczne, ale i moralne, że najwyższy odsetek prostytucji związany jest z nędzą i głodem mieszkaniowym. W wieloosobowych rodzinach, w których ojciec i matka pracują, nie ma kto dostatecznie dbać o wychowanie. Dlatego młodzież pozbawiona opieki ulega złym wpływom płynącym z ulicy, na której panoszą się chuligani.

Piękne słowa o kulturze miłości, o dobrych obyczajach czy o romantycznych wzorach bohaterów uwznioślonych uczuć niewiele znaczą, jeśli do głosu nie dojdą czyny.

W walce ze złem musi wziąć udział całe społeczeństwo.

*

Od króla Ćwiczka wiadomo... Tak, wiadomo było.

Kto wie czy postać instruktora z ZMP, o którym pisze w swym artykule na łamach „Nowej Kultury“ wymieniona Danuta Zabłocka, nie jest przykładem. Opowiada on, że jako 20-letni chłopiec wracał w 1945 roku z Niemiec, towarzysząc przygodnie spotkanej 18-letniej dziewczynie. Ciągłe ją napastowano. A on jej bronił po rycersku. I tak dobrnęli do Łodzi.

A dziś mówiąc o tym dodaje: — Ależ byłem frajer. I ja bym wziął swoje i kto inny by skończył.

Młody człowiek, bo dziś przecież ten instruktor ma nie więcej niż trzydzieści lat, żałuje swego rycerskiego postępcu, swej szlachetnej postawy i żałuje, że nie skrzywdził młodej dziewczyny. Tak pisze Danuta Zabłocka, ale tylko mimochodem. A tymczasem trzeba się przy tym zatrzymać. Cóż zaszło w duszy tego młodzieńca w ciągu 10 lat, że żałuje swego pięknego uczynku i otwarcie o tym mówi? A przecież to jest człowiek pracujący społecznie w szeregach zorganizowanej młodzieży, która za jego postawę powinna być odpowiedzialna.

*

Powoli wątki zaczynają się splatać. Bytowe pretensje pseudoliterackiej młodzieży, adepci geografii ignorancji, źle wychowane jednostki chodzące samopas i zarażające niby dżumą chuligaństwem mózgi i serca, niszczące dobre obyczaje i kulturę będącą dorobkiem całego narodu.

W walce ze złem, w walce o nowe lepsze jutro młodzież zawsze podnosiła sztandary walki. Asekuranctwo, wyrachowanie, szukanie ciepłych be-

tów było właściwością pokoleń starszych. A dziś, paradoks naszych czasów, zjawiska te zauważyć się dają krzewiące się wśród młodzieży. Dlatego z jej łona nie słychać dostatecznie silnych głosów oburzenia, dlatego nie rzuca ona hasła walki ze złem.

Musi to dziś, wbrew tradycji, zrobić starsze pokolenie, które stanu tego zaaprobować nie może i nie chce. Ta wielka choroba moralna, która się dziś bujnie krzewi, zagraża podstawom bytu całego narodu i jest groźbą dla kultury i cywilizacji.

Autor niniejszego artykułu należy do pokolenia, któremu społeczeństwo udostępniało w szerokim zakresie... smoczki, — środki antykonceptyjne nie stanowiły hamletowskiego problemu. Ta młodzież hodowała w sobie ideał walki rycerskiej o wolność i postęp, o sprawiedliwość i przeciw wszelkiej krzywdzie.

Problemy, które chcemy rozstrzygać, są wielkie i trudne — wymagają bohaterstwa i samożarcia. Dlatego od słów trzeba przejść do czynów. Trzeba poruszyć całe społeczeństwo, trzeba zmobilizować wszystkie najlepsze siły i zjednoczyć do walki ze złem. A sztandar walki wzniesić musi starsze pokolenie, dla którego kultura ma wyraz romantyczny i które nie żałuje, że kiedyś tam dawno okazję fizjologicznego przeżycia kwitowało uwzniośloną postawą i pięknymi słowami. Zwycięstwo tej akcji na pewno będzie czynnikiem, który wróci zaburzoną równowagę w dziedzinie zwyczajów i obyczajów i wyzwole siły twórcze będące gwarancją zjawienia się wielkiej literatury i sztuki — obrazu naszej rzeczywistości i drogowskazu w przyszłość. I w jednym szeregu z tym pokoleniem do walki stanąć musi cała ta młodzież współczesna, dla której ideały te mają charakter istotny.

Antoni Waligóra

Eugeniusz Gołębiowski

SZKOLNA MIZERIA FILIPA JEŻOWSKIEGO

Każdy początkujący nauczyciel ma zwykle dużo zawodowych skrępułów i obaw. Nasuwają mu się pytania: czy będzie umiał zdobyć zaufanie młodzieży, zachować autorytet pedagoga? Czy teoria, którą wyniósł z uczelni, nie minie się z szkolną praktyką i w ogóle: czy podoła zadaniu.

Magister Filip Jeżowski nie miał tych obaw. Studia humanistyczne w zakresie filologii polskiej skończył z odznaczeniem, tak w nauce jak i w życiu codziennym umiał zawsze sprostać najtrudniejszemu zadaniu i nigdy nie unikał trudności, przeciwnie: szukał ich. Toteż, stawiając swoje pierwsze kroki nauczycielskie w liceum ogólnokształcącym, nie miał najmniejszych obaw co do swojej przyszłości pedagogicznej.

Nie zaniepokoił się też, gdy go po koleżeńsku przestrzegano przed dyrektorką szkoły. Przestrogi były jakieś zagadkowe, ktoś nazwał ją „Szapirografem“, ktoś szepnął coś złośliwego na temat „Biurokracicy“, inny znów „Schematomanką“ ją nazwał. Pierwsze zetknięcie się Filipa z dyrektorką, uprzejmą, kulturalną brunetką o sennych (zdawałoby się) oczach, zrobiło na nim dodatnie wrażenie. Ano — zobaczymy, powiedział sobie i wziął się do roboty.

Najpierw trzeba było zapoznać się z techniką robienia tak zwanych „konspektów“ lekcyjnych. Wzór (odbity na szapirografie) otrzymał od dyrektorki. Wzór dzielił się na szereg rubryk obejmujących: 1) temat lekcji, 2) metodę, 3) część wstępną, 4) powtórzenie starego materiału, 5) po-

danie nowego, 6) pozycję pomocy naukowych, 7) powtórzenie nowego materiału, 8) zadanie pracy domowej, 9) uwagi co do realizacji poszczególnych punktów: a) dodatnie, b) ujemne, c) uwagi praktyczne na przyszłość. Schemat ten mógł być oczywiście zmieniony w zależności od typu lekcji, mógł rozrastać się w barwne i żywe przeżycie zespołu klasowego, mógł też pozostać martwym szkieletem rubryk. Zasadnicze jego elementy musiały jednak zawsze stanowić podstawę pracy lekcyjnej. Tu nasunęła się Filipowi pewna trudność: jak to zrobić, żeby strumień emocji nie zerwał owych dziewięciu tam schematu? Rzecz się jednak sama „ułożyła“. Segregowanie pozycji konspektu było tak żmudne, że niebezpieczeństwo emocji przestało istnieć.

Zatrzasnąwszy więc klapę bezpieczeństwa nad światłem poezji, wziął się Filip do roboty. Obliczył liczbę lekcji w każdej klasie na przestrzeni roku szkolnego, a że miał 5 klas, a w jednej wypadało mu przeciętnie po 200 godzin — otrzymał liczbę 1.000. Zaniepokoił się nieco: „Tyle konspektów?“. Pomyślał, że można tę robotę rozłożyć na cały rok, ale czy to będzie właściwe? Typy lekcji są różnorodne, treści ich rozmaite, powinno się je zatem szeregować wedle jakiegoś generalnego rocznego planu. Przecie nawet kwiatki sadzi się podług jakiegoś długofalowego planu. Ale czy to było wykonalne? Sporządzenie jednego konspektu, to jest zebranie odpowiedniego materiału z programu, podręcznika i własnego mózgu z uwzględnieniem i wmontowaniem w ca-

łość pomocy naukowych, obmyślenie odpowiedniej metody lekcyjnej i uszeregowanie poszczególnych elementów lekcji — wymagało przeciętnie 30 minut pracy. Pomnożywszy 1.000 razy 30, porzucił myśl kompletowania konspektów w układzie rocznym i postanowił sporządzać je w układzie tygodniowym.

Na drugi dzień musiał tę robotę przerwać, bo trzeba było w terminie bardzo bliskim wpisać do poszczególnych dzienników materiał nauczania na cały rok. Należało odpowiednio ustępy, czytanki, rozdziały gramatyki, lekturę obowiązkową i uzupełniającą, elementy ćwiczeń w mówieniu i czytaniu, materiały prasowe i okolicznościowe, plany wycieczek itp. uszeregować (według wzoru odbitego na szapirografie) i wszystko to zmieścić w ramach godzin lekcyjnych całego roku.

Filip był przekonany, że zdąży na termin bez trudu, nie zdążył jednak, bo jednocześnie musiał: 1) ułożyć roczny plan wychowawczy dla klasy I c, z uwzględnieniem rubryk: a) wytyczne ideologiczne, b) pogadanki, c) dyskusje, d) referaty, e) wycieczki, f) lektura, g) udział w imprezach, h) organizacja własnych imprez, i) współpraca z innymi organizacjami szkolnymi, j) terminy. Nadto trzeba było wypełnić w dzienniku klasowym następujące rubryki: 1) imię i nazwisko ucznia(cy), 2) imię i nazwisko a) ojca, b) matki ew. c) opiekuna, 3) pochodzenie społeczne a) ojca, b) matki ew. c) opiekuna, 4) przynależność organizacyjna, 5) adres rodziców, 6) adres ucznia, 7) wykaz przedmiotów nauczania, 8) nazwiska nauczycieli.

Filip wziął ostre (nocne) tempo, skomponował plan wychowawczy, zebrał od młodzieży poszczególne wiadomości i robota szła mu sprawnie, aż utknął na pewnej wątpliwości. Których rodziców zaliczyć do grupy robotników, a których do rolników? Czy chałupnicy mogą być umieszczeni w rubryce „rolnicy”? Czy ogrodnika można uważać za rolnika, co zrobić z rzemieślnikami wiejskimi? Przewijał się przed wyobraźnią Filipa cały korowód ojców trudzących się przy różnych warsztatach, przy kopycie szewskim, przy stolarce, wśród powrozów, beczek, smoły, kwiatów i sieci rybackich. Tym razem dał jednak folię wyobraźni i podzielił „wątpliwych” ojców na chybił trafił, ale nie doznał zadowolenia z tej pracy, a nawet zarzut sobie postawił, że „daje się uwodzić zwodniczej wyobraźni”. W rezultacie zaplątał się w nowy dylemat: co będzie, jeśli okoliczności zmuszą go do programowego tępienia własnej wyobraźni? Co będzie jeśli mu pozostaną w mózgu tylko klamry schematów i odbitki szapirografu?

Dobrze się stało, że pospieszył się ze statystyką, bo już czekała nowa robota w postaci arkusza z (odbitymi na szapirografie) rubrykami: 1) ilu jest w klasie chłopców, 2) ile dziewcząt, 3) ile młodzieży mieszka w internacie, a ile na prywatnych stancjach, 4) jakie jest ich pochodzenie społeczne, 5) ile jest dzieci robotniczych, 6) inteli-

gencji pracującej, 7) innych zawodów, 8) jakie procenty wykazują rubryki 1—7.

Obliczywszy to wszystko dokładnie w procentach, stwierdził, że ma w klasie 47% dzieci chłopskich, 33% dzieci robotniczych i 20% dzieci ludzi różnych zawodów. Był z tego zadowolony, w klasie panowały zdrowe proporcje społeczne! Nie miał jednak czasu dłużej deliberować nad tym, bo czekały go nowe konspekty lekcyjne, a w dodatku zarządziła dyrekcja sporządzenie inwentarza wszystkich przedmiotów znajdujących się w szkole, a więc ławek, stołów, taboretów, tablic, skrzynek na kredę, koszyków na śmiecie, spluwaczek, kwiatów, instrumentów muzycznych, przyborów kancelaryjnych, wieszaków, półek na czasopisma, stojaków na kwiaty, popielniczek itp. Na każdym z tych przedmiotów trzeba było napisać odpowiednią cyfrę i wciągnąć je na listę z następującymi pozycjami (odbitymi na szapirografie): 1) numer przedmiotu (nowy), 2) numer przedmiotu (stary), 3) stan przedmiotu, 4) jego przypuszczalna wartość (cena).

Trochę kłopotu było z punktem czwartym, ale tu Filip nie miał skrupułów, taksował w sposób błyskawiczny, a nawet swawolny, tym bardziej, że dano mu do otaksowania przedmioty mniej ważne: doniczki z kwiatami i bez kwiatów, wieszaki z drutu i drzewa oraz kosze na śmiecie: metalowe, wiklinowe i tekturowe.

Byłby z pewnością zdążył na termin, ale okazało się, że są sprawy ważniejsze i pilniejsze, a mianowicie trzy nowe wykazy: A) wykaz książek z zakresu polonistyki z rubrykami: 1) autor, 2) tytuł dzieła, 3) wydawnictwo, 4) miejsce i rok wydania. B) wykaz uczniów (uczennic), którzy brali udział w zbieraniu chmielu w Pegerze Zdunów. Rubryki (odbite na szapirografie) obejmowały: 1) liczbę uczniów(nic), 2) wysokość plonu w kilogramach, 3) czas zbioru, 4) przypuszczalną wartość zbioru, 5) wysokość wynagrodzenia za pracę, C) wykaz uczniów(ic), którzy wzięli udział w ostatnich trzech imprezach Artosu z wyszczególnieniem: 1) liczby uczniów(nic), 2) czasu imprezy, 3) tytułu, 4) wyników wychowawczych, 5) dydaktycznych, 6) uwag na temat organizacji imprez.

Było tego za wiele i Filip byłby nie zdążył na termin, gdyby na szczęście nie odbyły się w tym samym czasie trzy sesje, a to: 1) sesja w sprawie organizacji roku szkolnego, 2) w sprawie programu wychowawczego, 3) w sprawie prac przedmiotowych. Każde z tych zebrań trwało przeciętnie po pięć godzin, mógł więc Filip wykorzystać ten czas na wykonanie zaległych prac, a nadto rozpocząć pracę nad referatem o „Starym i nowym” Rudnickiego, który to referat zamówił u niego ZNP.

Na drugi dzień musiał jednak przerwać pisanie referatu, bo znalazło się zajęcie pilniejsze. Omal nie przegapił terminu. Był to wtorek. We wtorki odbywały się zebrania Związkowej Organizacji Zawodowej tak zwane „szkoleniowe”, na których omawiano właśnie „Historię WKP(b)”. Tematem

wtorkowego zebrania była „Walka o stworzenie Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej w Rosji“. Filipa interesowały te sprawy żywo, przerwał więc bieżące roboty i zagłębił się w studium WKP(b). Nie chciał tych rzeczy „odfajkować“ ani powierzyć skrzydłom wyobraźni, ale niestety: musiał rzecz zrobić powierzchownie, gdyż czekał nowy wykaz, wykaz bardzo ważny, bo dotyczący czytelnictwa szkoły „w zastosowaniu praktycznym“. Myśl stworzenia takiego generalnego planu czytelnictwa dla całej szkoły uznał Filip za słuszną, bo „partyzanckie“ czytanie niewiele dawało młodzieży. Nie rozumiał jednak, dlaczego właśnie on ma być twórcą takiego planu. Ale dyrektorka umiała mu rzecz wytłumaczyć: kóż to lepiej robi? Kóż lepiej od niego, Filipa Jezowskiego, orientuje się w potrzebach czytelnictwa naprawdę postępowego? A zresztą, czy to tak trudno zdobyć się na kilka dodatkowych godzin pracy dla celów społecznych? Praca nie była trudna, wzór (odbity na szapirografie) ułatwiał ją w dużej mierze. Wystarczyło wypełnić następujące rubryki: 1) wytyczne ideowe, 2) korelacja czytelnictwa w zakresie poszczególnych przedmiotów dla a) poszczególnych klas, b) zespołów zainteresowań, c) organizacji szkolnych itp.

Trudności miał Filip tylko z zebraniem materiałów, lektury z całej szkoły i z uzgodnieniem terminów, ale zdażył na termin. Dobrze się stało, bo właśnie zapadał termin opiniowania podań o stypendium i opracowania wykazu z wyszczególnieniem: 1) pochodzenia społecznego rodziców, 2) postępów i sprawowania kandydatów na stypendystów, 3) stanu majątkowego rodziców. Wypełnianie rubryk poszło gładko, gorzej było z samą opinią. Filip miał czułe sumienie. Tej pracy nie chciał powierzać wyobraźni. Młodzieży jeszcze nie znał i miał obawy: może zaopiniuje pozytywnie podanie jakiegoś nygusa? Może skrzywdzi jaką cichą i skromną istotę? Ale — niestety — nie było czasu na deliberację, czekała już SKO, to jest Szkolna Kasa Oszczędności i Filip, chcąc nie chcąc, odfajkował tamte opinie — nie bez poczucia niesmaku do własnej osoby.

Ową SKO opiekował się w ubiegłym roku profesor Wieczorek. Poszedł on z nowym rokiem na emeryturę i trzeba było uruchomić SKO „pod nową energiczną ręką“, jak to się wyraziła Dyrektorka. Z początku zdziwił się, że proponują mu robotę, która nie ma nic wspólnego z polonistyką, ale przemówił do niego argument, że to przecie praca społeczna.

Organizacja i dokumentacja SKO wydały mu się w pierwszej chwili wzorem prostoty. Wszystko mieściło się w jednej metalowej kasetce z czerwonym napisem „Oszczędzaj“. Były w tej kasetce tak zwane „kontówki“ członków SKO, to jest karty z nazwiskami uczniów i uczennic, z rubrykami wpłat i wypłat oszczędnościowych.

Filip zwołał zebranie Zarządu SKO i po kilku godzinach pracy z dwiema arcymiłymi wiochnami i z kilku dryblasami stwierdził, że stan

gotówki w kasie nie zgadza się z saldem w książce kasowej. Różnica była niewielka, wynosiła zaledwie 37 zł 56 groszy, polecił więc spisanie odpowiedniego protokołu i dokonanie rewizji poszczególnych pozycji kasowych. Ale członkinie i członkowie Zarządu SKO byli jednocześnie przodującymi aktywistami w SKS, to jest w Szkolnym Klubie Sportowym — a właśnie „wypadły“ im ważne, międzyszkolne spotkania w siatkówce, koszykówce i miotaniu oszczepem. Trudno było liczyć na to, że wykonają swoją pracę w terminie, a kłaść się spać bez czystego konta w społecznej książce kasowej Filip nie umiał. Dobrze się złożyło, że w tym czasie zarządziła Dyrektorka tak zwane „warty pokoju“. Warta taka polegała na kolejnym dyżurze poszczególnych nauczycieli w kancelarii szkolnej w godzinach pozalekcyjnych. Na dyżurze takim nie się nie robiło, mógł więc Filip pracować bez przeszkód nad SKO. Praca nie była trudna, ale dość żmudna. Należało sprawdzić zapisy wpłat i wypłat wciągnięte na poszczególne konta członków SKO i porównać je z zapisami w książce kasowej. Kont było około 250, pozycji obrotu dziennego około 20, dni kontrolnych 45, trzeba więc było zbadać $250 \times 20 \times 45$ pozycji. Filip nie skończył pracy w ciągu jednej nocy, zostawił ją sobie na następną, ale o „Starym i nowym“ myśleć już nie mógł, nadto czekało go około 350 klasówek, czekały bieżące konspekty, czekały dalsze rozdziały WKPb, a przede wszystkim nowe wykazy.

Próbował w ciągu kilku dni następnych nadażyć z robotą, ale nic z tego. Spadły na niego wykazy zebranych szmat, makulatury i złomu oraz nadpływała fala wykazów klasyfikacyjnych. A te nie były łatwe. Zawierały bowiem: rubryki dotyczące stopni (od bdb do nd) i poszczególnych przedmiotów. Dane musiały się liczbowo bilansować, a nadto trzeba je było wyrazić w procentach, przedstawić frekwencję młodzieży i na specjalne żądanie Dyrektorki, należało bardzo skrupulatnie według wzoru (odbitego na szapirografie) złożyć sprawozdanie z wyników prac piśmiennych za pierwszy okres z wyszczególnieniem błędów: 1) ortograficznych, 2) składniowych, 3) stylistycznych, 4) rzeczowych, 5) ideologicznych w ujęciu zwykłym i procentowym, z zamknięciem bilansowym tudzież z uwagami tłumaczącymi „dany stan rzeczy“.

Tak się skończył pierwszy okres pracy pedagogicznej Filipa, drugi był trudniejszy, bo skomplikowały go zaległości z pierwszego, trzeci zaczął już z lekka działać na system nerwowy Filipa, czwarty kazał mu się poważnie zastanowić nad całokształtem swojej osobowości i... zakończył się rozmową w gabinecie Dyrektorki:

— Kolego — rzekła — nie wiem, jak wam to powiedzieć. Jesteście nauczycielem początkującym, ale cóż — cyfry mówią za siebie. Patrzenie, o tu: Czy widzicie jak obniżył się poziom w klasach, które objęliście w tym roku szkolnym? Proszę: klasa 8a obniżyła swoje osiągnięcia o 0,3%, kla-

sa 9d o 0,8%, klasa 9b o 0,5%, klasa 10a o 0,7%.
Jeszcze gorzej jest z samą ortografią. Proszę, pa-
trzcie: w niektórych klasach doszło do obniżenia
o 2,5%. Tłumaczę to sobie jak mogę i mam na-
dzieję, że w przyszłym roku poprawicie swoje
wyniki.

Filip spojrzął w okno, za którym kwitły kasz-
tany.

— Niestety, — rzekł — kontraktu na przyszły
rok nie podpiszę.

Spojrzała na niego sennym (zdawałoby się)
okiem.

— Macie już inną pracę?

— Tak, w Rzeźni Miejskiej, w dziale staty-
stycznym.

Eugeniusz Gołębiowski

Jakub Kołas

DO POLAKÓW

Zakończenie poematu „CHATA RYBAKA”

Bracia rodzeni i sąsiedzi!
O, wolny, nowy polski ludu!
Niech dzień nam dzisiaj dźwiękiem miedzi
śpiewa przyjaźni pieśń i trudu.

Niech się w pamięci naszej spalą
te niewolnicze lata krzywdy.
Pójdziemy jasnym szlakiem dalej,
nie rozstaniemy się już nigdy.

Przyszłość spotkamy bez bojaźni,
bo w nią bez uraz zgodnie krocym.
Niech szczerłość dłonie nam zjednoczy
i niech cień zniknie nieprzyjaźni.

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski

Janka Kupała

WIOSNA

Z poematu „ONA I JA”

Na ziemi czarne plamy już widnieją
i spelza z niej zimowych śniegów biel,
pagórki się w złocistym cieple grzeją,
w parowach woda żali się jak trzmiel.

Gdzieniedzie w lesie nagle się wynurzy
przyłuszczki główka na radosny świat,
w dzień szuka słońca, w nocy gwiazd na górze, —
błękitno-biały łez człowieczych kwiat.

Z wyraju ptaki powracają sznurem,
po mlecznej drodze lecą w blasku gwiazd
i szczerze modły wyśpiewując chórem
szukają swoich opuszczonych gniazd.

I złoty glob na niebo gdy wypływa,
o ileż wiorst ma teraz dłuższy szlak!
Promienie jego ścielą się po niwach
i żywym ogniem drżą w młodziutkich lnach.

I naszej chaty żaden nie ominie,
choć ona okna takie niskie ma,
ślizgają się po dachu, po kominie,
przez szyby każdy się do izby pcha.

Na łóżku do nas się miłośnie tulą
całując oczy i sięgając warg,
jak wietrzyk usta podający ulom,
k'iedy przechadza się w lipcowy żar.

Czas wstawać już, gołąbko moja miła,
zaspane oczka — gwiazdki przetrzyj dwie
i pomyślimy, jak to z nową siłą
trzeba nam spędzać pracowite dnie.

Wśród śniegu już widnieją czarne plamy,
po śnie przylaszczki śmieją się do zórz.
Wstawaj, ach, wstawaj, śpiochu mój kochany!
Na strunach złotych wiosna gra nam już.

Przełożył *Kazimierz Andrzej Jaworski*

Janina Brzostowska

KOCHAM WARSZAWĘ...

Kocham Warszawę... Za jej dzieje,
w których śmierć nawet nie jest klęską.
Za uśmiech, którym promienieje,
za nie znające granic męstwo...

Za lud wesoły, pracowity,
nie święty — lecz o sercu czułym...
Za posrebrzane Wisłą świty,
za zmierzchy, które mgły zasnuły...

Za jej Starówkę — zdruzgotaną
i znowu żywą w nowej chwale.
Za Nowe Miasto wśród kasztanów,
za urok Łazienkowskich alej...

Za młodych, którzy swemu szczęściu
dom wnoszą i Pokoju życzą...
Za kwiat w ogródku na przedmieściu,
za lot gołębi nad ulicą...

Za to, że z ruin, pogorzeliisk
nakrytych ciemnym w lunach niebem
umiała powstać i żyć umie
zarówno pieśnią jak i chlebem.

Za to, że dróg nie lubi krętych,
w miłości, w nienawiści szczerą!
Za to, że w bohaterskich zrywach
dniom nowym serce swe otwiera

Kocham Warszawę! Dzień dzisiejszy
i przyszłość niechaj ma spokojną!
Niech z kart historii jej na zawsze
zniknie okrutny wyraz: wojna!

Janina Brzostowska

Maria Bechcycz-Rudnicka

DROGA W CISZY

Stał niezdecydowany na progu piwnicy. Czy ma zaufać tej ciszy? Każda sekunda mogła być wybuchem.

Na górze trzaśnięto brutalnie drzwiami, zadudniły schody. Gdzieś blisko brzękły nawet fajerki. Drażniły go te pospolite, niby to powszednie hałasy, mylące czujność. Nadzieja zmagala się w nim z obawą.

Właściwie chodziło o początek, o kilkadziesiąt metrów podwórza.

Cisza trwała. Nagle zaryzykował i oto był już w bramie.

Odetchnął. Strusie poczucie bezpieczeństwa zaczęło natychmiast rozrastać się w wielką obojętność. Wydobył papierosa, zwalczył przewiew gaszący mu zapalki i wciągając dym chciwymi haustami, wyszedł na ulicę.

Cisza trwała. „Śniadanie pewno jedzą... szwabyl!” — powiedział do siebie na głos, z pasją akcentując syczącą zgłoskę.

Obojętnie minął świeży lej tuż koło domu, pochłonięty układaniem trasy ucieczki z miejsca przeżytego lęku. Wróci do schronu pod teatrem. Czuł się najrażniej w jego przestronnych korytarzach, gdzie ogromny wentylator elektryczny zagłusza obmierzłe grzmoty.

Lecz zaraz przypomniał sobie, że wentylator przed dwoma dniami stanął.

Przed dwoma dniami o północy rozległ się nad sklepieniem huk głośniejszy od wszystkich poprzednich i zrobiło się ciemno. Po chwili zadrgał w mroku nikły punkt świetlny.

— Spokojnie, proszę państwa, spokojnie, spokojnie!

Tym razem w podziemiu schroniło się mało ludzi, mogli więc zdobyć się na spokój, choć nie ulegało wątpliwości, że zaszło właśnie to, czego się od tygodnia bali.

Wziął odruchowo teczkę, leżącą zawsze w pobliżu i skierował się za innymi do schodów. Nie śpieszył się wcale, miał nedorzeczne przekonanie, iż nic mu nie grozi. Potężne mury łudziły jeszcze pozorem bezpieczeństwa.

Taka uporczywa była siła bezwładności w tym nastroju, że kiedy otwarto przed nimi drzwi na podwórze, nie przeraził go widok zasłony płomiennej, podobnej do odwróconego wodospadu. Wymierzywszy spojrzeniem wąski tunel między murem a wściekłym żywiołem, przemknął błyskawicznie do sieni, która prowadziła na zewnątrz gmachu.

Krótki bieg pod kolumnadą w jasności niemal dziennej, w blaszanym łoskocie dachów... Dopadł najbliższej bramy i już nie szukał do rana lepszego schronienia. Ustosunkował się nawet z pewną

nonszalancją do poziomych gwizdów nad głową, sprawiało mu satysfakcję, że może śledzić ich narastanie jak obiektywny obserwator.

O świcie nastąpiła cisza (metoda tamtych na parę dni?). Wtedy wybrał się do domu. Kroczył ostrożnie po chodniku chrząszczącym pod nogami od szkła i gruzu. W przejściu oglądał dzieło zniszczenia ostatniej nocy — liczne kamienice na jego drodze ziały pustką odsłoniętych wnętrz lub płonęły jak pudełko zapalek...

Zatrzymał się na rogu, bo mu wygasł papieros. Długo nie może go zapalić, ręce trzęsą się z rozdrażnienia od tych wspomnień. Po co opuścił przedwczoraj schron pod teatrem? Można było tam zostać nie zważając na pożar elewacji. Tylko zożydził sobie własne mieszkanie lepkimi godzinami tchórzostwa i dzisiaj musi przebyć niemilą drogę powrotną.

Nagle rodzi się w nim bunt przeciw ostrożności rywalizującej ze ślepym trafem i, zamiast pójść w kierunku Szpitalnej, skręca w stronę Placu Trzech Krzyży.

Wkrótce szedł już Alejami.

Cisza trwała. Była tu jakaś pozaczasowa — w tym światku naiwnie pewnym nietykalności swej urody.

A on tutaj właśnie wytoczył sobie proces o wszystkie jałowe lata, dzielące go od dni, kiedy ścigał w parku serso.

Monologował skrótami, rozszyfrowując niekiedy stenografię myślową w zdania dość patetyczne.

Rozpiął palto, było mu gorąco nie do zniesienia.

— Muszę mieć trzydzieści osiem z kreskami, — pomyślał przelotnie i powrócił do nieodstępnych rozważań.

Zapytywał siebie z pogardą, dlaczego czepia się kurczowo nędznego życia, skoro roztrwonił najlepszy czas. Przecie nawarzyli piwa pewno na cztery lata, jak w czternastym.

Oto pierwszy akt tragedii dobiega końca. Krótki — niecały wrzesień. Idą lata chude, lata nierównej walki z bezdusznym systemem. Cztery lata brzydoty moralnej i fizycznej. Najdzielniejsi zejda do podziemia, na powierzchni rozpanoszą się małpie instynkty.

Co go czeka?

Wegetacja wśród ruin i zgliszcz, codzienna troska o chleb i słoninę. Zasklepi się w sobkostwie, urobi sobie stosowany kodeks moralny, ponieważ „trzeba przetrwać“.

I przetrwa. Tacy przetrwają niezawodnie. Ale cóż, nigdy nie namaluje nic godnego uwagi, bo się do reszty zestarzeje. Wyjałowi go doszczętnie ta wojna, po prostu zabraknie mu fosforu w organizmie!

Po wojnie będzie miał ponad sześćdziesiątkę. Psiakrew, psiakrew!

Wojna to może dobre dla młodzików, to im dodaje bodźca, hartu. A on? Co za okropna strata czasu! Cztery lata na więzi jak pies przy budzie. Wyda oszczędności przeznaczone na podróż tam, „gdzie cytryna dojrzewa“. Zamiast cytryn będzie miał granaty!

Zaśmiał się zgryźliwie z niewczesnego dowcipu. Odrywając się na chwilę od złych myśli, przyłożył dłoń do czoła. Było rozpalone.

Cicho?... Tak, cisza trwa. Cisza cmentarna.

Udzielila mu się łagodna rezygnacja otoczenia. Usiadł na ławce, by wygodniej było snuć autoanalizę.

Italia! Nie, nie w tym rzecz. Czyż przywiózł kiedykolwiek z Włoch natchnienie? Wyrzwałby na słońcu stare kości i tyle.

„Za stary, za stary, za stary!“ — dudniło w nim echem. Koniec. „Finis!“ — przetłumaczył szeptem dla dobitności. Żywy trup. Już nie będzie miał odwagi skazywać siebie na godziny męki nieodłącznej od procesu twórczego.

Tyle dobrego czasu zmarnował na drobne, „bieżące“ sukcesy! Dzisiaj w tych chwilach samotności i ciszy, może ostatniej, musiało dojść do rachunku sumienia.

Cierpka perfuma jesieni wywołała wizję małego chłopca w bluzce marynarskiej, wyjmującego połyskliwy owoc kasztana z jego kolczastej łupinki. Chłopiec ma w oczach filuterną ciekawość, jak na wyblakłej staroświeckiej fotografii, zagubionej w wielkich wędrownkach.

Uśmiechnął się pobłaźliwie do wspomnień i zaraz sposepniał. Chłopak podobno rokował jakieś nadzieje...

— Głupie wychowanie, wszystko mogło być inaczej! — pomyślał z zastarzałą urazą. W gruncie rzeczy rósł jak trawa. Gimnazjum — owszem, bo „trzeba wykierować na człowieka“ (i pieniądze — tak, „młodość mu się wyszumieć“). A potem? Potem toczył się po świecie przed siebie, rozpróżniaczył się, bezcześcił talent figielkami malarskimi i do ostatniego gotowego grosza „miał czas“ na „trupiarnię akademicką“.

Głupie, głupie wychowanie!

Wspomnienia pobiegły utartą ścieżką od miłostek do miłości, do ożenku. Przyszły tamte cztery lata, niedostatek, choroby. W pewnej chwili postanowił poznać język, którym się mówi na płótnie prawdę. Lecz musiał już poprzestać na abecadle. Dawało mu suchy chleb nauczyciela rysunków. Trzeba było zarabiać „na masło“ dla bliskich. Zarabiał. Zarabiał w gazetach „wnikliwymi“ recenzjami z wystaw. Tak, osiadł na miełach. I tłumiał wewnętrzne protesty wmawiając w siebie, że pracuje dla sztuki.

Jakże się oszukał! Córka, żona... Na próżno oddał im ten szmat życia. Jedna umarła, druga odeszła, czyniąc jego ofiarę daremną. A teraz nie było obowiązków, ale nie było też usprawiedliwienia.

— Galanteria plastyczna, — pomyślał z niesmakiem o swoich pastelach i przepędził wspomnienia.

Żółty liść po chwili wahania położył mu się do stóp jak bezdomne zwierzątko. Schylił się litościwie, by go podnieść i wyprowadzony z bezruchu wstał z ławki, powodując się nagłą chęcią odwiedzenia małego Dawida z fontanny.

Przeszedł na drugą stronę alei. Jeszcze parę kroków, a miał go przed sobą.

Drobny Dawid z procą przeciwstawił się wielkiemu Goliatowi. Stary malarz spoglądał nań błyszczącymi od gorączki oczami.

Szlachetny posążek! Niechże stoi tu na warcie przez nadchodzące lata jako symbol zwycięstwa piękna i prawdy nad przemocą.

Pozostał jeszcze przed fontanną, patrząc życzliwie na małego herosa, i gotów już był dać się porwać myślom o florenckich skarbach, gdy naraz ujrzał coś, od czego krew mu uderzyła do skroni: na ziemi koło tarasu leżał strącony z balustrady jego ulubiony amerek.

Jednym susem znalazł się na miejscu zbrodni. Rzuciwszy teczkę, wziął na ręce jak trupka zimne ciało. Przyciskając do piersi okaleczony tułów marmurowy, rozglądał się za frywolnym łepkiem. Lecz nie znalazł nic prócz okrucichów.

Kochał to dziecko cudzego natchnienia, odczuł boleśnie krzywdę wyrządzoną nieznanemu rzeźbiarzowi. Żywo go sobie wyobrażał, młodego, beztroskiego głodomora w wytartym kaftanie, mrużącogo wesoło oko na udatną robotę.

A teraz ta energia artystyczna obróciła się w niewecz.

Ogarnęło go niewspółmierne wzburzenie, jak niegdyś w dzieciństwie nad szczątkami stłuczonej pasterki. Pragnął wówczas rozpaczliwie, by się bieda odstała. Już wtedy podświadomie nie znoślił przymusu nieszczęść nieodwracalnych.

Siwiejący człowiek westchnął i położył amorka na ziemi. Żal mu było cząstki duszy ludzkiej, zawartej w najdrobniejszej rzeczy zrobionej przez człowieka.

Znajome natrętne brzęczenie zakłóciło nagle głęboką ciszę.

Spojrzał szybko w górę, gdzie wśród obłoków krążył drapieżca.

— Ty, łotrze! — zawołał chrapliwie, słysząc siebie jak obcego. — Tępy homunculusie — dodał szeptem.

Nienawdził tych niegodnych spadkobierców kultury, przeklinał ich obłąkańcze widzi mi się, ersatz idei. Z jakich zasobów zła czerpali siłę?

Wrogi warkot ustał, a zaciśnięta pięść artysty jeszcze była wzniesiona ku pustce niebios.

Cisza trwała. Ale czuł w niej teraz gnuśność cierpiętnictwa. Poderwał się do biegu. Nie ze strachu przed niemieckim samolotem, — pchała go z powrotem w stronę śródmieścia potrzeba działania. Skronie pulsowały od wyteżonej myśli, krok zamienił się w pęd. Cisza dochodziła do kresu, był tego pewien i śpieszył się wyznaczyć sobie zadanie w akcji ratownictwa.

Jak rana bolała go świadomość niepowetowanych strat: Zamek w ruinach, teatr w płomieniach, książki spopieliałe, zagłada dzieł sztuki po domach stolicy, obalone wieże kościelne... Wszystko było zdane na łaskę zmechanizowanego zła. Nawet to, co człowiek słaby ofiarował Bogu w zamian za opiekę...

Zabijane są dusze całych pokoleń.

— Obronimy! — rzucił głośno w przestrzeń, od siebie i innych.

Stał za nim nieprzebrany tłum, solidarny i gniewny: rzeźbiarze, poeci, architekci, malarze i uczeni, tysiące cieśli, blacharzy, murarzy, — wszyscy ci, co oddali swemu miastu wysiłek mózgu i mięśni, bezsenne noce lub bezradne dni.

Mieliż teraz umrzeć na wieki?

— Obronimy — powtórzył twardo, odpierając groźby napastnika.

Zderzył się z szybko idącym przechodniem, jak on zamysłonym. Przytrzymał człowieka delikatnie za ramię, zaglądając mu w twarz z uczuciem braterskim, po czym wyminął go bez słowa.

Poszedł wolniej, brakowało mu tchu. Był już na głównej ulicy. Cisza jeszcze trwała. Teraz wiedział, jak wyzyska jej resztę. Pójdzie do pracowni Szczubiała, trzeba usunąć jego obrazy w bezpieczne miejsce.

Namacał w kieszeni klucz, który powierzył mu młody malarz idąc do wojska, i skręcił w przecznicę prowadzącą do tamtego domu.

Nie zaglądał do jego pracowni już od dwóch tygodni. Przedtem często ją odwiedzał, zadając sobie słodką mękę. Teżyzna twórcza tego chłopskiego dziecka budziła w nim podziw i gorzką świadomość, że sam tak malować nie potrafi.

Na początku wielkiego bloku, do którego przylegała kamienica Jacka, zbadał niespokojnym wzrokiem perspektywę ulicy.

Tam się jeden dom pali!

Spojrzał prędko na szafir mijanej latarki: 29... Trzydzieści jeden, trzy, pięć, siedem... to pali się dom Jacka! Pędził już ogarnięty całkowicie trwogą.

Istotnie dom, w którym mieszkał malarz, stał w ogniu. Łakome jęzory wychylały się z sykiem z frontowych okien. Nie było nikogo przed pożarem, za dużo domów paliło się ostatnio na ulicach stolicy.

Przemknął, wstrzymując oddech, pod bramą, nagrzaną jak piec chlebowy.

Na wielkim podwórzu ludzie kręcili się nieprzytomnie wśród rozrzuconych gratów. Nikt nie lamentował, rozlegały się tylko krótkie komendy i przekleństwa. Dzielny dozorca Marian usiłował zaprowadzić tu jakiś porządek.

Ogień nie sięgał jeszcze oficyn.

— Co u Szczubiała? — zawołał zdyszany do starej Wojciechowej, stojącej nieco na uboczu.

Ścisnął jej zwiśnięte ramiona, żebrząc wzrokiem o pomyślną odpowiedź.

— Toć widzi pan, że nie ma już po co tam chodzić! — odcięła twardo. — Wczoraj trafił tam po-

cisk, — dorzuciła trochę łagodniej, kierując się do grupki kobiet.

Wtedy dopiero ujrzał między dwoma olbrzymimi oknami na czwartym piętrze nieomal równą im wielkością dziurę. Serce mu upadło.

Wszedł do klatki schodowej z poczuciem winy. Wczoraj! Więc przedwczoraj jeszcze mógł zabezpieczyć prace Jacka.

Na trzeciej kondygnacji spotkał Borowicza, który zstępował ze schodów trzymając się poręczy, spocony, umorusany, z siekierą w ręku.

— Nie zapali się? — spytał go jak wyroczeni.

— Chyba nie... Przeciąłem belki — odpowiedział tamten z wysiłkiem.

Pracownia stała otworem. Drzwi, wyrwane prądem powietrznym, rozleciały się w kawałki.

Obrotowe ramy w oknach, pozbawione szyb, były przekrecone, pagórki gruzu przykrywały podłogę. Wapno, szkło, gałgany, połupane deski, drzazgi, drzazgi, drzazgi, unurzane w konfiturach, farbach, oleju. I odłamki metalowe, ostre jak szpony.

Ale ocalały obrazy Szczubiała!

Jeden wypadł z ram, inne trzymały się ścian, pośród zwichrzonej trzciny i placków tynku. Przyprószone, lecz żywe. Spływała z nich na cmentarzysko rzeczy niewysłowiona pogoda i otucha.

Były tu rośliny nieistniejące w naturze, nieznanne gatunki zwierząt, próby oparcia świata na nowych zasadach, olśnienia wieszczce wybiegające w przyszłość.

Przygarnął te płótna wzrokiem do serca. Wezbrała w nim wielka radość.

Tuż nad groźną wyrwą w podłodze, przez którą widać było mieszkankę Borowiczów i podwórze, wisiała „Rakieta“ Jacka. Trochę krzywo, w rozczłonkowanej ramie, trzymającej się jednak jako tako.

„Rakieta“ — ostatnia jego praca przed pójściem do wojska! Niesamowita wizja nowego człowieka, wyruszającego na podbój wszechświata. Panowała nad przepaścią, zuchwała jak wyzwanie rzucone w kosmos.

Po małym Dawidzie z Alei była mu dziś drugim symbolem zwycięstwa, bo wierzył niezachwianie, że zykzakowata droga ludzkości prowadzi do gwiazd.

Łoskot blachy na podwórzu wyrwał go z kontemplacji. Gdy wspiął się na okno, ujrzał opadłą na asfalt rynnę. Stwierdził przy tym, że pożar nieco osłabił.

Znalazłszy w rumowisku podziurawioną płachtę, otrząsnął ją z wapiennego pyłu i zaczął układać na niej obrazy, pełen radosnej energii. Układał z namysłem, dbając o to, by się nie porysowały.

Na wierzch położył „Rakieta“.

Zawiązał z lekka węzeł i spróbował podnieść. Było za ciężko, gorączka go wyczerpała.

— Przyjdę dzisiaj jeszcze raz albo dwa — przyrzekł sobie stanowczo, zabierając się do części-

wego rozładowywania tłumoka. Ale „Rakieta“ trafiła do pierwszej partii.

Gdy znalazł się wreszcie na przeciwległym chodniku ulicy, przystanął trochę, opierając cenny ciężar o występ muru.

Miał przed sobą wygasający pożar, lecz zdawało mu się, że widzi dźwigające się na pogorzeliisku nowe jasne mury i że on sam wyszedł z płomienego kręgu odrodzony jak mityczny ptak. U schyłku życia ukazał mu się cel taki prosty i bliski

sercu — ratować od ognia, żelaza i ciemnoty rzeczy piękne, którymi ludzie przemawiają do ludzi poprzez wieki.

Wypełnił go dziwny spokój. Podniósł swój ciężar z łatwością.

Wtem ciszę naruszył potężny wybuch.

Lecz siwy człowiek nie uląkł się groźby i poszedł obroną drogą ufny w jutro.

Maria Bechzyc-Rudnicka

Jan Koczwara *)

* * *

Kiedym pisał nad ranem
(bo, gdy piszę, wiem, że żyję),
chciałem witać deszczu krople poranne.
A to łzy potoczyły się czyjeś.

Lzy ze szczęścia ktoś uрониł,
tutaj przed mym oknem.

Dzisiaj miejsca tego broni
moje serce niesamotne.

ROZMOWA ZE STARUSZKĄ

To było wtedy, gdy świt zwinął nocy skrzydła,
a ptaki rozpoczęły czas swój śpiewny.
Staruszkę napotkałem. A była jak ta wierzba,
którą napadł deszcz ulewny.

Pytałem: Czemuż, matko, płacz twój
ręce załamuje? Skądże ten ból?

Mój syn — mówiła — precz kazał iść mi
z domu. Niepotrzebna mu do szczęścia.
Tak skarży się wierzba pozbawiona liści
w martwych krajobrazu objęciach.

Dlatego idę, gdzie mnie oczy niosą.
Prędzej spodziewałam się śmierci w ów wieczór,
niżli tego, że syn mój będzie niczym posąg
kamienny o kamiennym sercu.

Mówiłem: Syn wasz, matko, zatęskni do was.
Przeprosił. Obudzi w sobie dawne, dobre słowa.

Nie miałabym żalu, iż syn mi serce kaleczy,
i poszłabym z żebraczym kijem w dłoń,
Ale to jest czas, że nawet chorą jabłoń leczy
nauką Miczurina mądry ogrodnik.

*) Młody poeta ze środowiska robotniczego.

I westchnęła jak wędrowiec, co u rozstajnych dróg
usiadłszy dopiero, a idący już wiele dni.
Potem załkała mocniej. Ten płacz tylko mógł
ze strun wydobyć czarodziej Paganini.

MOJE RODZINNE

Miasto rodzinne. Gdym cię żegnał, by odejść,
patrzałem długo jak w tęczę.
Niepokoiła się u progu życia moja młodość,
powstała z klęczek.

Byłem wtedy jak od pnia oderwana gałąź,
a tyś w zapiętym płaszczu nocy.
W tobie dzieciństwo moje krótkie zostało
jak tętent czterokonnej karocy.

Miasto rodzinne, z pamiątek najdroższe
memu dzieciństwu i młodości,
znów do mnie myśli w odwiedziny przyszły
i otwierają drzwi pamięci na oścież.

Przypominają, że w murach szkolnych, piękno
poznawałem z obrazów malarzy włoskich,
że tam przecież rozumu obręcz pękła,
powiększając troski,

że w czterdziestym piątym o zmierzchu
z uczuciem jak źródło czystym
złożyłem pocałunek swój pierwszy
na policzku czerwonoarmisty.

Powrócę do murów twoich, Zamościu —
obietujący jak muzyka niegrana,
i ostatnie dni mojej młodości
podam ci na kolanach.

Jan Koczwara

Tadeusz Chabros

RECENZJA Z RECENZYJ CZYLI JESZCZE O „ODWILŻY“

Z „Odwilżą“ stała się u nas rzecz dziwna: atmosfera, która wytworzyła się wokół tej powieści, urosła do rozmiaru symbolu polityczno-filozoficznego komentowanego w dziesiątkach różnych wersji, nicowanego w dziesiątkach pełnych poezji polemicznej artykułów, a zarazem sama książka prawie że nie doczekała się omówienia jako zjawisko literackie. Dlaczego tak się właściwie stało? Dlaczego krytyka nasza, która wielostronicowo potrafi się rozpisywać na temat pewnych pozycji, ukazujących się na naszym rynku wydawni-

czym, tym razem zamilkła, można powiedzieć, jak struś schowała głowę w piasek. O słabości naszej krytyki, o jej niedowładzie ideologicznym dużo się ostatnio mówiło i pisało; na przykładzie stosunku do „Odwilży“ braki wystąpiły szczególnie jaskrawo. „Odwilż“*) pokazała możliwość rozwiązywania pewnych problemów w sposób nowy i niespotykany dotychczas w literaturze socjalistycznej i to wystarczyło, aby zbrakło odważnych do zaję-

*) Illia Erenburg „Odwilż“, PIW, Warszawa 1955.

cia wobec niej stanowiska nie przy stoliku kawiar-
nianym, ale także publicznie, na piśmie. Dyskusja,
jaka odbyła się na zebraniu warszawskiego oddzia-
łu ZLP, na którym omawiano książkę Erenburga
(dyskusja ciesząca się zresztą olbrzymim powodze-
niem — sala „nabita“ była po brzegi, jak rzadko),
nie przyniosła właściwie — poza stwierdzeniem
dyskusyjnego charakteru powieści i zawartego
w niej nowego spojrzenia na etykę socjalistycz-
ną — żadnej jakiejś wiążącej oceny czy wniosków.

W tej sytuacji w lipcu br. ukazał się w „Życiu
Literackim“ artykuł Henryka Wandowskiego**),
omawiający głośną już bardzo „Odwilż“. Artykuł
przeczytałem ze zrozumiałym zainteresowaniem,
ale jak się okazało w trakcie czytania i z rozczar-
owaniem. Można by powiedzieć, że Wandowski
robi w stosunku do Erenburga krok naprzód i dwa
kroki w tył. Jeżeli już dopatry się w „Odwilży“
pewnych osiągnięć, to zaraz potem stara się te
osiągnięcia pomniejszyć. Przyjrzyjmy się z bliska
temu, co napisał Wandowski.

Zaraz na wstępie owego artykułu Wandowski
przyznaje, że lektura „Odwilży“ poprzedzona
gorączkowym poszukiwaniem książki po księgarni-
ach pochłonęła go, ale zaraz w następnych wiersz-
ach ogarnia go „osad wewnętrzny wstydu“ (!)
Dlaczego? Okazuje się, że Wandowski wstydził
się tego, iż i on został porwany ogólnym zaintere-
sowaniem powieścią i na postawione sobie pytanie,
„czy „Odwilż“ rzeczywiście jest takim wydarze-
niem?“ odpowiada zdecydowanie „nie“. No cóż,
pewni krytycy uważają, że jeżeli książka cieszy
się powodzeniem, to obowiązkiem krytyka jest to
powodzenie podważyć. Krytyk przecież zawsze wie
lepiej i widzi precyzyjniej. Wydaje się, że tego
rodzaju maniera pochodzi stąd, że niektórzy nasi
krytycy mają zbyt mało zaufania do odbiorcy
dzieł sztuki — przeciętnego czytelnika czy widza.
Krytykom takim wydaje się, że czytelnik szuka
tylko „niezdrowych sensacji“ i okazji do „nie-
zdrowego krytykanctwa“, natomiast troska o wła-
ściwe pokazanie problemów nurtujących nasze ży-
cie, troska o prawdziwe pokazanie człowieka ży-
jącego w naszym ustroju i budującego ten ustrój
jest przywilejem tylko krytyka. Sądzę, że trzeba
mieć więcej zaufania do ludzi — jeżeli ludzi inte-
resuje przełamywanie się problemów moralnych
w socjalizmie, to może to znaczyć po prostu (bez
żadnych podejrzliwych dodatków), że ich to inte-
resuje.

Wróćmy do Wandowskiego. Wydawać by się
mogło, że wyzwolony już z „owczego pędu“ i prze-
świadczony, że „Odwilż“ nie jest wydarzeniem,
krytyk konsekwentnie swoją tezę w tym
właśnie kierunku. Ale nie. Drugi z kolei podtytuł
artykułu brzmi: „Wstrząs, który był potrzebny“.
A więc jednak? Okazuje się, że tak. Zawstydzony
do niedawna Wandowski stwierdza: „Odwilż“ każ-
dym z nas na swój sposób wstrząsnęła, kazała

zejść z niebotycznego areopagu naszego widzenia
w burzliwe życie. I ten wstrząs był potrzebny“.

Wstrząs był potrzebny. Zgadzam się z tym zda-
niem całkowicie. Tak również jak zgadzam się
z Wandowskim, kiedy stwierdza, że „...Erenburg
(w „Odwilży“ — dop. T. Ch.) nie odkrywa nowej
Ameryki. Przypomina po prostu, że człowiek jest
istotą niełatwą do pomieszczenia w kilku formu-
łkach indywidualnością, która często nie musi pra-
widłowo politycznie myśleć, że jest ogniwem i nie-
kończącym się łańcuchem, którego każde następne
ogniwo jest równie skomplikowane, ile nieznanne.“
Truizmy, prawda? Stwierdzi to każdy, stwier-
dził i Wandowski. Rzecz tylko w tym, że o truiz-
mach przeważnie dobrze pamiętają zwykli ludzie,
rzadko krytycy, a nawet niektórzy pisarze. Bo
i Wandowski, choć przypomina o obowiązku
pamiętania o pewnych oczywistych prawdach, sam
o nich co chwila zapomina.

Wróćmy znów do artykułu Wandowskiego. Po
kroku naprzód — dwa w tył! W dalszym ciągu
swojej recenzji Wandowski przeprowadza analizę
bohaterów „Odwilży“, stwierdza, że Erenburg uka-
zał szereg najistotniejszych problemów naszej
moralności, że „pisarz podsuwa nam całe połacie
ziemi jeszcze w literaturze naszej nie odkryte“.
A więc wydawałoby się sprawy, które kwalifikują
powieść do pewnej, a nawet wysokiej rangi. Znow
jednak okazuje się, że nie. Gdy odłożyłem książ-
kę — zwierza się w następnym zaraz akapicie
Wandowski — byłem przygnębiony.

Hm, o co tu właściwie chodzi — może sobie po-
myśleć nieuprzedzony czytelnik. Czy jeżeli tyle by-
ło zamieszania z „odwilżą“, to musi być tyleż
i z „Odwilżą“? Krytyk nie musi przecież obcując
sam na sam z dziełem pisarza wsłuchiwać się także
we wszelkie szeptki, które dotarły do niego przed-
tem, z zewnątrz.

Zobaczmy jednak, w jaki sposób tłumaczy re-
cenzent swoje przygnębienie. Wandowski powtórnie
analizując bohaterów „Odwilży“ stwierdza: „Ka-
żdy z nich (bohaterów — T. Ch.) ma swoją „pię-
tę Achillesową“, ujemny rys czy nawet leciutką
skazę — z gatunku skaz moralnych“ i dla przykładu
wskazuje na postać Puchowa. Zarzuca Puchowowi,
że on, człowiek, który nigdy nie uciekał od „naj-
trudniejszych nawet spraw ludzkich“, w stosunku
do syna „tylko kiwa głową“. Bo przecież — pisze
dalej Wandowski — „historia zna i takich Puch-
owów, którzy nawet na łożu śmierci walczyli o swo-
je racje“.

Zna historia takich Puchowów, oczywiście zna.
Nie znaczy to jednak, że nie istnieją również tacy,
o których mówi Erenburg. Rzecz jednak w tym,
że nie wszyscy ludzie przechodzą do historii. I ta-
kich jest większość, tacy nas otaczają. Ma więc
chyba Erenburg prawo pokazywać i takich ludzi.
I fakt, że ich pokazuje nie może stanowić minu-
sów książki, ale raczej jej plusy. Bo przecież to
prawda, że problemy moralne, które życie stwarza,
są niejednokrotnie tak trudne i zawikłane jak
w „Odwilży“ i fakt, że człowiek nie stanowi

**) Henryk Wandowski — *Coś niecoś nie tylko*
o „Odwilży“. „Życie literackie“ nr 29.

monolitu z żelaza i stali jeszcze mu w niczym nie uwłacza.

Przygnębia również Wandowskiego i to, że w książce, jeśli chodzi o ludzi, „wszystko jakieś przeciętne, średnie...“ Wspaniałych bohaterów mieliśmy już przecież wielu na kartach naszej literatury. Bohaterów skrojonych według jednego szablonu, bohaterów wielkich i bez skazy. O skutkach dla literatury tego rodzaju sposobu podchodzenia do człowieka nie warto już chyba przypominać. Zubożenie dotknęło nie tylko literaturę, ale i wizerunek żywego człowieka.

Dlatego też nie mogę się zgodzić na „ciężką atmosferę“, na wszystkie „skazy i pęknięcia“, które chce widzieć Wandowski w książce Erenburga. Oczywiście, „Odwilż“ nie jest dziełem doskonałym, ale rozłożenie w ocenie blasków i cieni winno przesunąć się, moim zdaniem, bardziej w stronę blasków.

Osiągnięcia Erenburga są tu bowiem duże. W ostatniej swojej książce podjął on wielką polemikę moralną z niejednokrotnie przedtem schematycznie pokazywanym obrazem człowieka radzieckiego w literaturze poszerzając jednocześnie dotychczasowe ramy omawianych zagadnień moralno-etycznych. Właśnie w „Odwilży“ pokazał Erenburg żywym artystycznym przykładem, jak bardzo dalekie od prawdy są wszelkie pojęcia o życiu, jeżeli nie wyzwolą się z okuwającego je schematyzmu. A patosu, tego właśnie najlepszej jakości, też tam nie brak, mimo że — jak chce Wandowski — wszystko tam przeciętne i średnie. Patos tej powieści wyraża się bowiem właśnie w głębokiej wierze w człowieka. „Odwilż“ walczy z lakiernictwem w ukazywaniu kraju i ludzi socjalizmu, a poprzez swoją wymowę ideologiczną łamie stare, wytarte już kanony i formuły. W „Odwilży“ niekoniecznie trzeba widzieć okrzyczaną „odwilż“ — Erenburg walcząc ze starymi teoriami patrzenia na literaturę i człowieka nie zatracił pozycji pisarza głęboko partyjnego, nie zatracił celu, jaki stoi przed takim pisarzem — walki o coraz wyższą moralność, coraz bardziej klarowną postać człowieka socjalistycznego.

Chciałbym jeszcze na chwilę trafić i na nasze rodzime, lubelskie podwórko. Poza niektórymi sądami wyrażonymi w artykule (***) Leszka Siemiona zafrapowało mnie szczególnie ostatnie zdanie: „Zdaję sobie jednak sprawę, że bez względu na to, co bym o książce Erenburga powiedział — źle czy dobrze, na równi nie będzie ona musiała czekać na czytelnika“. Trzeba przyznać, że zdanie to w równej chybą mierze wzrusza, jak i rozbraja. Więc w gruncie rzeczy krytyk z góry zakłada, że z jego sądami czytelnik nie musi się liczyć. Co ważniejsze jednak wynika z tego również, że i krytyk nie musi się liczyć z czytelnikiem.

Ale dość dygresji, sięgnijmy i tutaj do materiału dyskusyjnego. Pisz Siemion: „Życie nie znosi żad-

nych fałszów. Tymczasem wszystkie trzy główne postacie powieści (Żurawlew, Lena i Korotiejew — dop. T. Ch.) pozostają do życia w stosunku jakiegoś zakłamania. Jeszcze nie tak dawno w intyę dobra społecznego konieczne były owe wyrzeczenia i ograniczenie samego siebie, jakie reprezentują Lena i Korotiejew. Ale czas nieprzerwanie idzie naprzód i łamie stare prawidła. Społeczeństwo i jednostka zrastają się na tyle, że ich dobro zaczyna się utożsamiać“.

Spróbujmy rozszyfrować o co tu chodzi. Jakim cudem np. Lena i Korotiejew znaleźli się w „stosunku jakiegoś (podkreślenie moje — T. Ch.) zakłamania do życia“. Lena i Korotiejew — to właśnie ludzie, którzy nasuwają najmniej wąpliwości, z jakiegokolwiek punktu widzenia na nich się patrzy. Im właśnie poświęca Erenburg najwięcej uwagi, w rysunku ich postaci nakreśla najklarowniej cechy człowieka socjalistycznego, podkreśla pełnię tego człowieka poprzez jedność słusznego politycznego działania ze słusznym moralnym odczuwaniem.

W dalszym ciągu zacytowanego wyżej fragmentu recenzji zachodzi, jak mi się wydaje, pewne nieporozumienie. „Odwilż“ nie proponuje wcale utrzymania pewnych wyrzeczeń na rzecz społeczeństwa (notabene nie reprezentują tych wyrzeczeń i ograniczeń — jak chce Siemion — Lena i Korotiejew). Na przykładzie tych postaci pokazuje Erenburg istniejące komplikacje moralne, których wielu pisarzy nie chciało dotychczas dostrzec malując obraz człowieka nie takim, jaki on jest, ale jakim w ich mniemaniu być powinien.

O „odwilży“, jak już wspomniałem, pisało się i mówiło u nas dużo. O „Odwilży“ — mało. Sądzę, że obecnie, kiedy zaciętrzewienie wszelkich dyskusji „odwilżowo-przymrozkowych“ w poważnym stopniu już mamy za sobą, warto by powrócić do „Odwilży“, tej niezamierzonej zapewne sprawczyni „odwilży“. Książka Erenburga poruszyła takie bogactwo problemów, tyle w niej pasji polemicznej, tyle nową spojrzenia na sprawy osobiście obchodzące każdego człowieka, że naprawdę zasługuje na szersze i dokładniejsze omówienie niż to, jakiego się doczekała dotychczas.

* * *

Czytelnik naszej prasy literackiej najczęściej chyba ostatnio styka się z dwoma słowami: szczerłość i odwaga. O czymkolwiek byłaby mowa — o elewacjach MDM, o impresjonizmie w malarstwie, o schematyzmie w literaturze czy wreszcie o istocie naszych dyskusji — ciągle i wciąż te same nawoływania: do szczerłości, do odwagi.

Ten sam czytelnik z różnych wypowiedzi dowiadyuje się również o dezorientacji, jaka ostatnio panuje w sprawach zadań i oblicza naszej literatury. Dowiadyuje się, że literatura po długich i ciężkich cierpieniach wyzwoliła się wreszcie ze szczenińskich ramek i że teraz brak jej właśnie —

***) Leszek Siemion: „Odwilż“. „Kultura i Życie“ 1955 nr 30.

ramek. Odżegnano się od wszelkiego komendowania, nastawiania, zamawiania tematów i... wszystko zawisło w próżni. Słowem zakończył się etap jeden, a nie rozpoczął się następny. To „bezetapowe“ bezkrólewie charakteryzuje się wy-czekiwaniem, oglądaniem się za nową „linią“ i szukaniem winnych.

I oto z międzyetapowej pustki wyłonił się na łamach „Nowej Kultury“ „Poemat dla dorosłych“ Adama Ważyka. „Poemat“ wywołał burzę równą chyba burzy na temat „Odwilży“. Zobaczmy, jak tutaj w ogólnym zarysie potoczyła się dyskusja.

Pierwszy o swoich wrażeniach opowiada Bogdan Czeszko („Trybuna Ludu“ nr 245). Czeszko w pierwszej części swoich „Deliberacji“ rozpatruje wiersz Ważyka w oderwaniu od jego poprzedniej twórczości i oto czego się w nim dopatrył: „całość poematu zrobiła na mnie wrażenie czegoś szczególnie tragicznego i przesyconego przytłaczającą zgryzotą“. Czeszko widzi w wierszu „wielki metafizyczny ból“, „apokaliptyczną wizję“, „weltszmerc“, wizję człowieka „z ponurych snów Kafki rodem“, obrazy „okrutnie nieludzkie“ i naturalistyczne. Wszystko to określa jako wynik hysterii demaskatorskiej.

Jan Strzelecki („Nowa Kultura“ nr 37) snuje dalej mniej więcej tę samą nić: „Poemat“ jest „litanią o zmiłowanie nad szarym człowiekiem“, „księgą zgryzoty“, „dziennikiem topielców“, „pieniem mordowanych przez sępy abstrakcji“, „notatnikiem poetyckiego przerażenia“, „pieśniami zgryzoty“, „wielkim freskiem narodowych żalów“ wreszcie.

Jerzy Putrament, tak pełen zawsze pasji polemicznej i demaskatorskiej, zabrał głos również w sprawie „Poematu dla dorosłych“ („Przegląd Kulturalny“ Nr 36). Aby dowiedzieć się o co chodzi w „Poemacie“ Ważyka, trzeba, według Putramenta, najpierw przebrnąć przez... wiersz Woroszyńskiego, a potem znaleźć się w kręgu „naszych ludzi kultury, którzy jakby dostali nagle lat osiemnastu i zapadli na pierwsze swoje „wszechświatowe“ zwątpienie“. „Starzy cwaniacy — pisze dalej Jerzy Putrament — którym tuziny kapeluszy pozrywał wiatr na zakrętach historii, którym jednak tą niewielką ceną udało się wykreść przed wywrotką — zahaczeni dzisiaj zwyczajniutkim „co słycać“ — bełką coś niepojętego, stulają oczy, albo zaczynają prześcigać się w obalaniu pewników, stanowiących dotąd źródło ich osobistej potęgi. Tak, jak do niedawna cała ich mądrość polegała na bezbłędnym cytowaniu Autorytetu — tak teraz gorączkowo próbują czy zwyczajne wyrócenie Autorytetu do góry nogami nie przysporzy im pewniejszej mądrości w nadciągającym etapie“. Dalej dowiadujemy się, że cwaniacy „gwałtownie polują za kimś, komu dałoby się wsunąć wszystkie śmiecie własnej duszy“, że poszukuje się pilnie kozłów ofiarnych.

Trudno zorientować się, czy Putrament pisząc o „ludziach kultury“ myśli tylko o Ważyku, czy rzeczywiście o ludziach kultury. Wydaje się jednak, że raczej to ostatnie. A jeżeli tak — to,

hm, właściwie trzeba się zastanowić, dla jakiego obrazu rzeczywistości należałoby użyć przymiotnika „apokaliptyczny“ — dla tego, który pokazał Ważyk, czy dla tego, który opisał Putrament.

Najdalej w krytyce Ważyka poszedł Wojciech Barcz („Trybuna Wolności“ nr 539). Dla Barcza „Poemat“ zawiera „złą, okrutną półprawdę“, „mentorską oschłość“ i „besserwiserstwo“, jest pełen „zapieklej goryczy i nieomal pogardy“. Sam Ważyk jest już tutaj „winowajcą“.

Zastanówmy się spokojnie nad sprawą wiersza Ważyka. Kiedy czytałem po raz pierwszy „Poemat dla dorosłych“, muszę przyznać, że rzeczywiste wywarł on na mnie przygnębiające wrażenie. Potem przeczytałem go jeszcze raz i spróbowałem zanalizować to wrażenie. Tak, Ważyk pisze w sposób, jakiego nie używano u nas dotąd. A co pisze? Czy ja, jako odbiorca, a zarazem jako obywatel tego samego kraju, mogę zgodzić się z obrazem przedstawionym przez poetę? Skwitować jednym słowem „tak“ lub „nie“ całej treści zawartej w „Poemacie“ nie można. Są tam sformułowania, które od razu budzą gorący sprzeciw: — nie, to nieprawda, a są i takie, z którymi zgodzić się trzeba. Oczywiście nie można zgodzić się z takim, na przykład, fragmentem „Poematu“:

*Wielka migracja przemysł budująca,
nieznana Polsce, ale znana dziejom,
karmiona pustką wielkich słów, żyjąca
dziko, z dnia na dzień i wbrew kaznodziejom —
w węglowym czadzie, w powolnej męczarni
z niej się wytapia robotnicza klasa.
Dużo odpadków. A na razie kasza.*

Jeżeli w ten sposób wyobraża sobie Ważyk przekształcanie się chłopów w klasę robotniczą, to trzeba byłoby przypuścić, że nie widział on z bliska ani chłopów, ani robotników.

Na ogół jednak jeżeli chodzi o fakty, a nie o nastrój i atmosferę, dyskutanci godzą się z Ważykiem. Godzi się i Czeszko, godzi się nawet i Barcz. Czeszko, kiedy pisze o pewnych fragmentach „Poematu“, że „słuszne są te szydercze strofy bijące w głupotę ludzi stosujących sofistykę i dogmatyzm zamiast zdrowego rozsądku“ i że „słuszna jest gorycz z powodu zakłamania nadgorliwców“, Barcz, kiedy konstatuje, że „czyta deklamacja, inflacja frazesów, zimne dogmaty przy rzeczywistej pustce w sercach i głowach, a w rezultacie obrazy życia boleśnie drwiące z naszych ideologicznych założeń — to są rzeczy znane, których nie ukrywamy i nie zamierzamy ukrywać“. Dalej pisze Barcz również jako o faktach o „rutyniarstwie, o zimnym i bezdusznym teoretyzowaniu, o nudzie referatów i odczytów, o tchórzostwie, które kryło pod warstwą pudru rany, które trzeba było leczyć“. Tylko — dodaje Barcz — mówić na ten temat mają prawo ci, których „grzeje miłość, a nie poi żółć. Winowajcy bowiem (Ważyk — T. Ch.) nie mają prawa do żółci“.

Słabość dotychczasowej dyskusji nad „Poematem dla dorosłych“ jest zbieżna z zasadniczą

wadą samego „Poematu“. Poemat pokazał jedną stronę naszej rzeczywistości, dyskusja zajęła się jedną stroną poematu. Jednostronność w wierszu skrzywiła obraz naszego życia jako całości, jednostronność krytyków rozpatrujących tylko atmosferę i nastrój stworzyła niebezpieczeństwo zlekceważenia zła, o którym mówi wiersz.

Wiemy, że nasz dzień dzisiejszy, obok wielkich i jasnych stron, ma również i ciemne. Jest wiele zła w naszym życiu, które nie zawsze na codzień dostrzegamy. Oczywiście zrobiliśmy już dużo w dziele wypełnienia tego zła, ale nikt rozsądny chyba nie myśli, że zrobiliśmy już wszystko. Inaczej bowiem założylibyśmy ręce i spoczęli na laurach. Ale istnieje jeszcze i takie niebezpieczeństwo. Niemówienie o pewnych sprawach, zamykanie na nie oczu może się przekształcić w zapomnienie o nich i pogodzenie się z nimi. O tych ciemnych stronach naszego życia mówili przeważnie artykuły publicystyczne, literatura raczej o nich milczała. Ważyk zrobił pierwszy krok z utartych ścieżek. Rolą krytyków jest poka-

zać potknięcia, a nie całkowicie potępić, nie wciągać Ważyka niemal na wrogie pozycje.

Przecież wywiekanie zła na światło dzienne odbywa się na różne sposoby. Czasami bywa ono wynikiem zupełnie nieoczekiwanych okazji — tak stało się z wymienionym wyżej artykułem Putramenta i „Poematem dla młodych“ napisanym przez Joannę Sierpińską („Nowa Kultura“ nr 36) jako odpowiedź na wiersz Ważyka. Sierpińska to bowiem m. in. pisze o „partyjniakach zachłystujących się socjalizmem, a zarazem mrużących oko“, o tych, co „sprzedają życie za garść cwaniackich zasad“, o tych wreszcie, co „socjalizm rozmieniają na drobne“.

Nad „Poematem dla dorosłych“ powinno się jeszcze dyskutować. Chodzi tylko o to, aby dyskutanci ustosunkowywali się nie tylko do atmosfery, ale i do faktów, które zawiera poemat. A gdy zachowane zostaną właściwe proporcje, wyciągnięte zostaną również i właściwe wnioski.

Tadeusz Chabros

Konrad Eberhardt

ODEJŚCIA I DOJŚCIA

Z wielu spotkań i rozmów przeprowadzonych w czasie festiwalu (jakże natarczywym staje się przekonanie, że odbyło się ich mimo wszystko za mało!) — najwięcej chyba przyniosło mi spotkanie z francuskim krytykiem literackim i pisarzem, André Wurmserem. Miało ono miejsce w tym samym hotelu, gdzie przed półtora rokiem odbyła się nasza pierwsza rozmowa, nawet w identycznym pokoju, tylko na innym piętrze. Pamiętam doskonale, jak pędziłem wówczas na to spotkanie, które zapoczątkowało naszą miłą i owocną znajomość. Ma już ona swoją niewielką historię. André Wurmsera poznałem podczas obrad Plenum Związku Literatów Polskich w Warszawie, w czerwcu ub. roku. Stał w hallu, w przerwie między obradami i wydawał się na kogoś oczekiwać. Rozmowa nasza zaczęła się od udzielonej przeze mnie informacji, a skończyła się... Właściwie trudno powiedzieć „skończyła się“, przerodziła się w dość ożywioną dyskusję, po czym została zawieszona na czas powrotu do sali obrad, nie bez zapowiedzi wznowienia jej na terenie hotelu „Bristol“. Skorzystałem z radością z zaproszenia i oznaczonego dnia przybyłem do pokoju A. Wurmsera. Pamiętam, że na biurku leżała powieść Simony de Beauvoir i od niej zaczęła się nasza rozmowa. Trwała dosyć długo. Zachęcony usilną prośbą o szczerze wyrażenie swoich sądów — podzieliłem się moimi wątpliwościami, przeto znowu rozwinęła się dyskusja

i znowu nie została zakończona. Złożyło się tak szczęśliwie, że kilka wartościowych książek, którym Wurmser poświęcił artykuły w „Les Lettres françaises“, przyszło do mnie niemal w tym samym czasie z Francji, nie brakło więc materiału do konfrontacji dzieł z opiniami krytyka. Ponieważ czas był jednak ograniczony — wyznaczaliśmy następne spotkanie, do którego niestety nie doszło. W niedługi czas potem Wurmser wyjechał do Paryża. Sądziłem, że na tym urwała się nasza dyskusja, gdy ku swemu zdziwieniu odnalazłem jej dalszy ciąg... na łamach „Nowej Kultury“.

Oto dnia 29 sierpnia 1954 r. ukazał się list otwarty André Wurmsera pt. „A jednak słońce wschodzi... List do młodego pisarza z Lublina o literaturze dobrej, nieco gorszej i nie wartej złamanego grosza“, gdzie pisarz powrócił do spraw, o których mówiliśmy w Warszawie.

W liście tym czołowy krytyk pisma „Les Lettres françaises“ nakreślił ogólny obraz współczesnej literatury francuskiej, wyodrębnił tendencje rozwojowe, procesy przeobrażające, niezdolne już stworzyć dzieła bliskiego człowiekowi naszych czasów. A przede wszystkim powrócił do sprawy, o jakiej tak wiele mówiliśmy w Warszawie, do sprawy wartościowania dzieł literackich. Którym z nich przyznać pierwszeństwo, jakie „zasługi“ pisarza uznać za decydujące? Tutaj przebiegała główna różnica, główny podział między nami.

Byłem zdania i wyraziłem otwarcie Wurmserowi swoje wątpliwości, że francuscy krytycy postępowi gotowi są wystawić autorom nieudanych nawet prac literackich ulgowe oceny, przymknąć oczy na rażące braki artystyczne, jeśli pisarz dzieli zapatrywania polityczne, jeśli posługuje się orężem tej samej ideologii. Czy jest to słuszna postawa? W gruncie rzeczy tego rodzaju stanowisko może przynieść jako rezultat obniżenie poziomu, odejście od literatury „wysokich wymagań”. I jeszcze jedno — zupełnie szczerze podejrzewałem Wurmsera, że wystawiając swoje pochlebne cenzurki, „w głębi duszy” sam nie obdarza ich zaufaniem, czyni tak, „bo trzeba”. Ale po ukazaniu się listu otwartego przerzuciłem raz jeszcze „materiał dowodowy”, na którym opierałem swoje pośpieszne oskarżenia i do-

„W granicach realizmu”, a następnie list z ub. roku. Kiedy w naszej prasie literackiej nazwiska współczesnych pisarzy Zachodu nie ukazywały się wcale, pan wołał o zbliżenie się do ich dzieła, o wydobycie z nich wszystkich wartości intelektualnych i artystycznych. A przede wszystkim wysłedzenia w nich owych tendencji ewolucyjnych, rozwojowych... Pochylenia się nad nimi niemal z tym samym szacunkiem, jak i nad twórczością pisarzy obozu socjalistycznego...

— Cieszę się, że docenia pan, młody przyjacielu, rolę tych moich listów — uśmiecha się Wurmser.

Ba! Trudno nie doceniać ich twórczego wpływu, skoro przekonują nas o tym, co dla nas od dawna powinno być prawdą oczywistą. Gdy u nas nawet znakomity teatr Brechta spotkał się

*à mes amis de Lublin, avec
toute ma sympathie pour le
lecteurs et le rédacteurs de
Kamena*

André Wurmser
Warsaw, 12 août 55

Moim przyjaciółom z Lublina z wyrazami sympatii
dla czytelników i redaktorów „KAMENY”.

André Wurmser

szedłem do wniosku, że zarzuty moje były przesadzone i że w najogólniejszym sensie Wurmser ma rację. Dlatego ucieszyłem się, że przyjechał na Festiwal w charakterze honorowego gościa i że mogłem dzięki temu podzielić się z nim swoim „ostatnim” przekonaniem.

— Czy jest pan teraz zdania, że niesłusznie czynię stawiając na pierwszym miejscu książki, może nie pozbawione błędów literackich, które wybiegają jednak myślą naprzód, tworzą niejako „oparcie moralne” dla naszego i przyszłego pokolenia? — zapytał krytyk.

— To, co mnie przekonało o słuszności pana postawy, monsieur, to nie zgoda na słabości postępowej literatury, ale coś zupełnie innego, mianowicie pana akcja „w obronie” powieści, jeśli nie obcych, to w każdym razie oddalonych ideowo od pańskiego obozu. Co tu dużo gadać, to przecież pan uczył nas szacunku dla współczesnej, mieszczańskiej literatury francuskiej, do Jean-Paul Sartre’a, Simony de Beauvoir, Roberta Merle’a, Pierre Gascara, Yves Gibeau i wielu innych. Wystarczy przypomnieć pana list otwarty do redaktora „Nowej Kultury” Leona Przemskiego pt.

z „ostrą, ideologiczną odprawą” i odmówiono mu nawet prawa wejścia do przedsiönka sztuki realizmu socjalistycznego, tam, grupa pisarzy „Lectres françaises” zgromadziła wokół swego pisma takie wielkie nazwiska świata mieszczańskiego, jak Jean Cocteau, obecnego członka Akademii Francuskiej, Sartre’a, Merle’a, Gascara i szeregu innych. Jakże wspaniale został tam rozwiązany problem „współistnienia kulturalnego”! Ale nie tylko te spostrzeżenia skłoniły mnie do przyznania racji „asymilującej” postawie A. Wurmsera, włączającej jak najwięcej zjawisk w orbitę oddziaływania sił postępu, uważnego odnajdywania w książkach współczesnych prawdziwego obrazu rozwoju rzeczywistości historycznej. Przekonało mnie o tym „wydarzenie” literackie, które wywołało w całej Europie ogromne poruszenie, mianowicie ukazanie się powieści Simone de Beauvoir pt. „Mandaryni” (nagroda Goncourtów 1954 roku.)

Autorką tej powieści o tak zaskakującym tytule jest żona Sartre’a, wodza egzystencjalistów francuskich — twórca licznych powieści i rozpraw, w których podzielała filozoficzne przeko-

niania swego męża. Jest kobietą najściślej związaną z francuską elitą intelektualną, wychowaną w klimacie umysłowego wykwinu. I ta właśnie kobieta w dziesięć lat po zakończeniu wojny wydaje ogromną powieść o życiu własnej sfery, własnego środowiska, jakiś wielki zbiór notatek i obserwacji. Spostrzeżeń beznamiętnych i ważnych, a dzięki temu tym silniej oddziaływających na czytelników. Tytuł książki „Mandaryni“, dotkliwie ironiczny, dotyczący „kapłanów myśli i słowa“, intelektualistów przenoszących troskliwość znicz wielkich francuskich idei filozoficznych: racjonalizmu, sceptycyzmu i pesymizmu. Ludzi, przyznających sobie dzięki temu wielkie przywileje społeczne i moralne, ponad społeczeństwem, ponad historią. Nakreślając główną postać swej powieści, pisarza Roberta Dubreuilha, autorka z pewnością miała na myśli swego męża, Jean-Paul Sartre'a, głównego teoretyka i przedstawiciela w powojennej literaturze francuskiej egzystencjalizmu. Sportretowała w swej książce cały szereg pisarzy, z którymi przez długie lata łączyły ją węzły przyjaźni. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejszy jest klimat tej książki, uświadomienie sobie przez tych ludzi swojej klęski moralnej i politycznej. Bo przecież przez lata całe ludzie ci, opisywani przez Simone de Beauvoir, „reprezentowali“ i „decydowali“ nie tylko w imię mieszczańskiego świata, ale całego narodu. I nagle, tuż po wybuchu bomby atomowej nad Hiroszimą, która jednym podmuchem odebrała istnienie 200 tysiącom ludzi — „mandaryni“ poczuli nagle uświadamiać sobie, że zbyt mało reprezentują, zbyt niewiele sami znaczą, aby móc zająć własne stanowisko wobec narastających procesów historycznych. Cóż może pomóc najbardziej nawet wyczulony aparat notowania zjawisk psychologicznych, przeprowadzania dowodów myślowych wobec inwazji amerykanizmu na kontynencie europejskim, coś może subtelna, pesymistyczna filozofia ludzkiej samotności i bezsensu istnienia, jaką jest egzystencjalizm — wobec narastającej rewolucji społecznej! Mandaryni pojęli nagle, że nie znajdują się już na linii głównych starć i problemów epoki, że historia odsunęła ich na bok. Że nie reprezentują już siły zdolnej „przeciwstawić się“, czy stworzyć „trzecie wyjście“. Taka właśnie akcja w pierwszych latach powojennych sartrowskiego pisma „Les Temps modernes“ nie dała oczekiwanego rezultatu i dać go nie mogła — twórcy tego kierunku musieli bowiem znaleźć

się albo na pozycjach antykomunistycznych, albo chociażby najdalej stojących, neutralnych „zwolenników“ postępu. Sytuacja wyklarowała się tak jasno, że już w kilka lat po zakończeniu wojny nie można było we Francji dokonać wyboru poza tą alternatywą. I intelektualiści francuscy dokonują tego wyboru. Jedni przechodzą na stronę jawnych wrogów socjalizmu — inni jego dalekich zwolenników. Jeżeli nawet nie są całkowicie przekonani o jego słuszności, to w każdym razie wiedzą, że do niego należy przyszłość historyczna. I o tym właśnie napisała autorka nie stojąca bynajmniej najbliżej obozu postępu. Trzeba szanować jej wyznanie. Do tego właśnie szacunku nawoływał w swoich listach otwartych André Wurmser. Bo przecież te właśnie wyznania są najcenniejsze, są one sprawdzianem realistycznego widzenia rzeczywistości. To jest właśnie sprawdzian przemian i fermentów zachodzących w społeczeństwie mieszczańskim. Tego, że nie są one wymyślone przez Simone de Beauvoir, może dowieść premiera farsy Jean-Paul Sartre'a „Niekrasow“, skierowanej przeciw antykomunistycznym akcjom w prasie francuskiej. „Mandaryni“ są powieścią, która trafnie zobrazowała „odejście“ intelektualistów od swoich (w sensie środowiska) i „dojścia“ do swoich (w sensie narodu).

...czy niesłusznie czynię stawiając na pierwszym miejscu książki nie pozbawione błędów literackich, ale wybiegające myślą naprzód, które tworzą niejako oparcie moralne dla naszego i przyszłego pokolenia?... — przypominają mi się słowa André Wurmsera.

Oczywiście, zadaniem krytyka jest odkryć i otoczyć opieką dzieła, w których rodzi się nowe widzenie świata. Właśnie w „Mandarynach“ Simone de Beauvoir dowiodła, że większość intelektualistów nawet dla siebie oparcia tego nie posiada. Życie ich toczące się w cieplarnianej atmosferze konsumpcji najwyższych wartości kulturalnych zatracca swój „ciężar gatunkowy“, maleje opór materii życia, którą człowiek musi stale kształtować na nowo według swoich zasad moralnych. W tym świecie wszelkie zasady straciły swoją moc obowiązującą. Pozostała pustka. Trudno ją zapełnić ludziom zbyt ufnym w moc intelektu. Dlatego ludzie ci muszą zawrzeć przymierze z tymi, którzy mają ambicję przemienienia świata.

Konrad Eberhardt

Andrzej Turczyński
KANDELABR WEIMARU*)

I

Całował zwiewny wietrzyk
szczyty weimarskich gór,
a w leśnej głuszy ptasząt chór
śpiewał kaskady dźwięcznych wierszy.

Bładoniebieską wód weimarskich toń
muskaly gołębiane skrzydła, —
— błądy chylał otulał skroń
numidyjskiego straszdyła.

Wysokich, smukłych topoli szczyt
błękitne bodzle niebo,
o chmury się rozbija krzyk
Schillera: „Kochać nie można — Dlaczego?”

II

Przeszedłeś tędy,
o wielkich śmiałych oczach,
w zielonym wieńcu z lauru
zsuniełym na czoło, z rudych włosów.

Przeszedłeś tędy i stopą olbrzyma
odcisnąłeś ślad wielki, gorący,
ślad co utrwała, lecz nie zmienia
ludzkiej prawdy i ludzkiej miłości.

Przeszedłeś, jak to co trwa i nie ginie,
z wymiętym w rękach eposem,
w świetle niemieckiej złotej glorii,
z pachnącym drukiem „Don Carlosem”.

Szedłeś mówiąc w górze stwórcy,
że ludzka jest jedyna wielkość,
że twoja sława i że „Zbójcy”
zapewnią tobie nieśmiertelność.

Popędziły konie pocztowe,
popędziły zapyłoną drogą,
jak to źle, że ludzie nie mogą
zapomnieć o starym, gdy jadą w nowe...

Szły tęskną piosnkę bzy
niosąc daleki zew po kraju,
szumiały chmury roniąc łzy,
Schiller uciekał z Weimaru.

III

Zakurzona droga, heń, za rzeką
zapłakane wichrowe nieba,
gdzież to uciekasz, poeto,
powiedz — może ci brak chleba?

*) Wierszem tym debiutuje w druku młody lublinianin, ur. w 1938 r.

Czyż miedziany ogień twej czupryny
nie podpali serc i zatrzyma łez,
gdzież tak pędzisz śladami nieznanymi,
stój! nie odjeżdżaj, zapal świecę i napisz wiersz.

— Nie zatrzymuj mię, spokojny wędrowcze,
droga jeszcze ku gwiazdom daleka,
ja do sławy pospieszam, krocę,
a nie jak ty mówisz — dla chleba.

— Trudno, pędź, panie, nie moja rzecz,
lecz pamiętaj, byś piewcą stał się Niemiec,
pław się, szalej w laurowym winie,
ale powróć, w nowych czasach, nowy pisać wiersz.

IV

Smutna świeczka łojowa,
smutny prosty wiersz,
ciężko wrywać słowa
ze skał splukanych przez deszcz..

szumi gniewem trucizna łez,
na dachy kur czerwony skoczył,
Paryż bije sercem, o serca bez serc!
W Wersalu smoka zoczył.

Na białych bagnietach w górze płynie
trójkolorowej Marsylianki gniew,
sztandar niech mściwy się rozwinie
i żółty Paryż zaleje karminowa krew.

Jęki, wystrzały, armaty; złość się,
kolorowa francuska rewolucjo,
niech świat czarny wie,
że lud zgnieść trudno..

Kończy się świeca łojowa,
kończy się prosty wiersz,
łatwo wyrwałś słowa
ze skał rozsadzonych przez deszcz.

V

Wielkie ogrody książęce,
ponury kościół Trójcy,
lecz to jest właśnie święte miejsce,
stąd wyszli na świat „Zbójcy”.

W zimne wieczory dysk miesiąca
w tańcu goniący się z obłokiem,
srebrzystych jezior woda lśniąca
i pyski końskie nad obrokiem.

Świeca kwitła nad głową czerwienią,
głowa kwitła jak róża myślami.
„Wilhelm Tell” zbrojnym ramieniem
niewolę gasił płomieniami..

Tron zalany łzami i ziemi,
kirem błota obleczony trotuar,
czemu cisza — ty wiesz, ja wiem —
zginęła „Maria Stuart”.

Kochałeś, śmiałeś się, łamałeś
dzikie róże z książęcego ogrodu...
ruszałeś razem na wielką wyprawę
z „Dziewicą z Orleanu”.

Skończyłeś pisać, myślisz siedząc
w rzeźbionej ławce, zimnym wieczorem,
wielkości gwiazd złocistych mierząc
i oczekując rozmowy z Moorem...

VI

Roztętnione śmiechem przedmieścia,
marmurowy pomnik w złocistym sadzie,
tutaj mieszkał wielki człowiek — poeta,
który pisał i mówił o prawdzie.

Wieczór cichy podobny do pieśni,
rozedrgany światłami gra,
po to by wykuwać strofy dźwięcznych wierszy,
nie musi bólu serca kalać iza.

Wśród buchających ogni morza
twój puklerz w słońcu jasnym błyskał,
aż do tej chwili, gdy wolność zorzą
frygijską czapką nad tobą wytrysła.

Twój pomnik, twoja złota postać,
powstała w czasach „burzy i naporu”,
by jabłko sławy zakazane dostać
i nowe życie wyrwać z popiołu.

7. IX. 1955 r.

Andrzej Turczyński

Jerzy Mikke

„OBY WSZYSCY STANOWILI JEDNOŚĆ”

Niewielu jest w dziejach literatury światowej pisarzy, którzy potrafiliby, tak jak Mickiewicz, wyrazić najistotniejsze dążenia i tęsknoty swego narodu.

Niewielu było pisarzy, którzy swoim piórem, swoją poezją zdobyli sobie nie tylko pomniki wielkości wśród potomnych, ale przewodnictwo duchowe i polityczne wśród swoich współczesnych, którzy mogliby, jak Mickiewicz, powiedzieć o sobie, że sięgnęli po „rząd dusz” w narodzie, że „ja i Ojczyzna — to jedno”.

Był bowiem Mickiewicz nie tylko genialnym piewą narodu, obdarzonym niezwykłym darem słowa poetyckiego, ale był także płomiennym publicystą, zabierającym głos w każdej konkretnej sytuacji, był czystej krwi działaczem politycznym, myślicielem, uczonym, a u kresu życia — rewolucyjnym bojownikiem sprawy wolności lu-

dów w Europie. Był artystą i organizatorem wyobraźni narodowej, lecz w równej mierze był człowiekiem czynu, żołnierzem idei. Umiał w niezwykły sposób zespolić fantastyczne wzloty wyobraźni z realizmem i precyzją myślenia, serce z rozumem, pragnienia i tęsknoty — z upartą wolą ich urzeczywistnienia, gorący patriotyzm, umiłowanie własnej ojczyzny — z internacjonalistycznym, głęboko humanistycznym ukochaniem człowieka i ludzkości. Dzięki swojej zadziwiającej wszechstronności imię jego stało się dla cudzoziemców symbolem narodu walczącego o „wolność waszą i naszą”.

* * *

Te wszystkie właściwości jego natury umieli w pełni ocenić współcześni. Obecnie, w setną rocznicę śmierci poety, którą obchodzą pod patro-

natem Światowej Rady Pokoju wszystkie narody, wydaje się specjalnie na czasie przypomnienie o kilku najdawniejszych obchodach i manifestacjach ku czci Mickiewicza, samorzutnie zorganizowanych przez cudzoziemców jeszcze za życia poety.

Pierwszą wzmiankę o takiej masowej manifestacji spotykamy w związku z przybyciem Mickiewicza do Lozanny w dniu 27 czerwca 1845 roku. Przybywał wówczas do Szwajcarii przeżywając najtrudniejszy okres swego życia. Pograżony w mrocznych oparach towiańszczyzny, przybywał z misją poufną do „mistrza“, aby zdać sprawę z działalności Koła w Paryżu i uzyskać przebaczenie za opieszałość w służbie „bractwa“. Przybycie do Szwajcarii nawet w tej ubolewania godnej misji miało jednak zbawienne konsekwencje dla dalszego rozwoju stosunków poety ze sławnym szarlatanem. Jego ówczesne spotkania z Towiańskim uświadomiły Mickiewiczowi z całą jasnością niszczyielski wpływ demonicznego mistrza. Odtąd w ich wzajemnych stosunkach zaczęła przebijać coraz częściej nuta rozżalenia i nieufności, a wkrótce drogi ich rozejdą się zupełnie.

I otóż w dniu, w którym przybył do Lozanny, aby odnowić stosunki z miejscowym środowiskiem uniwersyteckim, spotkała poetę nieoczekiwana owacja. Na wieść o obecności Mickiewicza młodzież akademicka, przybyła pod gmach hotelu, zorganizowała samorzutnie manifestację przy dźwiękach kapeli i płonących pochodniach. W tej „sympatycznej demonstracji“ — jak ją nazwał miejscowy dziennik „Nouveliste Vaudois“, wzięła udział nie tylko młodzież akademicka, lecz i „znaczną część obywateli“, chociaż uroczystość ta odbyła się o północy.

Mickiewicz, szczerze wzruszony, wyszedł na przeciw tłumów i gorąco przemówił:

„Jesteście dziećmi kraju wolnego wśród Europy niewolnej; jesteście dziećmi kraju, który nie raz dał przytułek ludziom prześladowanym nienawiścią starej Europy, gdyż waldejczycy należą już do Europy przyszłej, a należą do niej wskutek historii swojej i charakteru“.

Mówiąc o wyzwoleniu Polski, poeta rzekł: „Przekonanie to daje mi siłę do życia i działania. Kiedy doczekam się tego dnia 'szczęśliwego', to i wówczas jeszcze przypomnę sobie wasz kraj gościnny i nie zapomnę przyjęcia, jakiego doznaję od was dzisiaj...“

Uroczystość zakończyła się okrzykami na cześć obu narodów i witałami ku czci uwielbianego profesora.

Wkrótce po powrocie do Paryża poeta spotkał się z równie nieoczekiwanymi objawami pamięci i gorącej czci ze strony młodzieży francuskiej. 13 września 1845 roku liczna delegacja studentów przybyła do mieszkania Mickiewicza i wręczyła mu medalion z brązu, wykonany przez Borela z podobiznami poety oraz dwu jego znakomitych kolegów, profesorów Collège de France — Quineta i Micheleta; na drugiej stronie medalionu

widniał napis: „Ut unum omnes sit“ (oby wszyscy stanowili jedność) oraz: „La France et les auditeurs du Collège de France“.

W tym akcie wzruszającego przywiązania akademicy paryscy wyrazili swój protest przeciw zawieszeniu Mickiewicza w czynnościach profesorskich oraz śledztwu wszczętemu przeciw Michelet i Quinet przez reakcyjny rząd Ludwika Filipa. W odpowiedzi na przemówienie studenta medycyny Bertillon, wyrażającego w imieniu delegacji oburzenie z powodu decyzji władz, Mickiewicz stwierdził, że przyszłość świata należy do młodych, po czym z właściwym sobie temperamentem powiedział:



„Zresztą nie jestem ja tylko Polakiem reprezentującym wśród was ten naród, co się dla ojczyzny waszej poświęcał; jestem przede wszystkim człowiekiem oczekującym rozwiązania wielkiego zagadnienia, którego wy tylko dokonacie. Z Micheletem i Quinetem złączyłem się dlatego, że w nich dojrzałem myśl tę samą. Jak ja, uczyli i oni, że posłannictwo Francji jest wszechświatowe i że ludy żyć mogą tylko przez nią i z nią. W tym jest bez wątpienia przyczyna tych wszystkich objawów spólcucia, któreśmy w was znaleźli, a które są sercom naszym drogim. Bądźcie mężni, jak wasi sławni przodkowie, ale bądźcie też niezłomni jak oni. Zdaje mi się, że widzę wasze rysy wyrze wraze z moimi na bronzie, którzy mi dajecie; nie zapomnę was nigdy, ale niech żadnego z was nie zbraknie przy apelu, kiedy dzień spólnego pochodu nadejdzie. Biada tym, którzy będą nieobecni“.

Jak z tego widać, nawet w najbardziej ponurym okresie towiańszczyzny nie opuszczała poety wiara w konieczność czynnego działania, w słusność walki za wszelką cenę.

6 marca 1848 roku, w kilka dni po ogłoszeniu republiki, w gmachu Sorbony odbyła się uroczy-

stość przywrócenia katedr profesorskich Quinet i Michelet przez rząd rewolucyjny. Mickiewicz przebywał wówczas we Włoszech, zajęty formowaniem Legionu. Uroczystość ta przeobraziła się w zbiorową owację ku czci polskiego poety i jego ojczyzny.

„6 marca 1848 — pisał Michelet — mieliśmy szczęście Quinet i ja powróciłem do naszych katedr dzięki Rzeczypospolitej i Rewolucji, dzięki zwycięstwu ludu, szkół, Francji. Na to rodzinne święto (a liczną była rodzina) byliśmy zmuszeni udać się do Sorbony, do jej wielkiej sali, największej w Paryżu. Kazaliśmy na katedrze umieścić trzy siedzenia, z których jedno przeznaczone było dla Mickiewicza, niestety, nieobecnego“.

W przemówieniu inauguracyjnym profesor Michelet w pełnych szlachetnego patosu słowach wyraził głęboką symbolikę tej uroczystości:

„Nie, trzeba jedności świata, nie można się przed nią cofnąć, jedności wolnej, jedności świętej, jedności płynącej z ducha i serca. Takim znamięm jedności to krzesło opróżnione. To krzesło Polski, krzesło naszego drogiego i wielkiego Mickiewicza, poety narodowego pięćdziesięciu milionów ludzi, tego, którego słowo wydawało się złączeniem świata, federacją Wschodu i Zachodu i sięgało z Collège de France aż po Azję. To krzesło — krzesło Polski. Ale Polska czemuż jest ona? Przedstawicielem najogólniejszym powszechnych cierpień. W niej widzę lud cierpiący“.

Nie mniej wzniośle przemówił Quinet:

„W imieniu Rzeczypospolitej powracamy na te katedry. Władza królewska nam je zamknęła, lud nas do nich przywraca. Dzięki niech będą za to wielkiemu ludowi: wyrobnikom, gwardii narodowej, obywatelom wszystkich warstw, młodzieży wszystkich szkół, wam wszystkim towarzyszący bronni, którzyście na polu walki o prawo i sprawiedliwość otworzyli światu wiekopomną erę... Przerwywam na chwilę, żeby połączyć z tą uroczystością imię naszego kolegi, naszego przyjaciela, przybranego syna Francji, Mickiewicza; mimo że nieobecny, wielkie jego serce jest tutaj pośród nas, wraz z duchem jego braci Polaków i Słowian“.

W tym samym czasie, gdy republikańska Francja z młodzieńczym entuzjazmem manifestowała na cześć polskiego poety i uczonego, demokra-

tyczne Włochy przyjmowały uboższego zesłańca i jego dwunastu pierwszych legionistów i uczniów, jak woda wielkiej sojuszniczej Sprawy, który przynosi ocalenie. Przemarsz Mickiewicza przez Włochy był nieskończonym szeregiem owacji, triumfalnych przemówień, wybuchów zbiorowego entuzjazmu^{*)}. Ustami swego bohaterskiego przywódcy Józefa Mazziniego rewolucyjna Italia wyraziła uwielbienie dla polskiego bojownika wolności:

„Dla nas Mickiewicz jest więcej, aniżeli poetą. Jego głos jest głosem milionów. Nie znamy nic bardziej tytanicznego w pomyśle i równocześnie nic patetyczniejszego w wyrazie nad więzienny monolog Konrada“.

Największa manifestacja miała miejsce w kilka dni po śmierci poety, w czasie uroczystości pogrzebowych, kiedy nad trumną Adama Mickiewicza bratały się niemal wszystkie narody Europy. Naoczny świadek eksportacji zwłok poety na statek „L'Eufkrat“ odpływający do Francji, Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeź), tak pisał o tym pochodzie tysięcy, dziesiątków tysięcy ludzi różnych narodowości, języków, religii:

„Wydawało nam się, żeśmy sami Polacy. Okazało się, żeśmy się mylili. Poza nami, niby rzeka ujęta w łożysko uliczne, płynęły tłumy ludzi, okrytych turbanami czarnymi. Okiem ich ogarnąć nie można było. Ludzie szli w milczeniu, w skupieniu ducha, znamionującym udział w przejmującym nas żalu. Widziałem Serbów, Dalmatów, Albańczyków, Greków, Włochów; Bułgarzy zeszedli się najliczniej“.

Nie dziwi nas przeto, że pomnik polskiego Pielgrzyma zdobi place kilku miast europejskich, że ulice nazwane jego imieniem spotyka się zarówno w Rosji, jak i w Turcji, że dzieła jego w sto lat od śmierci wydawane są na całym świecie w coraz to większych nakładach, że tegoroczny obchód 100-ej rocznicy jego zgonu odbywa się pod patronatem Światowej Rady Pokoju...

Jerzy Mikke

^{*)} Opisowi tych uroczystości Władysław Mickiewicz poświęcił znaczną część swej obszernej monografii „Legion Adama Mickiewicza“.

LISTY DO WIĘZIENIA

Są przeżycia, których żadna siła nie jest w stanie zatrzeć. Towarzyszą one wspomnieniom we wszystkich niemal przypadkach i okolicznościach naszego istnienia. Dla mnie takim przeżyciem była sprawa związana z uwięzieniem Józefa Karbowiaka. Miałem wówczas czternaście lat, mieszkaliśmy w małym prowincjonalnym miasteczku. Józef Karbowiak był naszym sąsiadem, często przychodził do ojca na rozmowy. Siedzieli długo wieczorami, mówili do siebie głosem niższym, nieraz prawie szeptem.

O Karbowiaku słyszało się wówczas wiele. Był to człowiek mądry, śmiały, taki, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Nie stanowiło dla nikogo tajemnicy, jakich Karbowiak jest przekonanych. Wszyscy wiedzieli, że gdy wybuchł strajk w fabryce, to Karbowiak był pierwszy, który w tym strajku brał udział. Gdy trzeba było iść w delegacji po podwyżkę do dyrekcji, nie mogło w niej zabraknąć Karbowiaka.

Karbowiak to, Karbowiak owo — ciągle mówiło się o nim. Do jakiego stopnia był on kością w gardle dla ówczesnych dyrektorów i właścicieli fabryk; świadczy fakt, że pewnego razu przysłała po niego policja i prosto z warsztatu zabrała go do więzienia. Początkowe dwa tygodnie przesiedział w areszcie naszego miasteczka, potem wywieziono go do R., ówczesnej stolicy województwa. Żona Karbowiaka była to kobieta poczciwa, ale niepiśmienna i Karbowiak nie mógł zapewne powierzyć jej wielu trudnych myśli i skomplikowanych przeżyć. Ludzie dziwili się nawet, jak do tego małżeństwa doszło, życie jednak jest bardziej złożone od literatury i dzieje się w nim wiele takich rzeczy, których żaden autor nie jest w stanie wymyślić.

Z żoną Karbowiaka zetknąłem się bliżej wtedy, gdy męża jej osadzono w areszcie. W jakiś czas potem odbył się w mieście R. proces i Karbowiak zasądzony został na dwa lata więzienia. Karbowiakowa przychodziła do nas co jakiś czas z listami od męża, czytałem jej zawarte w nich wiadomości i opisywałem pod jej dyktando sprawy, o których chciała donieść mu w swoich odpowiedziach.

Listy jego były proste, ograniczały się do informacji o jego zdrowiu i samopoczuciu oraz zawierały parę pytań, jak np. co u niej słychać, jak żyje i czy daje sobie radę bez niego. Odpowiedzi Karbowiakowej były podobne do siebie jak dwie krople wody i już z góry wiedziałem, co mi ona poddyktuje. Często dodawałem coś od siebie, by rozbić choć w drobnych szczegółach monotonię jej wiadomości.

Jednego razu przyszedł do Karbowiaka list, któ-

ry nas wszystkich, nie wyłączając jego żony, ogromnie zdziwił. Karbowiak prosił, by mu w każdym liście przysłać kawałek przepisanego „Pana Tadeusza“. „Książek tu u nas otrzymywać nie wolno — pisał — a ja tak się już stęskniłem za drukowanym słowem, że rady dać sobie nie mogę. Ale powieści o realnym życiu czytać bym nie mógł, zbyt może przypominałyby mi to, co się dzieje za murami więzienia. Mnie potrzeba wierszy, poezji, czegoś, co pomaga marzeniu, co jest przeciw twardemu życiu, co zapada w serce iak w głęboką studnię. Najlepiej ze wszystkich książek z wierszami lubie „Pana Tadeusza“. Czytałem go już tyle razy i ciągle mogę do niego wracać. To nie jest książka. To jest lekarstwo: goi rany w człowieku. Proszę Cię, weź dużo papieru i poproś którego z sąsiadów by przepisywał dla mnie kolejno te wiersze z książki, a Ty włożysz je w kopertę i prześlesz na mój adres“.

Trudno mi już dziś odtworzyć, com myślał przepisując pierwszy fragment z Mickiewiczowskiego poematu. W każdym razie starałem się zrobić to jak najpiękniej, literki stawiałem wyraźne i okrągłe, by nie sprawić odbiorcy kłopotu przy odczytywaniu mojego pisma.

Karbowiakowa dziękowała mi za każdym razem gorąco i szła na pocztę, by wysłać te osobliwe listy do więzienia. Zauważyłem, że od chwili otrzymywania „Pana Tadeusza“ Karbowiak jakby poweselał. Niby pisał mniej więcej to samo w listach, co i przedtem, a przecież uważnemu czytelnikowi musiały wpaść w oczy wesołe i z rozmachem kreślone przez niego wyrazy. Listy swoje kończył niezmiennym: „Do następnego „Pana Tadeusza“, za którego już teraz pięknie dziękuję“.

Karbowiak nie wiedział, że to ja właśnie przychodzę z pomocą jego żonie i choć ona prosiła mnie często, bym go o tym powiadomił, nie uczyniłem tego ani razu. Wydawało mi się, że jest to zupełnie niepotrzebne, a nawet, że mi tego robić nie wolno.

Za każdym razem przepisany fragment czytałem na głos Karbowiakowej. Słuchała z nabożeństwem, często przykładła chustkę do oczu.

Przez dwa lata napisałem do Karbowiaka blisko 52 listy, czyli trzy pełne księgi „Pana Tadeusza“. Ostatnie zdanie trzeciej księgi brzmiało:

*Reszta spracowana
Szła spać wcześniej, ażeby przebudzić się
z rana.*

Pamiętam dobrze, jak radosny przyszedł wówczas list od Karbowiaka. „Gdy przebudzę się jutro z rana — pisał — będzie to mój ostatni dzień pobytu w więzieniu. Wyjdę na wolność.“

Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Zupełnie jak dziecko, które wie, że za chwilę zapłonie na choince ogień bengalski. Dziękuję Ci za cierpliwość. Dziękuję za „Pana Tadeusza“, Mickiewicz bardzo mi pomógł...”

Gdy Karbowski wrócił z więzienia, jeszcze tego samego dnia zjawił się w naszym domu. Podszedł do mnie, chwycił mnie w objęcia i wycałował w oba policzki.

— Żona powiedziała mi, żeś to ty jej w tym wszystkim dopomagał. Strasznie ci jestem wdzięczny. Strasznie...

Stał teraz w izbie, patrzył to na mnie, to na ojca mojego i matkę, a ja widziałem, że w oczach jego zapalają się duże lśniące ogniki. Były to po prostu dwie męskie łzy szczęścia.

Jan Koprowski

Zygmunt Mikulski

*Znów wierszyki trzy
(z cyklu „Śmiech i łzy“)*

WRÓŻBA

A czasem, a czasem...
A nie chodź borem — lasem.

Borem i lasem chodzisz.
Co proszę? E, nie szkodzi.
A boli? Trudna rada.
Świeca. As pik. Ballada.

Dziewczyna konno we śnie.
Gwiazda przyświeca gwieździe.

W srebro dmucha, roznieca.
As kier. Ballada. Świeca.

Coś nadto „jedlinowo”.
Bo gdzieś mi skradli słowo.

Chciałem zapisać kartę,
karta znów była pik.

Spytała: „smutek?” — żartem.
Szukałem asa. Znikł.

As się rozsypał w dzwonki,
a w winie była krew.

Znów jak uparty bronchit:
pik, karo, kier i trefl.

Muzyki nie widziałem,
księżycyca nie słyszałem.

Gwiadzy spadły na gałąź
duże, średnie i małe.

Niktły, jak „odlicz w lewo”,
zostały tylko trzy.

Oparłem się o drzewo.
Spadł śmiech, as trefl i łzy.

ALEJA

Nikt nie opisał alei,
a w niej co *panta*, to *rhei*,
promyczki, wydrzymuszki.

Czasem tam przejdzie wałkoń,
a czasem z laską z gałką
poeta A. S. Puszkina.

Kiedy zmierzch się zaczyna,
czekają na Puszkina
dziewczyny blond i kare,

a gdy spadają liście,
„przyjdzie” — wróżą — „nie przyjdzie”
i patrzą na zegarek.

Gdzieś na szerokim świecie
Krokodyl zdechl w PDC-ie,
może się prezes przejadł. —

Tu na rankor i smutki
walczyk bardzo cichutki,
czasem księżycy wschód i
nadzieja.

Księżyc, to noc. Na amen.
Korkuję już atrament.
Pointę jutro włożę.

Wy z miną uśmiechniętą
ten wierszyk z tą pointą...

.....
kochany redaktorze.

ZA RADĄ REJOWSKĄ

Trochę rymu, trochę cienia,
trochę mydła do golenia,

W gotębniku niech gotębie,
dla sąsiadów gadka w gębie,

Znać aluzję, synekdochę,
no, ojczysty język trochę,

Nosem się ukłonić różom
(nie za dużo, nie za dużo),

Gwiazdkę znaleźć, kiedy zleci,
pręcikiem obdarzyć dzieci,

Ze trzy stogi, ze dwa ule,
psa, dzieciota. I w ogóle.

Dzban nie próżny w karnawale —
co by jeszcze. I tak dalej.

Zygmunt Mikulski

LUBELSKIE ŻYWE KAMIENIE

Miasta stare o bogatej historii i pięknej tradycji, wśród rozlicznej galerii skarbów architektonicznych, posiadają przeważnie pewne fragmenty, niekoniernie najpiękniejsze, które z biegiem lat stają się poniekąd ich symbolem. Na tysiącach pocztówek, fotografii, medali, rysunków, mówią o ich wiecznym pięknie i trwaniu i zapraszają do bliźszego poznania.

Takim symbolem dla Krakowa są wieże Kościoła Mariackiego i Sukiennice, Warszawę przez kilka wieków reprezentowała kolumna Zygmunta, Poznań — Ratusz, Gdańsk — fragment starego portu i tak dalej, jeśli będziemy się obracać w kręgu miast polskich.

Zjawisko to możemy zaobserwować na całym kulturalnym świecie. Dla wielu ludzi, którzy przez całe życie widzieli tylko „swoją dach i swój kurnik i swoje grzędy i swoją parafię“, wieże katedr, kopuły bazyliki, fasady starożytnych gmachów oglądane na sztychach czy rycinach mówią o pięknie lub wielkości dalekich miast. Wobec dawności tych symboli miasta te zaczynamy traktować jak starych znajomych — odległość się zmniejsza, odnajdujemy i tam cząstkę siebie. Uszkodzone barbarzyńsko wieże Katedry w Reims poruszyły serca wszystkich ludzi kulturalnych na świecie. Podczas ostatniej wojny, gdy pod ciosami brutalnej pięści waliła się nasza kolumna Zygmunta, pełni byliśmy również troski i niepokojem o los tyłu, tyłu cudzych miast. Nawet tak upragnione bomby, które spadły na Kolonię, rodziły odruchowo pytanie, czy też ocalała Katedra.

Nie ulega wątpliwości, że ta solidarność i umiłowanie dorobku kulturalnego świata była i jest poważnym orężem w walce o pokój.

Dla Lublina symbolem takim jest Brama Krakowska i Zamek. Lecz przede wszystkim Zamek. Dlatego, że mówił wiele, mówi i mówić będzie. Jest symbolem żywym. Nierozzerwalnym ogniwem łączącym starodawne tradycje z czasem współczesnym. Jest świadectwem minionej potęgi i przyszłej wielkości. Wśród tylu bezcennych klejnotów architektury starego Lublina nie należy on do najpiękniejszych. Wiele można mu zarzucić, można krytykować jego urodę. Lecz te inne zaletki są, że tak się wyrażę, skończone. Zastygłe poniekąd w swej posagowości i pięknie. Mówią tylko o przeszłości i to przeszłości dość dawnej. Na Zamku Lubelskim nurt historii nie zatrzymał się ani na chwilę.

Stara jest moja znajomość z Zamkiem. Niejedno łączy się z nim wspomnienie. Każde niezatarte i żywe.

Pokolenie moje ma ten przywilej, że może spoglądać wstecz już z perspektywy historii. Podczas naszego, krótkiego przecież życia tyle nastąpiło na świecie i w Ojczyźnie zmian i przeobra-

żeń, że czasem wydaje nam się, że już żyjemy setki lat.

Jako mały chłopiec przed pierwszą wojną światową przyjeżdżałem do Lublina z dalekiej Ukrainy do polskiej szkoły, która tam powstała po roku 1905. Lublin był pierwszym dużym miastem, jakie zobaczyłem w życiu. Dotąd tylko słyszałem o nim wiele od rodziców.

Pełen ostrej chłopięcej ciekawości, czuły i wrażliwy zwiedzałem kościoły, podziwiałem gmachy, błąkałem się wśród wąskich uliczek i zaułków.

Ze wzgórz przy kościele Dominikanów zobaczyłem po raz pierwszy Zamek. Historia przemówiła do mnie z tych murów. To co było treścią ksiązek żarłocznie pochłanianych w długie wieczory zimowe, tematem cichych rozmów w kole najbliższych, objawiło się przed zdumionymi oczyma jako żywy pomnik.

Tu przecież w komnatach tego Zamku mieszkali prawdziwi królowie i rycerze. Tu mądry Długosz uczył dzieci Jagiellończyka i pisał swoje kroniki. Dzieje wielkiego i wolnego narodu. Fantazja młodzieńca zaludniała mury Zamku szeregiem znanych z ksiąg postaci. Odbyłem długą podróż w czasie patrząc z odległego wzgórz na żywe kamienie. Bo wejść do środka nie mogłem. Obca przemoc stała na przeszkodzie. Most zwodzony dla stóp naszych nie opuszczał się nigdy. Dla pohańbienia wielkich tradycji zaborca zamienił Zamek na więzienie.

Po wojnie przyjechałem znów do Lublina i zamieszkałem w nim na stałe. Na Zamku było więzienie w dalszym ciągu. Z faktem tym trudno było się pogodzić. Wyzwolone państwo polskie jeden z najcenniejszych zabytków w starodawnym grodzie oddaje pod opiekę nie konserwatorom i artystom, lecz administracji więziennej.

I znowu z odległego wzgórz patrzyłem na Zamek. Widok był przykry i żalony. Bramy zamknięte, poprzez kraty widnieją sylwetki umundurowanych strażników. Ohydny budynek administracyjny zasłania front Zamku do połowy. A dookoła na tak zwanym Podzamczu mnóstwo brudnych i maleńskich domków, siedziba najskańniejszej nędzy ludzkiej. Tam w jednej izbie gnieździło się po kilkanaście osób, tam pachyły z głodu małe dzieci. Na tle tej dookolnej biedoty, wśród szpetnych ruder i cuchnących ulic — zimne wyniosłe mury Zamku zdawały się być obecne i niedostępne, a dwa topory na froncie, emblematy Daniela Halickiego, uparcie kojarzyły się w myślach z toporami katowskimi. Rzeczywistość zamazała tradycję i historię.

Jednak pod tym ponurym retuszem dawność wielka i piękna zachowała się i żyła. Doszła do nas wieść o odkryciu i renowacji wspaniałych fresków w kaplicy Św. Trójcy. Lecz, by obejrzeć

te cuda piętnastowieczne nie były jakie trzeba było przezwyciężyć trudności. I zwiedzanie odbywało się też w okolicznościach nader osobliwych.

Po usilnych staraniach uzyskałem dla siebie i mego przyjaciela zezwolenie prokuratora na obejrzenie kaplicy. Po wstępnych formalnościach i pozostawieniu legitymacji w kancelarii więziennej przydzielono nam strażnika, który doprowadził nas na miejsce. Zachwyceni widokiem chcieliśmy wszystko obejrzeć dłużej i dokładniej — strażnik nie chciał nawet o tym słuchać. Po wielu usilnych naleganiach zgodził się nas zostawić samych w Kaplicy pod warunkiem, że drzwi zamknie od zewnątrz, a po godzinie przyjdzie i wypuści. Tak się też stało. Pamiętam ten zgrzyt klucza i oddalające się kroki. Nie przeczuwałem wtedy, że te odgłosy staną się symbolem zbliżających się czasów pogardy. Wiele, wiele zwiedzałem później zamków, kościołów, pałaców, w kraju i za granicą, ale nigdy w ten sposób.

W drugim dziesięcioleciu często bywałem na Zamku. Poznałem wówczas wielu jego lokatorów. Przychodziłem tam jako obrońca na widzenia z oskarżonymi. Nie siedzieli tam wyłącznie bandyci i złodzieje. Więzienie lubelskie w swych murach zamykało poważną ilość wężniów politycznych. Niejedno głośne nazwisko wybitnych działaczy Komunistycznej Partii Polskiej zrosło się na zawsze z murami Lubelskiego Zamku. Nowe tradycje zaczynały się tworzyć.

Dziwna zawsze mieszanina uczuć opanowywała mnie podczas tych odwiedzin. Szczęk kluczy, skrzypienie żelaznych zawiasów u drzwi, dokoła uzbrojeni dozorczy i te rozmowy w komnatach, gdzie zewsząd mówi historia, z ludźmi, którzy już wówczas byli współtwórcami nowych rozdziałów historii naszego kraju.

Józef Czechowicz, znakomity piewca piękna Lublina, w wierszu o wspomnianej już przeze mnie Kaplicy Świętej Trójcy napisał:

*Święci z pustelni, Mario surowa,
Kwiaty kapiące z wnek drzwi, nisz,
Archaniele, pancernem jasny —*

— o czym w promieniu śnisz.

Jakie apokalipsy śnią się smokom, orłom.

Poeta, który przeczuwał katastrofę wojny i nawet własną śmierć, nie przewidział chyba, jakie apokalipsy zrealizują się wewnątrz zamku lubelskiego.

Przed drugą wojną światową Zamek był ponurym więzieniem — za czasów okupacji stał się koszmarną katownią. W historycznej Kaplicy urzędował sąd policyjny. Była to pierwsza fabryka śmierci, zanim powstał Majdanek i Oświęcim. Nikt nie policzy, ile łez i krwi wsiąkło w odwieczne mury. Dziesiątki tysięcy ludzi weszło w owym czasie przez starożytną bramę do środka, żywych wróciło niewielu.

I ja również otarłem się o śmierć u stóp baszty na podwórzu zamkowym. Znalazłem się mianowicie w wielkiej grupie mężczyzn pojmanych przez hitlerowców w pamiętne dni czerwcowe tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Dzięki

wykorzystaniu wyjątkowych okoliczności czterem z nas udało się wydostać. Z pozostałych nie powrócił już nikt nigdy.

Nie widziałem Zamku zaraz po wyzwoleniu. Nie było mnie wówczas w Lublinie. Oszczędzony został oczom moim widok setek ciał ludzi, których bestialsko pomordowali faszyci i tych scen infernalnych, gdy mieszkańcy Lublina wśród stosów krwawych trupów rozpoznawali swoich najbliższych.

Państwo Ludowe postanowiło Zamek Lubelski oddać społeczeństwu.

Długo czekaliśmy na realizację tej uchwały. Bardzo długo. Niecierpliwość nasza, która wzrastała z biegiem czasu, była całkowicie usprawiedliwiona. Nie uspakajały miarodajne zapewnienia, że już, że niedługo, że trzeba przecież załatwić przedtem wiele innych nader ważnych spraw.

Pierwsze wieści, że więzienie zostało zlikwidowane i rozpoczęły się prace przy przebudowie Zamku, poruszyły dosłownie cały Lublin. W pamiętne dni wiosenne roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego tłumy ludzi zalegały codziennie okoliczne place i wzgórza nie mogąc się dość napatrzeć, jak pod ciosami oskardów wała się w gruzy szpetne, budynki administracyjne i jak z sieci rusztowań wyłania się wspaniała sylwetka Zamku.

Oddano go nam w pełnej krasie i wspaniałej oprawie, gdyż rozwiązanie architektoniczne otoczenia olśniło wszystkich. A jednocześnie w twórczym trudzie robotników, architektów i artystów stary Lublin przywdział szaty godowe. Żeby wszystko już było należycie uroczyste, świąteczne i piękne. A działo się to w tempie błyskawicznym, oszałamiającym. Toteż od czasów wyzwolenia Lublin nie przeżywał tyle radości i entuzjazu. Z murów Zamku przemówiły już nie tylko ubiegłe wieki, ale wspaniała twórcza rzeczywistość.

Księgi pamiątkowej Zamku nie zamknięto. Dużo jeszcze kart pozostało do zapisania. Wiele jeszcze pracy i wysiłków potrzeba, by szacowne mury napełnić właściwą treścią, by nurt historii toczył się wartko dalej.

Część Zamku przeznaczona jest na muzeum, część na dom kultury, a właściwie Dom Twórczości Ludowej. Mądrze to i pięknie pomyślano. Znowu więc jeden z najstarszych zabytków Lublina stanie się ogniwem między dawną tradycją przechowującą w swych murach to, co było piękne, postępowe i twórcze, a dzisiejszymi dniami. W starodawnych izbach i komnatach obok eksponatów muzealnych będzie kipiało współczesne radosne życie. W siedzibie Długosza będą królowały poezja, muzyka i pieśń. Pieśń ludowa, którą przecież już Mickiewicz nazwał „arką przymierza, między dawnymi i nowymi laty“.

Toteż patrząc dziś na Zamek z pobliskiego wzgórza, myślę, że nie jest on tylko symbolem Lublina, lecz ma wszystkie dane, by stać się jednym z symboli naszych czasów.

Konrad Bielski

Anatol Stern

SONET MAGICZNY

Lubię nieba niepokój. Lubię, kiedy chmury
apokalipsą czarną klębią się tam w górze,
bo wiem, że kiedy przetrwam ich wściekłość i burzę,
wbiję chciwy wzrok w niebo — i ujrzę lazury.

Lubię błądząc twą nagłą i twój wzrok ponury,
gdy się na mnie rozgniewasz i toniesz w swej chmurze,
bo choć szepcesz do siebie: „Tak nie można dłużej...”
już wiem, że w twoich oczach wnet ujrę — lazury.

Dlatego, gdyśmy z sobą — w noc najbardziej ciemną
szepet stłumiony mój słyszysz: „O, lazury moje!...”
i płomieniem swych ramion owijasz mnie, miła.

Dlatego wśród najwyższych z kimś obcym upojeń
szepniesz nagle: „Lazury!” — i znów będziesz ze mną,
już zawsze, zawsze ze mną — choćbyś z innym była.

Anatol Stern

Wacław Galewski

WCZORAJ I DZIŚ

Pociąg osobowy z Lublina do Warszawy wto-
czył się ciężko na Dworzec Główny. Jeszcze kilka
świszczących westchnień i zatrzymał się. Podróż-
ni zaczęli szybko opuszczać przedziały, udając się
do wyjścia. Była godzina 7 rano. Jako jeden
z ostatnich opuściłem wagon, niosąc dużą walizę,
której zawartość przekraczała wagę sześćdzie-
ściu kilogramów. Oprócz niej miałem małą pod-
ręczną torbę z przyborami do mycia i golenia.
Pociąg lubelski zatrzymywał się w dużej odle-
głości od wyjścia, dlatego perspektywa dźwigania
ciężkiej walizy nie była zbyt ponętna. Sprawy nie
rozwiązywał nawet kręcący się w pobliżu i lako-
mie zerkający na mój bagaż numerowy, bowiem
zasoby pieniężne wyraźnie nakazywały wstrze-
mięźliwość w wydatkach. Toteż dodając sobie po-
gwizdywaniem przez zęby animuszu jałem tasz-
czyć swoje brzemie. „Spacer” postanowiłem odbyć
skokami. Co piętnaście — dwadzieścia kroków
zatrzymywałem się i łapałem oddech oraz zmie-
niałem rękę. Nie uszedłem nawet setki kroków,
gdy skonstatowałem, że jestem obserwowany
przez dwóch granatowych „chłopców”, z którymi
kilka słów zamienił, zdążyłem to zauważyć,
wzgardzony przeze mnie numerowy. Po krótkim
wahaniu podeszli do mnie, poprawiając służbowo
pasy i podciągając podpinkę u czapek.

— No co, bibułka ciężka, prawda? — zapytał

jeden z nich na poły z ironią, na poły ciekawy,
czy też nie omylił się w swoich przewidywa-
niach.

Postawiłem walizę i zewnętrzną stroną prawej
dłoni otarłem z czoła krople potu, które pojawiły
się na nim.

— Ano cóż, ciężka — odpowiedziałem tonem
człowieka, który widzi, że wykręty mu nie po-
mogą. Pytający policjant uśmiechnął się z zado-
woleniem. Trafił. Nie omylił się. Spojrzał na
swego towarzysza i rzekł:

— Nie mówiłem?

Tamten popatrzył na niego z uznaniem.

— No brać, brać — zwrócił się do mnie — i na
posterunek.

Zorientowałem się szybko w sytuacji. Dworco-
wi policjanci obserwujący ruch podróżnych wzięli
mnie za tzw. wywrotowca, który z transportem
ulotek i broszur przyjechał z prowincji nocnym
pociągiem do Warszawy. Postanowiłem z nich
zakpić.

— Nie będę brać, bierzcie sami.

Zrobiłem taki ruch jakbym chciał wziąć nogi
za pas. Ale drugi granatowy już był przy mnie.

— Tylko bez głupich kawałów — burknął
groźnie — na nic się to nie przyda.

— No dobrze, dobrze — powiedziałem i ruszy-
łem naprzód.

Widząc, że nie ma sposobu, ten, który mnie pierwszy zaindagował, chwycił walizę, podniósł ją trochę do góry i zaklął soczyście. Najwidoczniej waga jej nie bardzo przypadła mu do gustu.

— Cholera — zbulgotał jak indyk — już drugi raz w tym tygodniu trafia mi się coś podobnego.

Nim dotarliśmy do wyjścia, upłynęło kilkanaście minut. Dźwigający walizkę policjant zmarskotniał wyraźnie, ale usiłował trzymać się jak najprościej, nie chcąc uronić nic ze służbowego fasonu. Gdy dotarliśmy na posterunek, pot spływał mu po policzkach waziutkami strużkami. Postawił wreszcie swój ciężar na podłodze i zwracając się do siedzącego za stołem przodownika, komendanta posterunku, zameldował krótko:

— Bibuła. — I palcem pokazał na mnie.

Przodownik, dość tegi łysawy mężczyzna, chwilę przypatrywał mi się uważnie, po czym powiedział rozkazująco: — Otworzyć. Wydobyłem z kieszeni kluczyk, otworzyłem, następnie wyciągnąłem kilka egzemplarzy znajdującego się w walizce wydawnictwa i położyłem je na stole. Umundurowany grubas sięgnął po jeden z nich, przeczytał tytuł, zajrzał do wnętrza i na twarzy jego odbiło się zdumienie.

— Co to jest? — zawołał.

— Bibuła — odpowiedziałem spokojnie.

— Jaka?

— Literacka.

— Legalna?...

— Najzupełniej. „Reflektor“, miesięcznik literacki wydawany w Lublinie — dodałem tonem informacyjnym.

Na bezbarwnych obliczach towarzyszących mi policjantów zamigotała konsternacja.

— Legalna... — powtórzyli pytanie swego szefa, a potem dodali: — No to na jaką aniellek dźwigaliśmy to paskudztwo.

— Zrobili to panowie na ochotnika, ja od was tego nie wymagałem — odpowiedziałem rzeczowo.

— Ale jestem wdzięczny gdyż ładunek trochę za duży, a na bagażowego miałem tego trochę za mało... (potarłem plastycznie palce). Przeliczyłem się odrobinię. Coś się jednak panom należy za fatywę, pozwolicie, że ofiaruję po jednym egzemplarzu z dedykacją autorską.

Wprawnie wypisałem: „Na pamiątkę przypadkowego upolowania zwierzyny literackiej — dzielny myśliwy“. Zamaszyście wypisałem nazwisko.

Kawał się skończył... zaczęła dochodzić do głosu proza dalszego ciągu. Trzeba było znów wziąć ciężar we własne ręce.

Zdarzenie to przypomniało mi się, gdy siadłem, aby napisać, jak się to mówi, garść wspomnień o „Reflektorze“. A okazją do tego jest fakt, że działo się to dokładnie w 1925 roku. A więc trzydzieści lat temu. Wspomnienie z lekka jubileuszowe.

Obecna młodzież literacka, czytając te słowa nie bardzo sobie uświadomi, dlaczego wydawca i współredaktor „Reflektora“ wioził kilkadziesiąt kilogramów „wydawnictwa“ w walizce do War-

szawy, dlaczego nie mógł pozwolić sobie na bagażowego, dlaczego itp. Zdarzenie wyżej opisane, z którego długo w Lublinie śmieliśmy się do rozpuku, kontrastuje wybitnie z praktyką dzisiejszych czasów. Związek Literatów ma piękną siedzibę w Warszawie, duże zaludnione biuro, podzielone niemal na departamenty, piękną salę odczytową, kawiarnię i pokoje gościnne dla przyjezdnych kolegów. A i oddziałom powodzi się nienajgorzej. Materialne sprawy mają uregulowane: budżet roczny na wydatki biurowe i organizacyjne, na Akcję Literacką, na wydatki reprezentacyjne i społeczne, na wydawanie pism terenowych, świetlice, czytelnie, na Koła Młodych itd.

Wtedy wyglądało to zgoła inaczej. Literaci, tak zresztą jak i malarze czy muzycy, chodzili luzem. Miejscem spotkań były kawiarnie lub knajpy, gdzie przy małej czarnej lub (jeśli zdarzył się jakiś wpływ nieoczekiwany) przy kieliszku mocnej z dodatkiem gorszej lub lepszej zagrychy dyskutowało się godzinami o problemach wielkiej i małej sztuki albo czytało nagryzmlone na różnych świstkach utwory.

Cyganeria literacka była z natury rzeczy postępową. Skłócenie ze światem kapitalistycznym wynikało u wielu przede wszystkim z dotkliwie odczuwanych braków i obojętności społecznej, jaką posiadacze lwiej części dóbr materialnych darzyli dzieci Apollina i ich bytowe sprawy. Ale niejeden z tego skłócenia przechodził na świadome pozycje walki ze złem i wykruwał w sobie właściwe myślenie rewolucyjne. Choć inni urządziwszy się jako tako przechodzili na pozycje zachowawcze lub co najwyżej pozostawali indywidualistami hodując własny „splendid isolation“.

Młodzież, która dzisiaj zwerbowana byłaby przez Koła Młodych, nie mając ani doświadczeń organizacyjnych, ani środków finansowych, borykając się często z trudnymi warunkami, w jakich żyła, puszczone samopas, radziła sobie jak umiała. A mimo to wrodzone zamiłowania i kształtujące się zainteresowania powodowały tworzenie się grup i gromad, które razem potrafiły przełamywać trudności i pozostawiać po sobie ślady, żłobiąc drogę w przyszłość.

Tak w Lublinie młodzież szkolna zaczęła w okresie okupacji austriackiej wydawać pismo szkolne mające charakter literacki i społeczny i tak wyrosło pismo „Młodzież“, które stało się dokumentem wcale poważnych poczynąń. Żywot nie był zbyt długi, gdyż wydawanie jego wywołało sprzeciwy i konkretne posunięcia dyrektorów szkół, uważających je za pismo niebezpieczne. Każdy numer miał innego redaktora z innego środowiska szkolnego. Konieczne to było, gdyż po ukazaniu się nowego numeru „Młodzieży“ redaktor jego stawał przed obliczem swego dyrektora. Rozmowa w gabinecie miała przebieg niedwuznaczny. Albo, albo... Trzeba było przed tym albo kapitulować, nie chcąc być relegowanym ze szkoły. I trzeba było się (choć tylko pozornie) odżegnać od wszelkich kontaktów z niespokojnym i buntującym się środowiskiem.

Nowy numer „Młodzieży“ ukazywał się podpisanym nowym nazwiskiem, co powodowało analogiczną rozmowę w innym dyrektorskim gabinecie. Kolejno podpisali „Młodzież“: Konrad Bielski, w imieniu młodzieży literackiej gimnazjum im. Staszica, Czesław Bobrowski w imieniu „Szkoły Lubelskiej“ (późniejszego gimnazjum im. Bałorego), niżej podpisany w imieniu gimnazjum im. Jana Zamoyskiego i inni. Środowisko to było zazwyczaj, z którego później zrodziły się sprawy poważniejsze.

W latach 1921—1922 zjawiał się w Lublinie „Lucifer“, który wywołał głębokie poruszenie, a później... O, właśnie dochodzimy do miejsca i do czasu, w którym „lubelskie mgławice literackie“, jak je nazwał w „Snobizmie i postępie“ Stefan Żeromski, zaczęły przybierać realne kształty komet i konstelacji. Może to nie był przypadek, że wydany pierwszy numer „Reflektora“ w 1923 roku miał na okładce tytułowej rysunek Jana Wydry przedstawiający wielką kometa i upostaciowanie skrzydlatego ducha ludzkiego siedzącego na czerpieniu ziemi. Był to jeszcze symbolizm wpływający z młodzieńczych wyobraźni. W dwa lata później wznowiony „Reflektor“ miał już cechy konstelacji i program konstruktywny, wywodzący się z wołań nowej sztuki, która chciała być postępową i chciała innymi kroczyc drogami niż dotychczasowa. To jej wyraźne oblicze zaczęło przyciągać do „Reflektora“ i młodych poetów i spośród starszych twórców tych wszystkich, którzy szukali nowego i sens zarówno społeczny jak i artystyczny w inny sposób wypowiedzieć chcieli.

Kiedy dzisiaj otwieramy poszarzałe i pożółkłe karty wydawnictwa, znajdujemy nazwiska, które nie tylko czas zachował, ale i nowego blasku im dodał. Choć są i te, którym czas macocha się okazał lub tragizm lat katastroficznych nić życia przeciął. Jakim na przykład smaczkiem jest „Fryderyka Chopina mit o duszy polskiej“ pióra Karola Szymanowskiego, napisany z racji 75 rocznicy śmierci Fryderyka Chopina i zamieszczony właśnie na łamach młodego i nieopierzonego jeszcze „Reflektora“. Szymanowski lubił długie, okresowe, nieco skomplikowane zdania. Już pierwsze na wstępie liczy 91 słów. I Joyce, autor „Ulissesa“, takiego by się nie powstydział.

„...od czasów Wielkiej Rewolucji sztuka znajduje się bez przerwy w stanie poszukiwań, mających na celu znalezienie nowej formy stylistycznej, odpowiadającej zmienionemu gruntownie ustrojowi społecznemu, zrozumiała jest bowiem rzeczą, że koncepcja renesansowa wraz z pochodzącymi od niej formami barokowymi i rokokowymi, zrodzona z potrzeb społeczeństwa monarchiczno-teokratycznego, nie może znaleźć zastosowania w epoce, kiedy kościół i dwór przestały być wyłącznymi odbiorcami i protektorami sztuki“...

Zdanie to znajdujemy w obszernym doskonale opracowanym artykule Wacława Husarskiego pt. „Podstawowe zagadnienia malarstwa współczes-

nego“. Miał on charakter programowych wypowiedzi, podobnie jak i inne, które wyraźnie wskazywały na pozycje, jakie zajmuje „Reflektor“.

„Dziesiąta muza ma wypukłą głowę matematyka i ciało, którego uroków nigdy się nie ma za wiele“ — woła Anatol Stern w uroczym artykule zatytułowanym „Uwagi o teatrze i kinie“.

W poezji Józef Czechowicz na łamach „Reflektora“ stawia pierwsze kroki. W dziale przekładów fragmenty „Wojny i pokoju“ Majakowskiego w doskonałym tłumaczeniu Anatola Sterna.

A i ogłoszenia (trzeba je było zamieszczać ze względów finansowych, choć nie wszystkie były płatne) mają swoją wymowę, np. „Antologia nowej poezji rosyjskiej pod redakcją Anatola Sterna ukaże się w grudniu rb. Zadaniem antologii, która ukaże się w objętości 10 arkuszy (i do której przekładów z 30 poetów nowej Rosji dokonało szereg wybitnych poetów polskich: Braun, Brucz, Broniewski, Jasiński, Wandurski i inni) — jest syntetyczne ukazanie całości kształtu nowej twórczości rosyjskiej ze szczególnym uwzględnieniem literatury rewolucyjnej (1917—1924 r.)“.

W poezji oryginalnej odnajdujemy nazwiska Adama Ważyka („Aoria“), Jana Alfreda Szczepańskiego („Patrząc na fotografię“ p. Robinson, bohaterki słynnego skandalu), Witolda Wandurskiego („Od świtu do północy“), Juliana Przybosa („Odkupienie“), Mariana Jerzego Toporowskiego („Kochanka“, „Zachód“), Anatola Sterna („Europa“) i in.

W dziale przekładów, obok reprezentatywnych pozycji poezji rewolucyjnej Rosji, najbardziej czołowe nazwiska literatury francuskiej.

Guillaume Apollinaire, Blaise Cendrars, Charles Vildrac, Jean Cocteau, Max Jacob, udostępniani polskim czytelnikom przez Adama Ważyka, Jana Brzękowskiego, Halinę Izdebską i Tadeusza Bocheńskiego.

Można przytoczyć jeszcze szereg nazwisk, można zilustrować postawę „Reflektora“ dalszymi cytatai. Nie jest to potrzebne. Wszak słowa pisane teraz są tylko wspomnieniami, mającymi charakter powiązania na krótko tego co było z tym co jest obecnie.

Walizka wtedy dźwigana, własnoręczne rozprawianie egzemplarzy do punktów sprzedaży, ciulanie groszów na zaspakajanie należności drukarni, magazynów papieru i kartonu — wszystko to dziś ma charakter daleki. Wykluczały się wtedy myśli, rośli i mądrzeli ludzie, samotni, pozornie bezradni a jednak...

Grzebiąc w starych notatkach, stwierdzam, że prawie połowa księgarzy, którzy wzięli poszczególne numery „Reflektora“ w komis, nie wylizyła się z należności. Cóż, wydawnictwo to nie miało biura, nie miało urzędników, nie miało buchalterów — miało tylko ambicję. Nie było to wystarczające do prowadzenia należytej akcji, która pozwoliłaby wyostać od niechętnie płacą-

tych księgarzy pieniądze, pozwalało tylko na zadokumentowanie swej energii twórczej.

Jesteśmy, bo piszemy, bo drukujemy, bo wydajemy — wbrew obojętności kapitalistycznie myślącego otoczenia, w którym nowa literatura walcząca o nową postawę społeczną mogłaby wzbudzić zainteresowanie dopiero wtedy, gdyby

stała się interesem dochodowym lub gdyby zaczęła mocno zagrażać dochodom...

To tłumaczy postawę granatowych chłopców na Dworcu Głównym i ich zdumienie, że dali się nabrać na dźwiganie takiego paskudztwa.

Wacław Gralewski

Józef Nikodem Kłosowski

„CHCIAŁEM BYĆ CHŁOPSKIM PETRARKĄ”

Stanisław Bojarczuk, urodz. 4 kwietnia 1869 r. we wsi Krakowskie Przedmieście obok Krasnegostawu w województwie lubelskim, pochodzi z matorolnej rodziny chłopskiej. Po ożenku osiadł na stałe w miejscowości Rońsko, gdzie gospodarując na niewielkim kawałku roli, kształcił się jako samouk, wiele czytał, a przed pół wiekiem rozpoczął swoją twórczość poetycką. Jest to jeden z najwybitniejszych, lecz niestety prawie całkowicie nieznanych, poetów ludowych.

Śpiewak spod strzechy

Stanisław Bojarczuk należy bezsprzecznie do rzędu tych twórców, którzy tworzą „sobie a Muzom”. O jego z górą czterdziestoletniej pracy poetyckiej znajdziemy zaledwie 3—4 wzmianki w prasie, nazwisko to jest najzupełniej obce szerokim kręgom czytelników. A szkoda, bo to poeta naprawdę „z łaski Bożej”, twórca o ogromnym talencie, spod którego pióra wyszło już mnóstwo pięknych wierszy o niemałej wartości artystycznej. Dzisiaj przybiło go życie i przygniotła starość, więc rzadziej pochyla się nad swoim liniowanym zeszytem, ale mimo to nie zostaje się z ołówkiem, którym notuje swoje rymy.

Stanisław Bojarczuk chodził do szkoły zaledwie dwie „zimy”, lecz na tym nie poprzestał. Będąc podrostkiem rozpoczął długą i żmudną pracę nad sobą, zdobywając w ten sposób rozległą i wszechstronną wiedzę. Toteż nie dziwnego, że po latach z równą swobodą mówi o literaturze, malarstwie (uwielbia Rafaela i Leonarda), o muzyce Beethovena, Ryszarda Wagnera i Moniuszki, jak i o historii, czy architekturze. Z najwyższym ożywieniem wspomina o wielkiej epoce Odrodzenia, podziwia renesansową sztukę i renesansowych ludzi. Porywa go wielkość tamtych czasów. Z pamięci cytuje całe księgi „Pana Tadeusza”. I nie ma bodaj dziedziny, której by nie dotknął. Był zawsze żądny wiedzy oraz przedziwnie czuły na piękno poezji. Z głębokim wzruszeniem opowiada o początkach swojego „wierszoklectwa”. Zaczął pod wpływem Syrokomli, potem porwał go Mickiewicz, a wreszcie Tetmajer i Staff. Nigdy natomiast, jak

to sam przyznaje, nie rozumiał Przybosia, ani awangardzistów. „To tylko przede wszystkim konstrukcja, zimna wyrachowana konstrukcja, ale cóż, kiedy nie ma tam ani odrobiny Serca!” wzdychał.

Spotkanie

Poznałem go dawno, kiedy jeszcze był w pełni sił twórczych. Wałęsając się z kolegami z tej samej klasy nad mętłą wąską rzeczką, wijącą się środkiem płaskich, aksamitnych łąk, przylegających do wsi Załółkiew, ujrzałem nagle krzepkiego, czterdziestoletniego chłopa, pokrzykującego na dwie ładne krowy. Wywiął batem, to znów raz po raz zaglądał do książki, oprawnej w szare płótno. Szybko nawiązaliśmy rozmowę. Towarzysze moi pierzchli, a ja mogłem aż do zmierzchu gawędzić z tym dziwnym człowiekiem, wypytyując go o wiele rzeczy. Najpierw jednak sprawdziłem tytuł czytanego dzieła. „Nad Niemnem”, powiedziałem głośno. Wtenczas Bojarczuk zaczął opisywać mi zalety i uroki tej powieści. Zachwyciła go pierwotna przyroda, zapach lasów i czar nadniemeńskiej puszczy. Ale zaraz wrócił do poezji. Z jakimś niemalże religijnym namaszczeniem mówił o Mickiewiczu. To był jego „święty”. Ze zdumiewającą swobodą poruszał różne momenty dotyczące życia wieszca. Powoływał się na autorytety. Największym uznaniem darzył monografię Kallenbacha. Bo inni nie rozumieli do głębi, „do szpiku kości” wielkiego geniusza.

Nigdy nie zapomnę tego dnia. Byliśmy tylko obaj w zielonym, czarodziejskim ustroniu. Od rzeki pachniało mulem i miętą. W trzcinach poświsływały ptaki, a przez gałęzie majowych drzew przeświecała lekko zaróżowiona woda. Zbliżał się zmierzch. Nad ziemią leżała przyjemna, przedwieczorna cisza. Wolno szedł zachód. Wtedy stało się coś nieprzewidzianego. Bojarczuk wstał z miękkiej murawy i patrząc gdzieś przed siebie, zaczął szeptać, jak guślarz swoim niskim, chropowatym głosem:

Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pachole,
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł przez pole,
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nie utrudza,
Gdzie przestępując miedzę nie poznasz, że cudza!
Bo na Litwie myśliwiec jak okręt na morzu,
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu!
Czyli, jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,
Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepce mi do ucha...

Byłem wzruszony. Siedziałem nad różową rzeką,
nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Ale poezja
prysła. Recytator zaklął brzydko pod nosem, por-
wał bat i pobiegł co tchu do krów, pasących się na
obcej już łące..



Stanisław Bojarczuk, Zdjęcie z 1925 r.

Drogi twórczości

Był to początek naszej długoletniej zażyłości, przyjaźni, która przetrwała długie lata. Przez ten czas Stanisław Bojarczuk napisał wiele pięknych, prostych i wzruszających wierszy, dziesiątki sonetów, w których wysławiał czar swojej rodzinnej wioski, urok przyrody i wiejskiego życia. Nigdy nie sięgał po jakieś trudne, wyjątkowe tematy, unikał patosu i wszelkiej łatwizny. Każdą zwrotkę długo i mozolnie cyzelował, wsłuchując się

w brzmienie rymów, w melodię rytmu. Utwory swoje pisał przeważnie ołówkiem, na małych kartkach papieru, nadając im coraz to lepszy, doskonalszy kształt. Nie znosił częstochowskich rymów. Miał ambicję świadomego swoich możliwości artysty. A co najdziwniejsze, nigdy nie szukał rozgłosu, nie ubiegał się o zainteresowanie swoją osobą osób wpływowych. Wystarczało mu zdaje się już samo to, że tworzył. A tworzył naprawdę „sobie, a Muzom“, w ciszy małego, drewnianego domu, ocienionego koronami przedwiecznych lip, na które spoglądał nieraz z taką miłością i zachwytem. Miejsce to miało coś z uroku Czarnolasu.

Kiedy myślę o Stanisławie Bojarczuku, o tym zupełnie nieznanym, chłopskim poecie, nie wiem co mam więcej podziwiać: ogromną wiedzę tego samouka czy też jego talent?? Bo trzeba podkreślić, że myliłby się ten, kto widziałby w nim tylko ludowego twórcę, prymitywnego wierszokle-
tę. W jego poezji stapiają się bowiem cechy samorodnego, wiejskiego twórcy i dojrzałego, bardzo odczytanego i głęboko czującego artysty. Prymityw graniczy tutaj z kunsztem poetyckim.

Liryzm jego poezji jest nie tylko szczery, ale oryginalny i wyjątkowo głęboki. Ponieważ jednak przeważnie pisuje sonety, nie każdą treść potrafi zamknąć z jednakowym powodzeniem w ramach tej trudnej formy. Stąd właśnie pochodzi duża rozpiętość wartości poszczególnych utworów. Obok istotnie cennych, pięknych i udanych strof, napotkamy przeglądając cały dorobek Stanisława Bojarczuka i rzeczy słabe, daleko odbiegające od jego najcelniejszych osiągnięć.

Do najlepszych wierszy Bojarczuka należą krajobrazy, obrazki z życia (orka, siejba, żniwa), erotyki i obrzędy. Te strofy stanowią trzon twórczości Stanisława Bojarczuka, mieniając się od barw, od kolorów, jakimi gra wieś lubelska latem i zimą, wiosną i złotą jesienią.

Do mniej udanych należy zaliczyć przede wszystkim wiersze o charakterze filozoficzno-refleksyjnym. Tutaj autor najczęściej błąka się po manowcach, raz po raz wpada w sieć łatwej symboliki, operuje postaciami zaczerpniętymi z mitologii, by wreszcie utknąć na rafach płytkiego mistycyzmu.

To co stanowi istotną wartość poezji Stanisława Bojarczuka, co kształtuje własne oblicze tego wybitnego poety ludowego, powstało przeważnie zaraz po skończeniu pierwszej wojny światowej, w latach 1918—1927. Są to liryki pełne szczerego uczucia, bezpośredniości i oryginalnego wdzięku. Zaledwie kilka z nich udało mi się w swoim czasie umieścić na łamach pism „Wieś krasnostawska“, „Zielony Sztandar“, „Zdrój“. Reszta czeka na uporządkowanie oraz na wydanie wyboru poezji sędziwego autora. Sprawa jest tym prostsza i łatwiejsza, że Bojarczuk jeszcze żyje, zachował żywość umysłu i mógłby pomóc w tej pracy.

Dom pod lipami

Ponieważ od zakończenia ostatniej wojny nie widziałem tego chłopskiego poety, postanowiłem wybrać się do niego, żeby na miejscu zorientować

się w sytuacji. Mówiono mi, że się bardzo zmienił, pochylił, zestarzał, ale ciągle nie rozstaje się z książką i ołówkiem. Że w dalszym ciągu układa wiersze. Ale nie dopisuje mu wzrok, więc posługuje się szkłem powiększającym (zawsze drażniły go okulary). Wieś Rońsko leży mniej więcej 50 km od Lublina. Komunikacja jest łatwa, gdyż tuż obok starej chałupy poety biegnie szosa, po której kursują autobusy.

Widok rozległych pól i wąskiej, połyskującej rzeczki przypomnieli mi tamte, dawne czasy, kiedy to po raz pierwszy spotkałem Bojarczuka. W uszach zabrzmiały mi słowa „Pana Tadeusza“, a przed oczyma wyrósł obraz czerstwego wiejskiego gospodarza w lnianych portkach i w dziurawym, ciemnozielonym kapeluszu. Ale na łąkach zamiast dzikiej trawy kędzierzawił się piękny chmiel, obok całą parą dyszała okrągowa mleczarnia, a zamiast na wpół zawalonego budynku szkółki wznosił się duży gmach siedmioklasówki.



Chata poety

Fot. Jerzy Tyburek

Z lewej strony szosy wybiega naprzeciw niewielki las, w którym kryją się białe, schludne chaty oraz okazałe murowane zabudowania. Przed domami kwitną ogniste słoneczniki, lwie paszcze i ciemnopurpurowe georginie. Tuż przed mleczarnią poznaję syna poety, Stanisława, idącego do ojca na pastwisko. Ten przyrzeka mi, że zaraz ojciec powróci z łąki. I istotnie w dali ukazuje się drobna, pochylona sylwetka starca. W miarę zbliżania się tego wiejskiego „lirnika“, spostrzegam ze smutkiem, że czas nie oszczędził piewcy wiosny, barw ziemi i miłości. Jest to w tej chwili słaby, bardzo zmęczony człowiek, z trudem wlokący się błotnistą, rozjeżdżoną drogą. Ze wzruszeniem ściskam jego przyjazną dłoń, rękę małą, delikatną i bardzo podobną do ręki dziecka. Ale i poeta jest

rozczulony. Nigdy nie spodziewał się mojej wizyty. Bo kto by tam pamiętał o sędziwym, zniedołężnianym chłopskim wierszoklecie, żyjącym w biedzie? Wprawdzie przed kilku laty przyjechał tu jakiś pan z Ministerstwa Kultury i Sztuki, posiedział, popatrzył, rozpytał o to i owo i porobiwszy sobie wiele notatek nie pojawił się więcej. A poeta nadal przymiera z niedostatku. Bojarczuk nie lubi uskarżać się na swój los. Ale prawdę poznaję od jego brata Wojciecha i dwu synów. Zresztą wystarczy spojrzeć na jego chudą, wynędzniałą postać, żeby zrozumieć dramat, jaki przeżywa ten wybitny twórca, jeden z najznakomitszych poetów ludowych ostatniego półwiecza.

Rozmowy na obalonej sośnie

Bojarczuk przysiadł na zwalonej sośnie i, mrużąc swymi niemal całkowicie ociemniałymi oczyma, wyraża radość z powodu tego nieoczekiwanego spotkania. Spod dziurawego kapelusza wygląda

zwiądła, poradlona twarz, o ziemistej cerze. Oparł się na krzywym kijaszku i mówi cichym, dygocącym głosem.

— Już nie zajmuję się twórczością. Straciłem wzrok i ręka nie może utrzymać pióra. Ale mam bogaty dorobek. W ciągu swojego trudnego życia napisałem około 1000 sonetów. Jeszcze jako młody chłopiec chciałem być „chłopskim Petrarcką“. Pewnie, że nigdy nie dorównam temu mistrzowi doskonałością formy, ale w pocie czoła i nie miałam trudzie wykuwałem swoje wiersze. Czytajcie je, a przekonacie się, że są pisane sercem! Bo bez serca nie ma prawdziwej poezji. To spekulacja!

— W czasie naszej długoletniej znajomości i przyjaźni poznałem niejednego z Pańskich pięknych utworów i wiem, że pisze Pan tylko sercem, nie

uznając, jak Pan to mówi, „spekulacji“, a więc zimnego bezdusznego operowania słowem. Chciałem teraz zapytać o początki poetyckiej drogi oraz o to wszystko, co stanowi Pańską osobowość artystyczną.

— Zacząłem pisać chyba pół wieku temu. Było to z mojej strony szaleństwo, bo nie otrzymałem żadnego wykształcenia, a do szkoły chodziłem za ledwie przez dwie zimy. Ale mimo to mocno, serdecznie związałem się z książką. Wiecie, moi drodzy, że pochłaniałem po prostu dzieła Sienkiewicza, Orzeszkowej, Daniłowskiego, Świętochowskiego, Glińskiego, Żeromskiego, a przede wszystkim Prusa. „Pana Tadeusza“ nauczyłem się na pamięć, „Sonety Krymskie“ znam jak pacierz, a książki autora „Lalki“ stały się moją stałą lekturą. Poza tym starałem się zdobyć szersze spojrzenie na świat, studiując jako samouk geografie, historię, historię sztuki i filozofii. Wiedza moja narastała bardzo powoli, bo zbyt mało czasu miałem na naukę, zajęty ciężką, przez całe życie trwającą walką o chleb. I nigdy nie mogłem, prawdę mówiąc, wyjść z biedy. Bo gospodarstwo było ubogie, chałupa szczupła, chociaż tak pięknie położona. Toteż czytałem i pisałem przeważnie zimą, albo w niedzielę na pastwisku..

— Co Pana popchnęło do pisania?

— Co? — w głosie poety brzmi nuta zamyślenia, ale usta uśmiechają się delikatnym, niemal dziecięcym uśmiechem. — Zawsze od chłopięcych lat kochałem przyrodę. Byłem czuły na jej urok, na barwę i poezję świata. I zawsze, ilekroć razy wzrok mój spoczął na polach, na kwitnących wzgórzach, czy na majowym sadzie, w duszy mojej kielkowała pieśń, pieśń o ziemi, o słońcu, o brzozech, lipach i szemrzającej rzece..

— Rozumiem. Pamiętam nawet jeden z Pańskich wierszy, który kiedyś mnie serdecznie wzruszył:

Całą zimą tęskniłem za tobą, ptaszyno
Co wiosna wracająca do mojego sadku.
Po Franciszku z Asyżu zda się mam cię w spadku.
Przylatasz znów czas spędzić nad sielską strzeszyną.

Najpiękniejszej z pór roku rozgoszczenia świadku,
gdy kwitną sady, lasy pachną czeremszyną,
Zwijże jeszcze raz gniazdko dziatwie pod faszyną,
By nad nim pisać swe trele mojej schedy gniazdku.

Poeta uśmiecha się coraz cieplej, serdeczniej. Jego starcza, poradlona twarz ożywia się. Z niewiele już widzących oczu tryska promień jasnego światła. Jest wyraźnie poruszony.

— Mój przyjacielu! — szepce — Nigdy nie szukałem trudnych, ponętnych tematów. Przez pięćdziesiąt lat pisałem o tym, co mnie otacza, budowałem strofy o tym drzewie, co ocienia mój dom, o wodzie i majowej łące, o chmurach i wiejskich obyczajach. Były to wiersze takie:

Dnieje. Bujną zielenią ćmią się zbożne łąny,
Seledyn sadów w płowych mgieł zwiewnej osłonie,
Białą manną drobniotkich ros spylone błonie,
Leciuchno dyszy wonny wiatr rozlany..

Rozglądam się dookoła siebie, po rodzinnej okolicy tego wybitnego, a niestety nieznanego chłopskiego poety, po łagodnych wzgórzach, po gładkiej łące, po chatach, stojących rzędem przy drodze i błękitniejącym w pobliżu lesie. I przychodzą mi na myśl tamte szkolne lata, kiedy go tutaj właśnie poznałem, a potem godziny spędzone w jego domu. Każdy prawie szczegół tego krajobrazu znalazł miejsce w sonetach Stanisława Bojarczuka. Autor z ogromną wiernością i miłością odtworzył w swoich wierszach swój ukochany pejzaż.

Sosnowy sekretarzyk

Tymczasem nadchodzą dwaj synowie poety i zapraszają do zgrzybiałego, ciasnego domu. Idziemy gromadą. Stanisław Bojarczuk mieszka za przepierzeniem. Tam ma swój własny kąpiel. Nad skromnym, szarym samodzielnym zarzuconym wyrkiem przybito portret Bolesława Prusa. Obok coś w rodzaju sosnowego sekretarzyka, w którym autor kryje swój dorobek poetycki. Rodzina narzeka na ciasnotę chaty, ale nowy dom powstaje już na wzgórzu. Tylko brak funduszy na wykończenie.

Bojarczuk przez cały czas milczy. Dopiero, kiedy poruszam sprawę wydania jego sonetów, choćby w niewielkim, lecz starannie dobranym wyborze, znów ożywia się. Jego drżące ręce zaczynają prze-



Stanisław Bojarczuk. Zdjęcie z września 1955 r.

Fot. Jerzy Tyburek

szukiwać szuflady, by pokazać mi rzeczy, których jeszcze nie znam. Jest tam cykl pt. „Halucynacje“, wiersze, w których poeta wprowadza postacie z mitologii, każąc im mieszkać na Rońsku, nad wodą, na łące, w lesie i przy źródle. Są tam także utwory takie, jak Chopin, Paganini, Canova. Są to utwory słabsze od tych, które autor zamknął w cyklach obrazujących życie wsi, dolę i niedolę chłopca, uroki wiejskiej, malowniczej wiosny i jesieni, zwyczaje i obyczaje, święta, dożynki, zaduszki, wesela i pogrzeby.

Obok wierszy lirycznych: „Mleczna droga“, „W zaduszki“, „Człowiek“, „Świt Wiosna“, „Dzień Lato“, „Zmierzch Jesień“, „Noc Zima“, „O wschodzie“, „O zachodzie“, „Północ“, „Świt“, „Tęcza“, mam przed sobą strofy zatytułowane: „Sztuka“,

„Zalecanki“, „Sabat cyfr“, „Na gospodzie“ oraz piękne „Wesele“.

Poeta wciąż przeszukuje szuflady, wydobywając stamtąd coraz to nowe utwory, zamknięte w teczkach i ułożone w odpowiednio zatytułowane cykle. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że poezja Stanisława Bojarczuka, obok swojego wspaniałego liryzmu, jest przesiąknięta buntem i goryczą „wolnego najmity“, jest w niej potężny ładunek radykalizmu społecznego, przesycającego większość strof tego poety chłopskiego, poety mocno związanego ze swoim środowiskiem. Głód, powszechna bieda małorolnego chłopą przewijają się w całej twórczości Bojarczuka. Sam zresztą wyszedł z nędzy, przeżył ciężkie lata walki o każdy kęs chleba, o tę lnianą koszulę, z którą nie rozstaje się do tej chwili. W domu nigdy nie przelewało się, a na progę zawsze siedziała Kuma — Troska. W poszczególnych wierszach dźwięczą też echa antyklerykalnej nuty. To upodabnia Bojarczuka do Marii Konopnickiej i jego ulubionego poety Syrokomli.

Na specjalne wyróżnienie zasługują piękne, kunsztowne erotyki Stanisława Bojarczuka. Są to utwory pełne szczerego uczucia, prostoty i zmysłowości. Widać tutaj głębokie przejęcie się poezją Kazimierza Przerwy Tetmajera.

— A więc patrzcie, ile tego nazbierało się w ciągu niespełna półwiekowej pracy! — mówi cicho sędziwy poeta, pokazując na stosy utworów, na te czki i bruliony, leżące w sekretarzyku. — Szkoda, żeby to zmarnowało się, zgniło. Jestem przekonany, że niejeden z tych wierszy nie tylko potrafiłby wzruszyć, ale i wstrząsnąć duszą czytelnika. Tylko mijają lata, ba, dziesiątki lat i jakoś się tym nikt na serio nie zainteresował. A przecie, widzicie, w jakim jestem wieku. Skończyłem 86 lat! I niewiele mi już zostało. A potem, kiedy odejdę stąd na tamtą stronę, wysiłek mojego całego życia pójdzie w niwecz. To już tragedia!

— Jestem przekonany — uspokajam poetę — że w Polsce Ludowej twórczość Pana znajdzie nie tylko poparcie i opiekę, ale i że dorobek Pański zostanie już niebawem udostępniony czytelnikom. Już niejeden z poetów chłopskich doczekał się wydania „Wyboru“ swoich dzieł. Tym bardziej Pan! Taki świetny, wyjątkowy twórca!

Opowiadam Bojarczukowi o działalności tak zasłużonej placówki, jak Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, która coraz więcej rozszerza zakres swojej pracy, sięgając głęboko w teren, docierając z książką do najdalszych wsi. I właśnie LSW pu-

blikuje przede wszystkim to, co wychodzi spod pióra poetów i pisarzy chłopskich. Niedawno nakładem LSW ukazał się bardzo starannie wydany tomik Jantka z Bugaja z pięknymi przerywnikami A. Radziejowskiego. W tej samej serii powinien wkrótce wyjść zbiór wierszy Stanisława Bojarczuka.

Twarz poety pojaśniała. Podał mi kilka swoich zdjęć robionych w różnych okresach życia.

— Ale najlepsze ma moja wnuczka Krysia — mówi — to są przeważnie słabe fotografie, obce mi, dalekie.

W izbie zaległa chwilowa cisza. Cała rodzina skupiła się dokoła sędziwego poety. Synowie, jak mogą, starają się uzupełnić biografię ojca.

Pożegnanie

Rozstanie nasze jest bardzo serdeczne. Długo ściskam spracowaną dłoń świetnego wiejskiego poety, przyrzekając, że praca jego życia nie pójdzie na marne, ale stanie się dostępną dla wszystkich. Jeszcze przez chwilę obserwuję tę niezwykłą głowę starca, twarz o charakterystycznych, mocnych rysach. Bojarczuk milczy. Patrzy w zakurzoną szybę, za którą już złocą się jesienne ścierniska. Zdaje mi się, że w gardle ma lzy i że czegoś mi nie dopowiedział. Przed nim leżą wiersze. Rozsypane, jak duże płaty śniegu.

Powoli ruszamy w stronę stacji. W dali, na horyzoncie rysują się wieże starego kościoła, mienią się dachy nowych domów i poczerniałych kamienic. To Krasnystaw. A na lewo od szosy rozciąga się szmaragdowa łąka, przecięta ołowianą łuską strumienia. Szumią trzciny, szemrzą niespokojnie sokory. Na usta cisną się słowa Bojarczuka:

Cześć ci, samotnio z gąszczu wierzbiego,
gdzie świtezianek śnią się motańce,
tu przy twojego urwiska tańce
śmigiem jaskółczym myśli me biega.
Tu na kilimie murawy miękkiej
suchych porostów rzuconym kłębie
usiadłszy mile pieści me oko.
Kiedy przez palce rokity giętkiej
słoneczny promień zaziera w głębie
uformowane ciszy zatoką.

To kraj Stanisława Bojarczuka, miejsce jego pracy, twórczości poetyckiej i długich dumań.

Józef Nikodem Kłosowski

Stanisław Bojarczuk

ŻARNA

Pierwszą dla mnie muzyką, jaką myśl mocarna
Z wieku mego dzieciństwa zapamięta może,
Był hurkot monotonny, gdy mielono zboże,
Przy śpiewaniu „godzinek”, obracając żarna.

Odtąd wciąż mruczą w duszy na swojej lirorze,
Czy mnie całkiem pochłania czynność gospodarna,
Jękiem swym mi zawodzą, czy doła bezkarna
Swego prześladowania udręką mnie zmoże...

Żarna już nie istnieją. Nowsze pokolenia
Już nie będą wiedziały co to żarna znaczą.
A mnie żarna śpiewają, a mnie żarna płaczą.

I myślę, że przy końcu mojego istnienia,
Może by lżej mi było tam, przy życia skonie
Zasypiać snem wieczności przy ich smętnym tonie.

SOSNA

Na pagórku niewielkim, wysoka i gładka,
Ogromnymi konary wspaniale potężna,
Gniazdom ptasim forteca, dla psot niedosiężna,
Stała sosna wśród innych, jak przy dzieciach matka.

W jej koronie znać było długie, dawne latka,
Opierała się burzom, nawałnicom prężna.
Aż, gdy w kraju zawyła zawieja orężna,
Padła, prawie u kresu niewoli ostatka.

Sosno Wielkiego Dołu! I to piękne wzgórze,
Na którym ongi stałaś, nęcąc moje oko,
Utkwiłyście w pamięci na zawsze, głęboko.

Nie posiadłszy prócz myśli innego obrazu,
Dziś z tajemniczego jakiegoś nakazu,
Utrwalić choć przez wzmiankę chcę w literaturze.

WIELKI DÓŁ

Wielkiego Dołu skąpe dzieje,
Jak na niewielkiej był przestrzeni.
Wiele pagórków, moc zieleni...
W jezioro woda z drzew się leje.

Czy chmury ześlą moc swych cieni,
Czy słońce blaskiem swym się śmieje.
Czy rosi deszcz, czy wicher wieje,
Zawsze ten sam, choć barwę zmieni.

Tu się w dzieciństwie smucę, bawię,
Ciosam budowle z glinnej bryły
Lub pod gałązką w gęstej trawie

Siedzę, gdzie ptaszki gniazdko wily...
Zakątku mej ojczyzny miły,
W sercu pamiątkę ci zostawię!

W POŁUDNIE

Czy pamiętasz południ letnich chwile błogie?
Kiedyśmy ongiś młodzi pełni chwasty w proszę?
Które wciąż wyrwane wciąż na nowo prą się
Między zboża na role nie ległe odłogiem.

Bywało, idziem miedzą acz porosłą głogiem.
Rozzutymi nogami po perlowej rosie,
Które niby czótenka tkackie w nitkach trą się.
Chodzenie boso było miłym mym nałogiem.

Niewidoczne skowronki, pół sielskich minstrele,
Nad głowami nam wiodły swe rozkoszne trele,
Z zarośli słyhać było słowicze symfonie...

A myśmy przy tej miłej słowiczej litanii
Oraz przy skowrończonej rzewnej antyfonie
powojem, jeżynami byliśmy splątani.

Stanisław Bojarczuk

Kazimierz Andrzej Jaworski

GDYBYŚMY MIELI TAKI TEATR...

Jeszcze przed wyjazdem do Czechosłowacji obiecywałem sobie, że muszę się zapoznać z czeską estradą wiejską. Dochodziły mnie wieści o wysokim poziomie tamtejszych imprez artystycznych na wsi i chciałem przekonać się o tym naocznie. Ponieważ pani Maria Sztiedra, moja opiekunka z ramienia Ministerstwa Kultury, układała zawsze program dnia w porozumieniu ze mną i stosując się w miarę możliwości do moich życzeń, z łatwością udało mi się zrealizować swe pragnienie.

I oto w poniedziałek 25 października wyruszyliśmy o szóstej wieczorem do wsi Opolany za Podiebradem (miasto powiatowe). Już wiedziałem, że przedstawienie, które zobaczę, nie ma nic wspólnego z tym, co zwykliśmy w naszym dawnym „Artosie“ określać mianem estrady wiejskiej. Że Vesnicke Divadlo to po prostu teatr dla wsi, prawdziwy teatr w dosłownym tego słowa znaczeniu i że dramat, który ujrzę — „Marysza“ braci

Mrsztików, od pół wieku należy do żelaznego repertuaru teatralnego. Z tym większą więc ciekawością jechałem na spektakl: jak w prymitywnych zapewne warunkach aktorzy wystawią prawdziwą sztukę i jak widz wiejski będzie reagował na treść dramatu i grę artystów?

Po godzinie samochód dotarł do Opolan. Musiała to być jakaś wieś mało znana, bo nasz kierowca, który doskonale orientował się w terenie, parokrotnie zatrzymywał się pytając o drogę. Tym lepiej: w takiej miejscowości przedstawienie będzie jeszcze bardziej interesujące. Niby to wieś, ale w Czechosłowacji trudno jest odróżnić wieś od miasteczka: i tu, i tam domy murowane, chodniki, światło elektryczne.

Zatrzymujemy się przed Domem Kultury. Sala duża, widzów przeszło dwustu. Długość sceny, sądząc po kurtynie, jakieś 5—6 metrów. Ale, ale...

po bokach reflektory. A jakie ma przeznaczenie ten głośnik?

Pani Maria, mała ale ruchliwa i energiczna osobka, już rozmawia z kimś z administracji. Już jej rozmówca zapisuje coś w notesie, już idzie za kulisy. Robi się małe zamieszanie, zwracamy na siebie uwagę publiczności, administrator wraca i lokuje nas na wolnych miejscach w drugim rzędzie. Za chwilę światła na sali gasną i z reżysera wydobywa się dźwięczny męski głos. W krótkich słowach wita zgromadzoną publiczność, zagaja przedstawienie wspominając o działalności Teatru Wiejskiego i sztuce, którą zaraz ujrzymy, wreszcie kończy uprzejmym zwrotem pod adresem niespodziewanych gości — literata z Polski (tu nazwisko) i przedstawicielki Ministerstwa Kultury, życząc nam przyjemnego spędzenia czasu.

Kurtyna rozsuwa się i oto widzimy bardzo proste, ale artystycznie pomyślane dekoracje przedstawiające wnętrze izby wiejskiej. Jasne światło reflektorów podkreśla białosc ścian i barwnosc kostiumów kobiecych. Padają słowa śpiewnej czeszczyzny o nieskazitelnej dykcji i już za chwilę jestem wciągnięty w zawiązującą się intrygę.

Treść sztuki, jak zdążyłem przeczytać w programie, zacierpnięta jest z prawdziwego zdarzenia. Los Maryszy, kochającej ubogiego Franka, którego biorą do wojska, a dla pieniędzy wydanej przez rodziców za starego młynarza, jest dla ówczesnej wsi na przełomie XIX i XX stulecia dość typowy. W małżeństwie tym żona jest nieszczęśliwa, młynarz źle się z nią obchodzi. Kiedy Franek po dwu latach zwolniony z wojska wraca do rodzinnej wsi, przypadkowo spotyka się z Maryszą w gospodzie. Wychodzą z karczmy razem w oczach zgorszonych gromady. Wieść o tym spotkaniu i przechadzce żony z Frankiem dochodzi do męża, który robi Maryszy brutalną scenę za zdręci. Nieco później w czasie nieobecności młynarza Franek odwiedza Maryszę w jego mieszkaniu, gdzie rozmawiają przez chwilę i stwierdzają, że uczucie ich trwa nadal z niezmienną siłą. Lecz Marysza odrzuca proponowaną przez Franka ucieczkę do Brna i staranie się o rozwód. Tymczasem mąż dowiaduje się o wycie rywala i postanawia go zabić, strzela do kręcącego się w pobliżu jego domu Franka, ale chybia. Obawa o życie ukochanego, rozpacz z powodu nieszczęśliwego losu i nienawiść do okrutnego męża pchają Maryszę na drogę zbrodni: truje młynarza. Sztuka na wskroś realistyczna, zdzierająca maskę z pozornej sielankowości wsi, odsłaniająca konflikty na podłożu ekonomicznym, w osobie buntowniczego Franka przedstawiająca ducha protestu przeciwko zacofaniu wsi i niesprawiedliwości losu, a w postaci Maryszy bierność kobiety niezdolnej do walki o szczęście, ale w chwili rozpaczki nie umiejącej hamować swych impulsów.

Publiczność słucha, jak się to mówi, z zapartym tchem. Ciska panuje na sali, tu i ówdzie kobiety przykładają chusteczki do oczu. Ależ bo artyści grają doskonale! Nie ma tu żadnej namiastki sztuki, lekceważenia widza wiejskiego, daje się uczci-

wy, solidny towar. W grze wyróżniają się Vratislava Petrova w tytułowej roli, sekundują jej dzielnie Milan Draždik w roli Franka i Vladimir Bittl kreujący ojca bohaterki, chciwca i safandulę pod pantoflem żony, w gruncie rzeczy jednak niezłego człowieka, kochającego swą córkę. Dekoracje, które ulegają zmianom, skromne, lecz zawsze celowe. Po przedstawieniu jeden z artystów usiłuje nawiązać z widzami dyskusję na temat dramatu, ale podobnie jak i u nas na wsi nie udaje mu się skłonić publiczności do wyznań. Jednak widać ze wszystkiego, że sztuka podobała się bardzo, że ją naprawdę przeżyto.

Rozmawiam z aktorem, który grał rolę ojca Maryszy, a który jest kierownikiem zespołu. Zapytuje mnie, jak mi się podobało przedstawienie, odpowiada na moje pytania dotyczące szczegółów pracy teatralnej na wsi. Była ona bardzo trudna w pierwszym okresie istnienia teatru, kiedy ekipy nie miały własnych środków transportowych, dojeżdżały do gminy pociągami, a potem aktorzy wędrowali od wsi do wsi na piechotę, a ich sprzęt teatralny, dekoracje, kostiumy i rekwizyty przewożono na furmankach lub saniach. Mieszkali wtedy w prywatnych mieszkaniach chłopów, którzy zresztą przyjmowali ich bardzo gościnnie, ale nie mogli im zapewnić dostatecznych wygód. Dzisiaj każdy zespół ma własny samochód z dwukolową przyczepą dla dekoracji. Trudności są nieraz z warunkami, w jakich odbywają się przedstawienia. Nie zawsze scena i widownia są dostatecznie wielkie, jak na przykład tutaj w Opolanach (mój Boże, żebyśmy to u nas mieli wszędzie takie na wsi!). Zdarzały się wypadki, że sceny ani kurtyny w ogóle nie było i grało się w bezpośredniej styczności z widzami. Często brak garderoby, którą trzeba improwizować w jakimś najciemniejszym, przewiewnym kącie za kulisami, gdzie nic się nie da umieścić, albo też korzystać w tym celu z kuchni w sąsiedniej gospodzie, z piekarni, wędzarni lub w najlepszym razie z jakiegoś pokoju w gminnej radzie narodowej. A potem aktorzy już w przebraniu muszą się przekradać na scenę od tyłu. Bywa i tak, że garderoba jest pod gołym niebem, aktor przykleja sobie wasy gdzieś za krzakami, a lusterko zawieszają na gałęzi. Trafiają się jednak czasem i garderoby z prawdziwego zdarzenia, czyste i w zimie ogrzane, w których artyści mogą wygodnie charakteryzować się i przebierać, a w czasie pauzy należycie wypocząć. Nieraz zima porządnie dokuczy i w czasie przedstawienia w sali i na scenie para bucha z ust publiczności i aktorów. Ale mimo tych trudności artyści są pełni zapału i poświęcenia i całą duszą oddani sztuce. Teatr Wiejski udowodnił, że można grać wszędzie: na scenie, zaimprowizowanej estradzie, a nawet na gołej ziemi.

Dziękuję sympatycznemu aktorowi za garść tych informacji i żegnam go zapewniając, że dzisiejsze przedstawienie było dla mnie silnym przeżyciem. Radzi mi, abym odwiedził praską Centralę Teatru Wiejskiego i zetknął się tam z dyrektorem i kierownikiem artystycznym teatru Franciszkiem

Smażikiem, który mnie chętnie wtajemniczy we wszystkie sprawy związane z organizacją pracy w terenie.

Nazajutrz o godzinie jedenastej zajechałem przed siedzibę Vesnickiego Divadla, którą od trzech z górą lat mieści się w starym pałacu przy ulicy Hloubietin w Pradze. Przed gmachem — dziedzińiec, obok — zabudowania, ogród.

Wita mnie kierownik objazdu i zwiedzanie pałacu zaczynam od jego pokoju, gdzie na ścianach wiszą mapy. Na jednej z nich wbite chorągiewki, zaopatrzone w numery ekip, oznaczają, gdzie w danej chwili znajduje się każdy zespół; druga — przedstawia aktualne trasy autobusów; trzecia wykazuje liczbę miejscowości obsłużonych od początku istnienia teatru. Na stole za szkłem duży schematyczny plan obsłużenia terenu w ciągu ro-

impresy. Jeden z aktorów jest kierownikiem artystycznym ekipy, inny ispicjentem i rekwizytorem, a podczas prób — suflerem.

Vesnickie Divadlo jest całkowicie samowystarczalne. W tym pałacu i sąsiednich zabudowaniach mieści się wszystko, co jest związane z pracą teatralną. Kierownik objazdu oprowadza mnie kolejno po różnych pracowniach. Oglądam warsztaty: stolarski, ślusarski i malarski — tu powstają dekoracje, pracownię krawiecką, gdzie szyje się kostiumy, fryzjerską, dostarczycielkę peruk, bród, wąsów i warkoczy, warsztat elektrotechniczny (ekipy oprócz reflektorów mają własną instalację elektryczną), pralnię, halę, gdzie prowadzi się naprawy samochodów, skład rekwizytów i dekoracji, klub-świetlicę aktorów, trzy sale przeznaczone na próby, dwie ze scenami o powierzchni



Scena z 5 aktu „Maryszy”. W roli Maryszy — Vratislava Petrova, w roli Rosary, jej służącej — Różena Pre’sslerova.

ku — dla większej przejrzystości poszczególne dzielnice państwa mają na tym planie inny kolor od początkowych liter ich nazw, na przykład: cz — czerwony — Czechy, m — modry — Morawy itd. Plan jest nienaruszalny i nie może ulec zmianie. W obecnej chwili teatr rozporządza 10 zespołami czeskimi i jednym niedawno utworzonym — niemieckim, działającymi na terenie Czech, Moraw i Śląska. W Słowacji odpowiednikiem Vesnickiego Divadla jest Dedinske Divadlo, które ma pięć ekip, w tym jedną węgierską oraz zespół ukraiński; oprócz tego przy teatrze w Cieszynie istnieje objazdowa ekipa polska. W każdym zespole jest przeciętnie 12 aktorów, dekorator, elektromonter i szofer, którzy mogą grać krótkie role lub być statystami. Dekorator wraz z szoferem ustawia kulisy. Pierwszy z nich jest również bileterem. On i elektromonter są realizatorami

6 m na 4 przy 3 m wysokości, to jest takie, jakie najczęściej spotyka się w terenie. Właśnie odbywają się w nich próby i to zapewne już ostatnie, bo artyści grają w kostiumach i na tle dekoracji. Na zakończenie tego spaceru mój uprzejmy przewodnik prowadzi mnie do kancelarii księgowego i kasjera, dowcipkując, że to jest miejsce, do którego artyści zaglądną najchętniej, i wreszcie oddaje mnie w ręce dyrektora i kierownika artystycznego Vesnickiego Divadla Franciszka Smażika.

Oto człowiek całą duszą oddany sprawie upowszechnienia teatru na wsi, człowiek, bez którego trudno by było tę ciekawą instytucję sobie wyobrazić. Zrósł się z nią od samego zarania jej istnienia, a kiedy opowiada mi o pracy teatru, jego dobrotliwe oczy zapalają się i promieniają ciepłem — odbiciem wewnętrznego żaru. Siedzę

w zacisznym gabinecie na miękkim fotelu i słucham jak bajki tego, co mi mówi. Wielu rzeczom nie dałbym wiary, gdyby nie wczorajsze przedstawienie, gdyby nie ta fantastyczna przechadzka po pałacu, z której przed chwilą wróciłem.

Teatr powstał z inicjatywy Ministerstwa Rolnictwa jesienią 1945 r., a działalnością jego zajął się Związek Rolników Czeskich. Powstał można by rzec z niczego, nie poprzedzony żadną reklamą. Szesnastu młodych aktorów i aktorek z ruchu amatorskiego utworzyło jedną ekipę, która już w połowie grudnia wyruszyła z programem w teren, w styczniu następnego roku powstał drugi zespół, a w miesiąc potem — trzeci. W tym stanie teatr przetrwał do reorganizacji w lutym r. 1948. Początkowe warunki pracy na wsi były bardzo ciężkie, opowiadano mi zresztą o tym wczoraj w Opolanach, ale strona organizacyjna działalności teatru już od samego początku stanęła na wysokim poziomie i przybrała formy, które zasadniczo z pewnymi modyfikacjami przetrwały do dnia dzisiejszego.

W r. 1948 Teatr Wiejski pod opieką Ministerstwa Rolnictwa, Ministerstwa Oświaty i Ministerstwa Kultury rozrósł się do 10 ekip w Czechach, każdy zespół otrzymał własny samochód z przyczepą. To ułatwienie środków komunikacyjnych pozwoliło teatrowi rozwinąć szeroką działalność i docierać do najdalszych zakątków kraju. Dzięki temu z końcem roku 1952 można było osiągnąć prawie 14 tysięcy przedstawień i obsłużyć z górą dwa miliony widzów. Artyści już nie musieli korzystać z gościnności gospodarzy wiejskich, odtąd bazą każdej miesięcznej wyprawy zespołu stał się hotel w odpowiednim mieście powiatowym.

Już od chwili swego powstania teatr zwrócił uwagę na konieczność dostarczenia rozrywki kulturalnej nie tylko dorosłym, ale i młodzieży. Dlatego też każda ekipa oprócz programu dla starszych ma również w swoim repertuarze jedną sztukę dla dzieci grywaną na małej scenie za pomocą kukielek. W czasie swej tury miesięcznej każdy zespół odwiedza jeden powiat, a w nim jakieś 11 mniejszych gmin, które liczą do tysiąca mieszkańców. W każdej gminie ekipa przebywa 2 dni dając trzy albo cztery przedstawienia, w tym jedno albo dwa rano lub po południu dla dzieci. Przeciętna liczba widzów na spektaklu wynosi 150.

Zespół przebywa w terenie 22 dni w miesiącu, dwa dni dochodzą na podróż — razem 24. Resztę miesiąca spędzają aktorzy w Pradze, przy czym korzystają z wolnych dni odpowiadających liczbie przepracowanych niedziel. Pozostały czas poświęcony jest na ćwiczenia i uzupełniające próby.

W każdym miesiącu trzy ekipy prowadzą co dzień sześciogodzinne próby trzech nowych sztuk i przez ten czas przebywają w Pradze. Pozostałych siedem, a obecnie, po utworzeniu zespołu niemieckiego, osiem pracuje w terenie. Jeden miesiąc przeznaczony jest na wakacje, tak że 11 ekip może w ciągu roku przygotować najwyżej 33 premiery. Z tego wynika, że każdy zespół występuje

w ciągu roku z trzema nowymi sztukami dla dorosłych. Dla dzieci natomiast w teatrze kukielkowym jest rocznie do 20 premier.

Ale największą rewelacją dla mnie był repertuar Teatru Wiejskiego: klasyczne sztuki czeskie i utwory współczesnych pisarzy (Tyl, Szalda, Szramek, Stehlik, Cach i in.), Szekspir („Poskromienie złoŹniczy“, „Wieczór trzech króli“), Molier („Skąpiec“, „Tartuffe“, „Chory z urojenia“, „Szkoła kobiet“, „Grzegorz Dyndała“), „Ożenek“ Gogola, „Las“, „Późna miłość“, „Kruk krukowi oka nie wykole“ Ostrowskiego, „Wujaszek Wania“ Czechowa, „Trzydzieści srebrników“ Fasta. Ze sztuk polskich: „Śluby pańskie“, „Moralność pani Dulskiej“, „Odwety“ Kruczkowskiego, „Sprawa rodzinna“ Lutowskiego, „Gdy marmur ożyje“ Choromańskiego. Słucham tego wszystkiego i wprost wierzyć mi się nie chce: Szekspir, Molier i nasz Fredro w zapadłych wsiach czeskich! Ale sceptyka przekonają fotografie — pokazuje mi ich mnóstwo przemily dyrektor i kierownik artystyczny w jednej osobie.

W naszej pracy — kontynuuje dyrektor swą fascynującą opowieść — kładziemy nacisk i na to, by w czasie wyjazdów artystów w teren następowało prawdziwe zbliżenie miasta ze wsią. Przed spektaklem kierownik ekipy wita publiczność i opowiada o pracy teatru, o sztuce, która będzie odegrana, i jej autorze, po przedstawieniu widzowie w przyjacielskiej rozmowie z artystami wypowiadają się o ich grze, mówią o swej pracy kulturalnej na wsi, poruszają nieraz zagadnienia związane z rolnictwem, a czasem spowiadają się z miejscowych bolączek i proszą o radę. O tych sprawach wpływają raporty do Centrali, która ze swej strony informuje o tym odpowiednie czynniki, rady narodowe, tak że nieraz aktorzy tą drogą przychodzą chłopom z pomocą. Przebywając na wsi wchodzą w kontakt z miejscowymi działaczami kulturalnymi, udzielają im wskazówek w ich pracy świetlicowej, bibliotekarskiej czy przy prowadzeniu teatru amatorskiego. Zapraszają ich przed przedstawieniem do garderoby i szkolą ich praktycznie w charakteryzacji. O wszystkich doświadczeniach zdobytych w terenie, o zetknięciu się ze społeczeństwem na wsi, o ciekawszych przejawach i osiągnięciach życia kulturalnego w danej miejscowości aktorzy piszą do swego miesięcznika „Nasza praca VD“.

— Czy nie będzie niedyskrecją — pytam, — jeśli zainteresuję się uposażeniem aktorów? Jakież są ich wynagrodzenia?

— Przeciętna gaża aktorska wynosi 1100 koron miesięcznie, w czasie pobytu w terenie artysta otrzymuje 36 koron diety i 8 koron tak zwanego „zajezdovnego“ za to, że jest poza domem, razem 44 korony dziennie, w sumie więc zarabia ponad 2000 koron miesięcznie. Za tę gażę obowiązany jest wziąć udział w 16—20 przedstawieniach (zależnie od kwalifikacji), za pozostałe spektakle ma dodatkowe wynagrodzenie w stosunku jedna trzydziestoszosta gaży od przedstawienia.

Widząc, że rozmowa nasza się przedłuża, chce już pożegnać dyrektora, ale muszę dokonać jeszcze jednej, milej zresztą, formalności — wpisać się do księgi pamiątkowej. Przeglądam ją z ciekawością, bo ileż tu nazwisk z całego świata: Sergiusz Obrazcow, dramaturg chiński Lao Sze i aktorzy Lo Wen i Tiang Wan, Hindusi — Ramakriszma Mukerdzi i Prabhati Mukerdzi, pisarz amerykański M. Gorelik, Liane Verin, Niemcy, Rumuni, Bułgarzy, Węgrzy. Są i polskie nazwiska. Z przyjemnością znajduję wśród nich znajomych: dawną

reżyserkę z „Artosu“ Wandę Wróblewską i kol. Marię Bechczyc-Rudnicką z Lublina.

Obdarzony pamiątkowym albumem ze zdjęciami fotograficznymi i estetycznym znaczkiem Teatru Wiejskiego (na złotym tle symboliczna czerwona maska z kłosem i litery VD) dziękuję serdecznie dyrektorowi za tyle ciekawych informacji i opuszczam Pałac Teatru Wiejskiego, który wydał mi się pałacem z bajki.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Włodzimierz Chelmski

WŚRÓD DZIAŁKOWCÓW I MICZURINOWCÓW

Małżonka moja, inż. rol., jest entuzjastką pracy na działce. Ja w zupełności podzielałem jej entuzjazm, gdyż lubię bardzo nowalijki, szparagi, poziomki, w sałatce selera, w zupie pora, o którym mówią Francuzi, że jest królową jarzyn. Nie podzielałem w zupełności u małżonki umiłowania kwiatów, gdyż piękne roślinki te robią zbytnią konkurencję moim faworytom. Nie słabnąca z wiekiem pasja do kwiatów, z którymi w domu jest wieczny kłopot, świadczy o nieprzemijających siłach młodości u tej kobiety, której ja mam zaszczyt być małżonkiem. Gdy ktoś się litował nad zaoraną w tej pracy inż. rol., dałem mu następującą odpowiedź: gdybym przeszkadzał w tej mordędze, gniew tej kobiety obróciłby się przeciw mnie. Porozumieliśmy się.

Patrząc na pochylonych nad grządkami działkowców i zastanawiając się, co ich do tego skłania, czynię takie przypuszczenia: atawistyczny pociąg do ziemi, nałogowa pracowitość (cnota rzadka u Polaków), chciwość, łakomstwo, współzawodnictwo, umiłowanie czegoś w człowieku, co u wielu zaspokaja sztuka, wreszcie — mały biczek! Tak, stanowczo moja małżonka ma na tym punkcie biczka, tym bardziej jest to prawdopodobne, że nie jest ani łakoma, ani chciwa, ani ambitna w popolitym słowa tego znaczeniu. Oprócz pracy na działce ta niestrudzona kobieta przystąpiła do kółła miczurinowców, uprawiając 2 zagony. Z wiekiem normalnie człowiek traci siły — starzeje się, małżonka przeciwnie — młodnieje, co jest olbrzymim zwycięstwem nad naturą, z czego tylko ja jestem dumny. Przypominam w tej chwili męża literatki, który na premierze „Obrony Częstochowy“ wychylając się z łoża wołał: „to ja — mąż!“

Inż. rol. wraca do domu ciężko umęczona, by nazajutrz z niesłabnącą energią rzucić się do pracy i do walki ze ślimakami. Te uprzykrzone stworzonka już drugi rok niszczą niżej położone plantacje działkowców. Chemia jest tu bezsilna. Idą na to

sumy dosłownie w błoto. Jedynie nie dość szanowane żaby mogłyby uporać się z tą plagą. Niestety, jest ich za mało, a Polacy w przeciwieństwie do Francuzów, którzy uważają ślimaka za przysmak, nie gustują w tych stworzeniach.

Teraz już bez żartów, dopóki nie powrócę do opisu krzątających się na działkach zbzikowanych maniaków, a w gruncie rzeczy mądrych ludzi, którzy przestając na słońcu i powietrzu, wśród pełnych aromatu zieleni bronią się od okropności sklerozy, niedołęstwa i nudziarstwa.

Piękna nowela Marii Dąbrowskiej spopularyzowała warszawskie ogródki działkowe, praca amatorów doświadczalników, czyli tak zwanych „miczurinowców“ omawiana w „Działkowcu“, znalazła się tą drogą na łamach pisma literackiego. Zagadnienie Ogródków Działkowych Robotniczych to pierwszorzędny temat społeczny, który oczekuje swojej monografii. Gdy przed 48 laty żona moja była na pierwszym odczytanie inicjatorce tych ogródków w Warszawie, młodej wracającej do kraju społeczniczki panny Proczkówny, jej referat o powstawaniu takich ogródków za granicą został przez słuchaczy przyjęty raczej bez entuzjazmu.*) Takie małe działki uprawiane w kraju rolniczym o takich produktach nie budziły większego zainteresowania. Znalazła się jednak grupa działaczy, którzy dla innych względów, między innymi walki z alkoholizmem, doprowadzili do powstania Towarzystwa Ogródków Działkowych.

Ale czasy się zmieniają, przeszły dwie wojny, odkryto witaminy i spopularyzowano w najszerszych kręgach społeczeństwa warzywa i surówki. Obecnie trudno uwierzyć, że na początku stulecia tylko „wybrani“ znali pomidory i rabarbar. Już w latach trzydziestych lekarz pediatra podkreślał z uznaniem, że przyniesione do szkoły śniadanie

*) Dowiedziałem się, że obecnie istnieją w Warszawie działki im. Proczkówny.

dziecka robotniczego zawiera coraz częściej rzodkiewkę lub jabłko. Dziś działki pracownicze są popularne. Nie tylko w Warszawie trudno było bohaterowi noweli Dąbrowskiej otrzymać działkę do uprawy, ale i w Lublinie liczba działek „stałych”, którymi może rozporządzać Rada Związków Zawodowych, nie jest w żadnym możliwym stosunku do liczby zgłoszeń (75 zgłoszeń na 2 wolne działki!)

Lublin się rozrasta i wśród wielkich planów urbanistycznych zbyt mało poświęca się uwagi ogródkom działkowym. Trudno jest o tereny na zakładanie działek stałych, umożliwiających sadownictwo, reflektantów zaś na działki tymczasowe będzie coraz mniej wobec usuwania z terenów dobrze zagospodarowanych działkowców (przy Alei Świerczewskiego i z Podzamcza). Na ostatnim zebraniu działkowców w Ratuszu podnosiły się głosy oburzenia na decyzje sfer rządzących, na skutek których działki w stanie kwitnym zamienia się w opieszale zadrzewiany teren, miejsce schadzek i wybryków chuliganów. Lublin potrzebuje ogródków działkowych. Park jest niezbędny dla młodzieży i pewnej kategorii spacerowiczów. Dla większości rodzin pracowniczych działka zastępuje park, półkolonię i plażę. Zmusza ona do przebywania na powietrzu, zwalnia z kłopotów ubraniowych związanych z wycieczką do parku i daje całej rodzinie możliwość zajmującej pracy i odpoczynku w strojach plażowych. Działki w tej pracy społeczeństwa zbliżają ludzi, sprzyjają rozwojowi cnót obywatelskich. Często widzi się działkowców ofiarujących sobie rośliny, udzielających porady, pożyczających narzędzia — tworzą oni często solidarną grupę ludzi. Zdobywanie umiejętności uprawy i walka ze szkodnikami i chorobami roślin jest pod fachowym kierownictwem szkołą wspólnego, zorganizowanego wysiłku. Praca na działce uczy dzieci pielęgnowania roślin, rozwija w nich lepiej niż przebywanie w parku poszanowanie dla zieleni i cudzej pracy.

Na terenie działkowym Naszej Zdobyczy, jak już wspominałem, istnieje Koło Mieczurinowców im. Instytutu Puławskiego. Zrzesza ono 20 osób z różnych środowisk i z różnym przygotowaniem, związanych wspólnym zamiłowaniem. Pracami bardzo umiejętnie kieruje Krystyna Jastrzębska, pragna-

ca swym współpracownikom zaszcześcić badawczy stosunek do zjawisk. W roku bieżącym czynione są doświadczenia nawozowe. Znajdują tu podatny grunt do rozwoju melony, pomidory, kalafiori, blaklażany itd.

Tyle było słów... A teraz słówka i ploteczki. Jedna z uczestniczek tej pracy zasiała cebulę swoim nasieniem i po swojemu, a potem skubnęła parę roślinek na własne potrzeby. Było w tym tylko niezrozumienie celów i warunków prowadzenia doświadczeń. Trudno też było tej, skądinąd obdarzonej najlepszą wolą, pracownicy włożyć do głowy pewne obowiązujące tu zasady, nie mówiąc o takich eksperymentach, jak pomidory „wykastrowane i spryskiwane hormonami (auksinami)”. Dziś ta osoba bardzo się podciągnęła i stara się sprostać zadaniu. Zarówno niedorost, jak „prerost” inteligencji utrudnia tu kierownictwu pracę, radzi sobie jednak z tym doskonale pani Jastrzębska, osiągając dobre rezultaty widoczne tu na każdym kroku. Uśmiecha się opowiadając o „dziwach”, które i tu się trafiają. Jedna z osób oświadczyła, że wierzy w złe spojrzenia, które uśmiercają rośliny. Podejrzałem u niewiasty włoskie pochodzenie od sławnych jettatore. Istotnie osoba ta nosi włoskie nazwisko. Kiedy sąsiadka podała w wątpliwość tak śmiałe twierdzenie, niespodziewanie w obronie „Włoszki” stanął dozorca, rodowity Polak. Podobne dyskusje są dużym urozmaiceniem w pracy. Są też i inne urozmaicenia mniej niewinne w skutkach. Działkowcy skarżyli się na kradzieże. Godni pochwały członkowie zarządu zaczęli się i nad ranem przyłapać złodzieja. Przyłapano, jeśli można się tak wyrazić — z zachowaniem godności użył argumentów, które wprowadziły w zdumienie nieprzywykłych do Schawowskich paradoksów obrońców mienia społecznego. Brałem, biorę i brać będę — mniej więcej w tym sensie brzmiały słowa „ofiary życia”. Jako gruźlik jestem poszkodowany na zdrowiu i muszę dla ratowania życia spożywać wasze witaminy. Witaminy! — powtórzył i pokazując figę, a druzgocąc spojrzeniem, od którego moc truchleje, zakończył: „Nic mi nie zrobicie!”

Na tym kończę, gdyż obawiam się, że ciągnąc dalej swoją opowieść wpadnę w przesadę, czego ludzie umiarkowani nie potrafią ocenić.

Włodzimierz Chelmiński

KSIĘGA POCHWAŁ, ŻYCZEŃ I ZAŻALEŃ LUBELSKIEJ WYSTAWY ROLNICZEJ

Niejedna młoda a i starsza zapewne niewiasta ucieszyłaby się szczerze, gdyby stanął przed nią miły jej sercu mężczyzna i patrząc słodko powiedział: — Kochana, przyniosłem ci pierwiosniki i rubiny.

Pierwiosniki i rubiny. Ileż w tych słowach jest czaru i obietnic. No, ale żyjemy w epoce, w której realizm ma wszechstronne zastosowanie i dlatego niewiasta owa nie powinna być zaskoczona i rozczarowana, gdy młodzian po słowach wstępnych wręczy jej pokazałą torbę napelnioną... kartoflami. To nie takie złe ani nieprawdziwe. Po pierwsze na wiosnę, jak wykazuje praktyka ostatnich lat, z kartoflami nie jest najlepiej, a po drugie są właśnie takie odmiany ziemniaków, które nazywają się pierwiosnkami i rubinami. A więc wszystko w porządku.

O tych romantycznych nazwach naszych kochanych bulw dowiedzieli się nierolnicy (i ja do nich należę) na tegorocznej Wystawie Rolniczej w Lublinie.

Nie wybiegajmy jednak zbytnio naprzód, ale ustalmy jakiś porządek zwiedzania.

Zanim dojdziemy do pawilonu kartoflanego, trzeba nabyć bilet wejścia na Wystawę. Tu mnie spotkała mała przygoda. Siedząca w budce z napisem „kasa“ miła starsza pani zdziwiła się bardzo, gdy poprosiłem o bilet zniżkowy.

— Proszę o legitymację — powiedziała — a z jakiego pan związku?

Pokazałem legitymację Związku Literatów.

— Co to za związek ci literaci, nigdy o takich nie słyszałam.

Okazuje się, że można przeżyć na świecie lat...dziesiąt (lat kobiety nie trzeba się nawet domyślać, chyba że jest naprawdę wiośniana jak pierwiosnek) i nie wiedzieć, kto jest zacz literat i jakie związki wytwarza (organiczne czy nieorganiczne)...

Po chwili namysłu odrzekła, że zniżkowego biletu nie sprzeda, bo... bo literaci to ani przecież przemysł ani rolnictwo. Nieoczekiwanie po linii pomocy społecznej poparło mnie kilku panów, kupujących bilety. Reprezentowali rolnicze spółdzielnie, ale uważali, że Związkowi Literatów należy się zniżka.

— Przecież to też ludzie pracy tacy jak my — zawołali.

Interwencja poskutkowała i kasjerka, patrząc na mnie nieufnie, sprzedała mi jednak bilet zniżkowy. Podziękowawszy rolnikom za uczynność i chęć pomagania bliźniemu, wkroczyłem w progi wystawy. Już te „progi“, które są pawilonem wstępnym, że się tak wyrażę, przykuwają uwagę. Wejście, okna i sufit pawilonu ozdobione są ple-

cionymi wyrobami wiklinowymi. Mają one charakter jakby koronek. Motywami są orły stylizowane i kłosy.

Z pawilonu wejściowego wychodzi się na plac, gdzie stoją maszyny rolnicze. Traktory, Ursusy i Zetory, a potem młocarki, kombajny i inne. Na prawo od maszyn poletka, na których w ciągu sezonu zasiane wegetowały różne rośliny spożywcze i pastewne. Obok ciekawy model plastyczny POM w Czyżewie.

Jednym z największych i najciekawszych pawilonów jest zbożowy. Odpowiednio posegregowane liczne eksponaty nie tylko obrazują proces produkcji zbóż i ich liczne odmiany, ale i walkę ze szkodnikami i środki pomocnicze i wszystko, co się na pracę rolnika składa. Sto gospodarstw nasiennych produkuje, mówiąc językiem rolniczym, elity i oryginały dla województw wschodnich. Odpowiednie eksponaty ilustrują, jakie odmiany zbóż zrejonizowane są w wymienionych województwach. Nazwy przyjemne: blondynka, Leszczyńska wczesna, tak że mimo woli rozglądam się dokoła.

Ze zbożowego droga wiedzie do kartoflanego. Piękne czyste okazy przykuwają wzrok. Gdybyż takie sprzedawano w sklepach. Wtedy kartofel wywoływałby te same estetyczne wzruszenia, co i. np. pomarańcze. A i nazwy budzą zainteresowanie: pierwiosnek, rubin, świt, grom, deser. Dwie odmiany nie mają nazw. Próżno pytam ludzi noszących służbowe opaski. Nie wiedzą. Widocznie są takie kartoflane podrzutki bez tatusia i mamusi.

Po dziale buraczanym, w którym tylko fachowiec miałby coś do zanotowania, następuje dział, który działa wyraźnie na wyobraźnię. Kukurydza. Worki pełne pięknego wielkiego jak fasola ziarna. Nazywa się ono Złoty Żar. Rzeczywiście płonie jakimś złotym połyskiem. Z jaką przyjemnością zanurzyłoby się rękę w tych słonecznych bryłkach. Ale cóż... milcz serce. „Eksponatów dotykać nie wolno“.

Inna odmiana kukurydzy nazywa się Mieszko, a jeszcze inna Setniak. Znakomita zakąska pod setkę (ale nie więcej).

Ta roślina przyszłości na naszych ziemiach kietuje i kształtami i kolorami. Działa na apetyt. Szkoda, że w dziale gastronomicznym wystawy nie podają jej na gorąco z masłem. Propaganda tej wspaniałej rośliny wzrosłaby wielokrotnie.

Województwa rzeszowskie i białostockie mają wspólny pawilon, pięknie udekorowany i wypełniony wykresami obrazującymi osiągnięcia gospodarzów i rozwój kulturalny.

Największym powodzeniem wśród zwiedzających cieszy się domek jednorodzinny z trzcinolitu,

mający dwa duże pokoje, kuchnię, łazienkę i ubikację, ale, jak głosi napis, jest „niepodpiwniczony“ (a czy nie dałoby się go podpiwniczyć ku zadowoleniu nabywców?). Kosztuje 38.500 zł. na dogodnych warunkach. Aby dostać się do jego wnętrza, trzeba było stać w kolejce. Nic dziwnego — taki domek to ucieleśnione marzenie.

Melioracje reprezentuje wielka plastyczna makieta pokazująca budowę kanału Wieprz — Krzna. Jest pomysłowo wykonana i skupia powszechną uwagę.

Druga — podobna obrazuje prace melioracyjne na Kuwasach (województwo białostockie).

Od urządzeń melioracyjnych droga wiedzie do działów hodowlanych: kury, kaczki, ryby, owce, bydło, trzoda.

Przepiękne okazy rasy Sussex i Karmazynów świetnie kontrastują z białymi jak płatki śnieżne kaczkami, pływającymi po mało reprezentacyjnym bajorku.

Ryby w szklanych skrzyniach mówią (choć głosu nie mają) o osiągnięciach i możliwościach hodowlanych.

Duże stado rasowych owiec było najwyraźniej zdenerwowane. Odbył się pokaz mechanicznego strzyżenia, co najwyraźniej deprymowało owieczki, reagujące na to tak, jakby reagował człowiek, gdyby publicznie z niego ściągano garderobę. A ciekawskich było dużo. Skubanie cudzej wełny i do tego mechanicznie jest widać interesujące.

Dział hodowli trzody wyróżnia się silnym odorem. Wiadomo — świnię. Ale okazy piękne. Jeden knur, np. z Dębicy ma 350 kg wagi i nazywa się... Homer (o tym w naszej rubryce zatytułowanej „Drzazgi społeczne“, znajdującej się na ostatnich stronach).

Krowy są dostojne, wysokomleczne i reprezentują najlepsze wysiłki swych hodowców.

Ondulowany buhaj „Raban“, rasy Simental, koloru płowego waży 915 kg i jest jakby wcieleństwem Zeusa w okresie, gdy uwodził Europę. Ale cichy i łagodny jak jagnię (dla pewności kółko żelazne w nozdrzach i mocne łańcuchy).

Pozostała część Wystawy — to kiermasz obleżony przez kobiety z nylonowymi workami.

Poszczególne eksponaty, a nawet całe pawilony na wystawie, przykuwają uwagę i robią jak najlepsze wrażenie. To księga pochwał Wystawy.

A teraz życzenia.

Najwidoczniej organizatorzy jej nie mieli planu i działali dorywczo. Dlatego znaleźć można uster-

ki zarówno w całości jak i w detalach. Gdyby na przyszłość udało się zaplanować wystawę racjonalnie, w każdym powiecie odbyłyby się wystawy lub pokazy powiatowe w zakresie wszystkiego, co powiat produkuje w dziedzinie rolnictwa i przemysłu rolniczego. Najlepsze eksponaty, które zdobędą nagrody lub wyróżnienia, powinny być przeznaczone na wystawę wojewódzką. Przy eksponatach powinny być wykresy mówiące o ilościowej produkcji. Porównanie dałoby obraz najlepszych osiągnięć w każdym powiecie. Zestawienia wojewódzkie obrazowałyby, które z województw więcej i lepiej produkuje we wszystkich dziedzinach żywności, hodowlanych i przemysłowych.

A tak np. piękne stada kur, o czym powyżej, nic nie mówią o stanie hodowli w skali wojewódzkiej i osiągnięciach w tej dziedzinie w stosunku do innych województw w kraju itd.

Zgodnie z tytułem opis wystawy trzeba zakończyć wyliczeniem zażaleń.

Napracowałem się jak wół — mówi jeden z plastików — gdyż realizacja urządzeń wystawy zaczęła się zbyt późno i dlatego pośpiech i tempo prac było ogromne. Ostatnie trzy noce prawie nie spałem. A przecież wystawę można było zaplanować wcześniej i wykonanie prac tak rozłożyć, ażeby nie trzeba było później pracować po nocach.

Wskutek tego pośpiechu znać było różne niedociągnięcia — drobne, ale rzucające się w oczy, jak brak tabliczek orientacyjnych przy niektórych eksponatach.

W atrakcyjnym domku jednorodzinym z trzcinolitu jeden z pieców kaflowych był zdewastowany w poważnej części i robił przykre wrażenie. Również maszyny rolnicze nie były zaopatrzone w tabliczki orientujące jakiej są produkcji.

Przecież zarówno województwo lubelskie, jak i dwa inne biorące udział w Wystawie, mają przemysł rolniczy, którym mogą się pochwalić. Osiągnięciem tego przemysłu byłyby interesujące dla zwiedzających. Jedna z maszyn niedużych wyprodukowana została w Inowrocławiu i nie wiadomo dlaczego znalazła się na Wystawie lubelskiej, skoro była to wystawa rolnicza trzech wschodnich województw, a nie ogólnokrajowa.

Usterki te, od których nie wolna była i zeszłoroczna ogólnokrajowa wystawa, nie przekreślają jej uroku. Toteż liczby zwiedzających są znaczne.

W

Z FRONTU KULTURALNEGO LUBELSZCZYZNY

Roman Wallner

SPRAWA MUSI BYĆ W DOBRYCH RĘKACH

Jeżeli kiedykolwiek zwrócimy myśl do pierwszych chwil powstawania Nowej Polski, to dłużej zatrzymać się trzeba przy „okresie lubelskim”.

Wydarzenia w Lublinie zaważyły decydująco na dalszym rozwoju miasta — i nie tylko miasta — na rozwoju historycznym całej ojczyzny. Na wyzwolonych terenach tzw. „Polski B” rodziła się władza, która ów podział postanowiła znieść, dążąc do położenia kresu zacofaniu gospodarczemu i kulturalnemu upośledzonych niegdyś obszarów.

Sprawy kulturalno-oświatowe stanowiły jeden z najważniejszych problemów już wtedy, w 1944 roku, chociaż niedaleko, nad Wisłą, ziemia drżała jeszcze od wybuchów pocisków. Trudności w zorganizowaniu placówek kulturalno-oświatowych były olbrzymie. Jedną z największych była ta, że nie wszyscy działacze przystąpili od razu do pracy.

Do pierwszych osiągnięć ruchu kulturalno-oświatowego w Lubelszczyźnie należy zaliczyć zorganizowanie we wsiach i miasteczkach amatorskich zespołów artystycznych. Jednak trudności mnożyły się na każdym kroku. Brak było fachowych kierowników zespołów. Wykorzystywano repertuar stary, nie zawsze aktualny, nie wiążący się problemowo i artystycznie z nowymi wymogami życia.

W trosce o rozwój i odpowiedni kierunek rozwoju życia kulturalnego Prezydium Rządu wydało specjalną uchwałę, nakładając na prezydium rad narodowych wszystkich stopni obowiązek omawiania na posiedzeniach spraw kultury przynajmniej raz na kwartał. Dawało to możliwość większego wglądu w stan aktualny oraz możliwość kontroli wykonywanych zleceń.

Uchwała Rządu wprowadziła w wydziałach i oddziałach kultury stanowiska instruktorów kulturalno-oświatowych, tym samym stworzone zostały kadry instrukcyjne, których zadaniem jest przede wszystkim praca bezpośrednio w świetlicach, domach kultury, bibliotekach.

Zmieniła się zasadniczo kierownicza rola wydziałów i oddziałów kultury rad narodowych. Pracownicy wyszli z biur do pracy instrukcyjno-metodycznej w terenie.

Zdarzały się jednak jeszcze dość liczne wypadki zabierania pracowników kulturalno-oświatowych do innych zajęć, zupełnie niezwiązanych z ich działalnością podstawową, jak oddelegowywanie do innych wydziałów celem wykonywania prac kancelaryjnych, angażowanie przy akcji skupu, kontraktacji czy zbieraniu podatków.

Było to wynikiem błędnego rozumienia pewnych instrukcji: pracownicy wydziałów kultury mieli pomóc przy kontraktacji trzody czy przy skupie bydła, ale nie bezpośrednio, tylko pośrednio, poprzez odczyty i pogadanki, poprzez organizowanie aktualnych widowisk propagandowych.

Dla naszego województwa dużą wagę posiadał rok 1952. Dokonał się wówczas pewnego rodzaju przełom w życiu kulturalno-oświatowym — 63 świetlice wiejskie zostały objęte państwową pomocą finansową: otrzymały etatowego kierownika i budżet, pozwalający na pokrycie kosztów związanych z zaopatrzeniem świetlicy w potrzebne książki i podręczniki, z prenumeratą czasopism i na inne wydatki gospodarcze. Poza tą formą pomocy świetlice zostały wyposażone w niezbędny sprzęt: stoły, krzesła, szafy, instrumenty muzyczne.

W następnym roku, 1953, powstają dalsze 33 świetlice i 7 Powiatowych Domów Kultury. Stan aktualny wynosi 112 świetlic i 7 domów kultury.

W oparciu o świetlice i domy kultury rozwija się amatorski ruch artystyczny. Lubelszczyzna pochwalić się może 946 zespołami artystycznymi. Jest to osiągnięcie poważne. A cyfry — cyfry przecież nie są dla nas zimnymi znakami: kryje się za nimi zacieśnienie więzi miasta z wsią, zmniejszenie różnic kulturalnych i oświatowych, powodowanych odmiennymi warunkami życia, ważny pro-

blem zachowania starej kultury i krzewienia nowej.

Drugim nieodstępnym zagadnieniem tego wycinka życia jest sprawa bibliotek.

Uchwała Prezydium Rządu skierowała zainteresowanie prezydiów rad narodowych na stworzenie warunków dla niezbędego rozwoju działalności bibliotek powszechnych.

Prezydium WRN w Lublinie na posiedzeniach poddało wnikliwej analizie sprawozdania z działalności placówek kulturalno-oświatowych w ogóle, a szczególnie omawiano sprawę czytelnictwa w województwie lubelskim. Na skutek tej analizy Prezydium WRN podjęło 8 kwietnia 1955 roku specjalną uchwałę, w której zobowiązano prezydium powiatowych i gromadzkich rad narodowych do właściwej opieki nad bibliotekami, do zwiększenia pomocy dla nich przez zapewnienie należytych warunków lokalowych, właściwy dobór pracowników, systematyczne analizowanie działalności bibliotek, kontrolę punktów bibliotecznych. Postanowiono szczególną opieką otoczyć biblioteki w siedzibach spółdzielni produkcyjnych oraz zapewnić pracownikom bibliotek możliwość wykonywania właściwych obowiązków, bez odrywania do prac niezwiązanych bezpośrednio z podstawową działalnością.

Dzięki żywшему zainteresowaniu prezydiów gromadzkich rad narodowych warunki pracy bibliotek uległy znacznej poprawie. Liczba lokali odpowiadających wymogom biblioteki wzrosła w ostatnim okresie z 30 do 50% ogólnej liczby placówek.

Komisje oświaty, kultury i zdrowia przy gromadzkich radach narodowych wykazały duże zainteresowanie sprawami czytelnictwa w okresie Dni Oświaty Książki i Prasy oraz Ogólnopolskim Konkursiem Czytelników Wiejskich w Roku Dziesięciolecia.

Podczas kwartalnych narad roboczych bibliotekarzy omawiano zagadnienia kadr bibliotek powiatowych i miejskich. W przyszłości biblioteki dokonają podziału czynności odpowiednio do posiadanych kwalifikacji pracowników.

Nadzór i kontrolę pracy oddziałów kultury w większości powiatów powierzono zastępcom przewodniczących prezydiów. Pozwoli to usprawnić działalność bibliotek. Bliższe zainteresowanie rad bibliotekami przyczyni się do usunięcia trudności lokalowych i zabezpieczenia podstaw materialnych dla nowopowstających placówek. Docenienie zadań realizowanych przez biblioteki wpłynie na kierowanie do pracy ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami.

Przy tych sprawach problem działaczy wykwalifikowanych i oddanych jest bodaj najważniejszy. Znaleźć ludzi pełnych energii i inwencji, nie zniechęcających się trudnościami pracy, umiających wiązać pracę w świetlicy czy w bibliotece z aktualnymi potrzebami środowiska — jest niemal równoznaczne z osiągnięciem założonego celu: by placówki kulturalno-oświatowe wychowywały odbiorców i współtwórców kultury.

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie powzięło w br. poważną uchwałę, zobowiązując Wydział Kultury do zorganizowania w Lublinie Państwowego Liceum Kulturalno-oświatowego, które kształcić będzie pracowników świetlic i domów kultury.

Ministerstwo Kultury i Sztuki przyszło z pomocą w zorganizowaniu tego Liceum zwiększając pulę etatów nauczycielskich, dostarczając instrukcje, wytyczne i programy oraz umożliwiając korzystanie z doświadczeń istniejącego już Liceum Kulturalno-oświatowego w Łodzi.

Wydział Kultury przeprowadził rekrutację, a w wyniku egzaminów wstępnych przyjęto do I klasy 40 uczniów.

Początkowo martwiły nas trudności lokalowe oraz nikłe kredyty na zaopatrzenie internatu i na zapewnienie młodzieży odpowiednich warunków bytowych.

Jednakże dzięki pomocy Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Prezydium WRN trudności te zostały przełamane i Lublin otrzyma nową, ważną placówkę kulturalno-oświatową.

Roman Wallner

ROZMOWA O PRZYJAŹNI

— Cóż, o tym, czym jest dla nas przyjaźń z wielkim narodem radzieckim, nie potrzebujemy tu mówić — zaczął sekretarz Zarządu Wojewódzkiego Komitetu TPPR, Leon Moniakowski. Śmiało można by rzec, że nie ma chyba obywatela w naszym Państwie, który by w jakiś sposób nie zetknął się z jej dobroczynnymi skutkami, czasem nawet w sytuacjach, gdzie te skutki nie są na zewnątrz widoczne, a przecież dają takie czy inne korzystne rozwiązania. Weźmy przykłady z życia codziennego, powiedzmy z dziedziny techniki...

Obywatel Moniakowski bierze do ręki ostatni numer tygodnika „Przyjaźń“. Odwraca pięknie wykonaną błękitną stronę tytułową z reprodukcją zdjęcia fragmentu jakiejś fabryki.

— Proszę zwrócić uwagę jak zaczyna się artykuł „O postęp techniczny“ — mówi mój rozmówca i cytuje: „Nie ma już chyba w Polsce człowieka, który by osobiście nie zetknął się z wielką radziecką techniką...“. Ja ten pogląd rozszerzyłem — ciągnie dalej — powiedziałem, że nie ma chyba u nas człowieka, który by nie zetknął się z dobroczynnymi skutkami przyjaźni naszych narodów. Ale, gdy mowa o technice, czy jest dziś do pomyślenia, aby przeciętny nawet robotnik w którejkolwiek z naszych fabryk pracował z pominięciem metod pracy zaczerpniętych z bogatego dorobku radzieckiej techniki i racjonalizacji? Radzieccy towarzysze zawsze z największą chęcią przekazują nam swoje doświadczenia, niejednokrotnie uczą zupełnie nowych rzeczy, zdolnych od razu posunąć naprzód postęp w danej dziedzinie produkcji. Podobnie dzieje się na odcinku medycyny, literatury, agrotechniki itd. Jeśli chodzi na przykład o literaturę, to wy, literaci, najlepiej wiecie, że nasze piśmarstwo, które staje się z roku na rok coraz bardziej przodującym, korzystało z przykładu bogatej literatury radzieckiej, wytyczającej dzisiaj nowe drogi realizmu socjalistycznego, a nawet socjalistycznego romantyzmu. O tym awansie naszego piśmarstwa wie chyba każdy inteligent w Polsce.

Poruszyłem się niespokojnie, ponieważ wcale nie jestem przekonany, że każdy inteligent o tym wie. Jestem nawet zupełnie przeciwnego zdania. Mówię o tym wprost, a mój rozmówca uśmiecha się i przyznaje mi rację.

— Ale tylko częściowo — dodaje — gdyż czytelnik, stykający się z literaturą współczesną, zwłaszcza z tą wysokiej rangi artystycznej, jeśli zachwyca się nią, to pośrednio zachwyca się owocem promieniowania przykładu dzieł literackich, ponieważ coś z tego promieniowania jest w polskiej współczesnej książce.

— No tak, z tą poprawką można zgodzić się z waszym poglądem, który jest bardzo optymistyczny.

— Najbardziej widoczny wpływ pomocy przyjacielskiej i przykładu Związku Radzieckiego widzimy w naszej agrotechnice i agrobiologii — ciągnie obywatel Moniakowski.

— Właśnie chciałbym pomówić o tym nieco szerzej — podchwytuję. — Jaki jest udział Towarzystwa w postępie agrotechniki na terenie naszego województwa w oparciu o wzory radzieckie?

— Wydaje mi się, że dość duży. Jak wiadomo, aktyw Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej nieustannie przenosi w teren m. in. w formie odpowiednich prelekcji dla rolników, najnowsze zdobycze rolnictwa radzieckiego. Zachęca chłopów do stosowania nowoczesnych metod gospodarowania, jak np. siewu krzyżowego, kwadratowo-gniazdowego sadzenia ziemniaków itp. Prelekcje takie wygłasza się na terenie PGR, spółdzielni produkcyjnych i w gromadach dla rolników gospodarujących indywidualnie.

Pytam o rezultaty, czy można zilustrować to przykładami?

— Oczywiście. Przede wszystkim nasze gospodarstwa państwowe i spółdzielcze z roku na rok podnoszą wydajność z hektara i zwiększają pogłowie bydła i nierogacizny, chociaż bywają odosobnione wypadki wolniejszego wzrostu postępu w tej dziedzinie. Poza tym bardzo wielu indywidualnych rolników, korzystających ze zdobyczy agrotechniki radzieckiej, osiąga doskonałe rezultaty. Na przykład w miejscowości Nieledew, gospodarz indywidualny, Stanisław Stańczak, prowadzi doświadczenia z burakami i roślinami olejnymi, obywatel Józef Anton z Nierzwicy koło Lublina prowadzi doświadczenia ze zbożami kłosowymi i osiąga przeciętną wydajność 21 kwin-tali z hektara. Dalej, obywatel Zaorski Stanisław z Lejna w powiecie włodawskim pracuje nad kukurydzą. Na jego polu doświadczalnym osiąga ona wysokość ponad 3 metry. Podobnie doskonałe wyniki ma obywatel Józef Komar zamieszkały w Lipsku-Polesiu w powiecie zamojskim, który również prowadzi doświadczenia z kukurydzą i roślinami przemysłowymi i zielarskimi. To są, rzecz prosta, przykłady nie odosobnione. Takich rolników mamy więcej. Na przykład we wsi Szustka w powiecie radzyńskim istnieje Koło Miczurinowskie, któremu przewodniczy chłop Jan Bobruk. Koło pracuje doświadczalnie nad produkcją roślin przemysłowych. Między innymi krzyżuje żyto z perzem, osiągając bardzo dobre rezultaty, tak samo w zakresie produkcji sorgo, dyni itp. Albo Paweł Jasiek, w powiecie biłgorajskim, który ma świetne wyniki

w dziedzinie stosowania sytemu trawopolnego Williama. Większość przodujących rolników województwa wystawiła swoje eksponaty na Lubelskiej Wystawie Rolniczej. Do nich nasze prelekcje dotarły i zrobiły swoje, a to, że są dzisiaj przodownikami postępu rolnictwa w Lubelszczyźnie, a czasem nawet w skali krajowej, że mają duże osiągnięcia i co za tym idzie nie tylko satysfakcję moralną, lecz i znacznie większe dochody, to już konkretne wyniki pracy osobistej.

— Czy Towarzystwo współpracuje z Wydziałem Rolnym UMCS?

— Tak, i to bardzo skutecznie. Uniwersytet dużo nam pomaga. W sezonie letnim i jesiennym praktykanci — studenci za pośrednictwem swoich profesorów otrzymują od nas zlecenia przeprowadzenia akcji prelekcyjnej w swoim terenie. Wywiązują się z tego świetnie. Ponieważ są jak najbardziej fachowo przygotowani, osiągają naprawdę doskonałe wyniki. Chłop ich rozumie i darzy zaufaniem. To są nasi najlepsi współpracownicy. Toteż, jak to się mówi, nie puszcza mych z ręki.

Należy im się uznanie, gdyż zrozumiałe jest, że wywiązanie się z tego rodzaju zobowiązania w stosunku do Towarzystwa nie zawsze jest łatwe. Często przecież muszą się wyrzec jakiejś osobistej wygody, ażeby pojechać tu czy tam w celu wygłoszenia prelekcji, czy przeprowadzenia gawędy.

— Ale rezultaty są. Korzystamy z nich wszyscy. Podobnie staramy się pozyskać dla Towarzystwa wybitnych naszych naukowców z Akademii Medycznej. Zorganizowaliśmy już niejedną odczyt o tematyce związanej z wielkimi osiągnięciami medycyny radzieckiej i ze stosowaniem ich u nas. Tego rodzaju odczyty cieszą się wielką popularnością, co wyraża się we frekwencji publiczności.

— A jak jest z bezpośrednim kontaktem naszych chłopów z rolnikami radzieckimi?

Zadaję takie pytanie, gdyż przypominałem w tej chwili moją rozmowę z przewodniczącym pewnej spółdzielni produkcyjnej. Mówił mi on, że delegacja chłopów ze spółdzielni po odwiedzeniu kolchozów ukraińskich przywiozła bardzo bogaty materiał: spostrzeżenia, przyswojone nowe metody pracy i to od razu dało dobre wyniki w rozwoju spółdzielni.

— Oczywiście — potwierdza obywatel Moniakowski — do Związku Radzieckiego bardzo często wyjeżdżają nasi chłopci. Czytamy o tym w prasie i z prasy znamy ich wypowiedzi, wysoką ocenę tego, co widzieli, czym się przejęli i co postanowili zaszczepić na swoim terenie.

— W takich wycieczkach uczestniczą też chłopci z Lubelszczyzny. Naturalnie Towarzystwo zawsze popiera tego rodzaju imprezy, żadna bowiem prelekcja nie może zastąpić bezpośredniego kontaktu z wynikami osiągniętymi w Związku Radzieckim. Tak samo, jak wiadomo, wyjeżdżają do Związku Radzieckiego nasi technicy, naukowcy, literaci i intelektualiści, artyści itd. Wśród nich są również przodujące jednostki z Lubelszczyzny.

Ponieważ dość już długo rozmawiamy, a wiem, że trzeba tutaj pamiętać o ekonomii czasu, proszę o garść informacji o planach Towarzystwa w związku z Miesiącem Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Na biurku sekretarza zjawia się dość pokaźny plik arkuszy papieru.

— Oto jest nasz plan pracy. Właściwie jest to plan Wojewódzkiej Komisji Wykonawczej „Miesiąca”. Realizujemy go właśnie. Jest to m. in. doskonała sposobność poinformowania społeczeństwa o tym, jaką sympatią narody radzieckie darzą naród polski, jak przyswajają sobie nasze zdobycze kulturalne i naukowe, jak szeroko znają dzieła naszych pisarzy, kompozytorów i dramaturgów, popularyzacji wspólnych, postępowych tradycji polsko-radzieckich, wyzwolenческих walk sąsiadujących z nami republik radzieckich, zwłaszcza zaś zapoznania społeczeństwa w „Dniach Kultury Białoruskiej” z życiem i kulturą narodu białoruskiego.

— W czasie od 11 do 18 września zorganizowaliśmy w ramach tego planu „Tydzień Miczurinowski”. Jeszcze nie nadeszły z terenu sprawozdania, ale ogólnie orientujemy się, że „Tydzień” spełnił swoje zadania. Właśnie w ramach „Tygodnia” pracowaliśmy nad umocnieniem i rozwojem istniejących spółdzielni produkcyjnych i PGR. Udzielaliśmy im pomocy w organizacji pracy na roli i w zakresie jej uprawy, w hodowli inwentarza, w umiejętnym stosowaniu maszyn rolniczych i nawozów sztucznych. Korzystaliśmy przy tym właśnie z doświadczeń przodujących kolchozów i sowchozów radzieckich. Zapoznaliśmy chłopów „indywidualnych”, spółdzielców i robotników PGR z osiągnięciami tych kolchozów i sowchozów, z ich metodami pracy itp. Wykazaliśmy ogrom udzielanej Polsce pomocy ze strony Związku Radzieckiego w zakresie przemysłowania i podnoszenia u nas rolnictwa. Nawiązywaliśmy przy tym bezpośrednio do poszczególnych rejonów Lubelszczyzny, a w szczególności do powstałych tu takich zakładów, jak Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie, Fabryka Wyrobów Metalowych w Kraśniku, w Poniatowej itp. Nawiązywaliśmy również do czołowej inwestycji narodowego planu gospodarczego, do budowy Kanału Wieprz — Krzna. Mówiliśmy w terenie o pracach naszego Instytutu w Puławach opartych m. in. na wzorach metod radzieckich w rolnictwie i hodowli. Przekazywaliśmy takie osiągnięcia kultury wsi radzieckiej, jak masowa organizacja domów kultury, świetlic, bibliotek, amatorskich zespołów artystycznych, zespołów sportowych itp. Plan przewidywał realizację opisanej akcji, przez kiermasze książkowe, filmy, przeźrocza, odczyty, wycieczki, spotkania, pogadanki, wystawy itd. Współpracowały z nami ZSch, Zarząd Rolnictwa, TWP, POM i PGR. Duże znaczenie miała rzecz prosta w „Tygodniu Miczurinowskim” nasza Regionalna Wystawa Rolnicza w Lublinie i wystawy powiatowe w Zamościu i w Białej Podlaskiej.

Obywatel Moniakowski pochyla się nad stronicami planu.

— Do was, literatów lubelskich — mówi — mielibyśmy taką prośbę. W dniach od 30 września do 9 października organizujemy „Dekadę Kultury Białoruskiej“. W ramach tej „Dekady“ chcielibyśmy zorganizować odczyty, wieczornice poświęcone twórczości kulturalnej narodu białoruskiego, pogadanki itp. Na przykład, Związki Zawodowe na okres tej „Dekady“ przygotowują ponad 270 imprez artystycznych, nasze Towarzystwo zorganizuje około 1.000 odczytów i pogadek w klubach, świetlicach i domach kultury, Filharmonia Lubelska da 15 koncertów muzyki białoruskiej i rosyjskiej, Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych zorganizuje kilkanaście poranków literackich o twórczości literackiej

Białorusi; chcielibyśmy, ażeby literaci lubelscy pomogli nam w tej akcji.

Pytam swojego rozmówcę, czy Towarzystwo porozumiało się w tej sprawie z Zarządem Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Okazuje się, że nie. A przecież należało dawno od tego zacząć. Dyktuję więc dokładny adres naszego biura, numery telefonów i daję wyraz zdziwieniu, że Towarzystwo, które, jak widać z planu pracy, przewidziało tak wiele i zapewniło sobie współpracę tylu zreszeń i instytucji, nie dotarło ze swoją sprawą do naszego Oddziału. Obywatel Moniakowski kiwa głową, jak mi się wydaje, ze skrucą.

— Postaramy się ten błąd naprawić.

Rozmowę przeprowadził
Stefan Wolski

WYCINANKA IGNACEGO DOBRZYŃSKIEGO*)

Kiedy w roku 1902 pokazano po raz pierwszy na wystawie Polskiej Sztuki Dekoracyjnej w Warszawie papierowe wycinanki z różnych regionów kraju, krytyka artystyczna uznała to za pewnego rodzaju „odkrycie“ nowej, zupełnie dotąd nieznannej formy naszej rodzimej sztuki ludowej. W prasie pojawiają się liczne artykuły na ten temat, a przede wszystkim w tak czołowych i popularnych podówczas pismach, jak: „Tygodnik Ilustrowany“, „Wisła“ i w wielu innych, gdzie autorzy zapoznają społeczeństwo z wartościami tkwiącymi w wystrzygance, w tym koronkowym poemacie, stworzonym przez wiejskich artystów bez imienia i bez nazwiska, ludzi prostych, niewykształconych, a przecież obdarzonych talentem i wybitnym poczuciem piękna.

Trzeba przyznać, że wycinanka należy bezsprzecznie do najciekawszych bodaj form naszej bogatej sztuki ludowej. Do prawdziwego mistrzostwa doszła w Polsce, gdyż za granicą jest niemalże rzadkością niespotykaną. Obok wartości artystycznych zamyka się w niej i „Polska złotopszczoła“. W każdym z tych papierowych „światów“ odbija się charakter danego regionu. Wystarczy porównać wycinankę kurpiowską z łowicką, a tę znow z lubelską, by zrozumieć jakie są różnice.

Mniej więcej pięćdziesiąt lat temu rozpoczął swoją wycinankarską twórczość artystyczną Ignacy Dobrzyński, chłop spod Lublina i do dnia dzisiejszego nie rozstaje się z nożycami, które są jego jedynym narzędziem pracy w papierze. Już dawno przekroczył siedemdziesiątkę, ale wciąż jeszcze płonie w nim ogień gorącego umiłowania sztuki, któ-

rej od z górą pół wieku służy. A było to życie nie łatwe, bo, jak sam mówi, zawsze napotykał mniej róż, a więcej cierni. Ciężko walcząc o byt, nigdy nie wyrzekł się tego, co było jego powołaniem i największą miłością: tworzenia, zachowując rzadką wrażliwość na kształt i barwę, na urok otaczającego go świata.



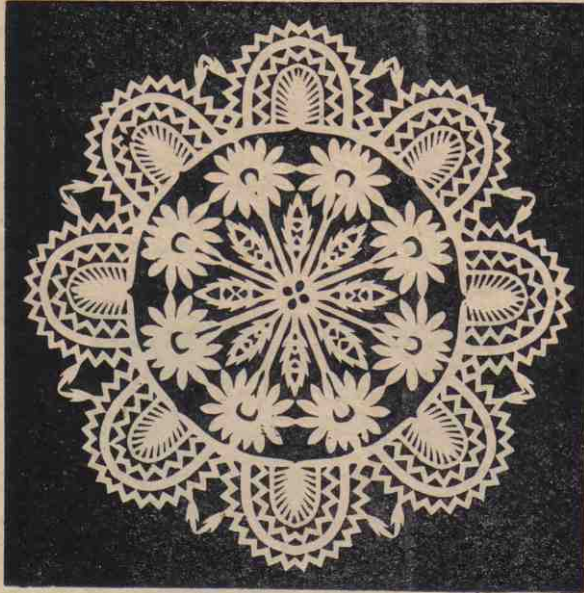
Ignacy Dobrzyński w 1950 r.

Ignacy Dobrzyński urodził się w 1882 r. w domu biednego komornika. W chałupie panował ciągle niedostatek, a rodzina była liczna, potrzeby wielkie. Do szkoły chodził zaledwie „dwie zimy i cztery miesiące“, ale szybko nauczył się czytać i pi-

*) Ignacy Dobrzyński urodz. 8 lipca 1882 r. W tej chwili mieszka we wsi Stanisławów Duży gm. Rudno, powiat lubartowski.

sać w języku ojczystym oraz poznał język rosyjski. Będąc młodym chłopcem często przyglądał się matce wycinającej w papierze jakieś cudaczne koguty, śliczne kwiaty albo ptaszki. Wówczas zrodziła się pokusa. „A może i ja spróbowałbym?” — pomyślał i kiedy nikt nie widział, wziął do małych rąk ciężkie nożyce do strzyżenia owiec, złożył papier i z bijącym sercem rozpoczął robotę. Ale jakież było jego szczęście, gdy spod palców ukazała się delikatna koronka, gwiazdy, a później kwiaty, liście i wieńce.

— Byłem jak nieprzytomny — opowiada — zdało mi się, że dokonałem wielkiego dzieła. I od tego czasu już nie rozstaję się z nożycami. Los mnie nie szczydził. Porzuciłem wieś rodzinną Miesiące, by stanąć do pracy w cukrowni w Garbowie, poznałem głód i chłód, potem znów znalazłem się w Justynowie, gdzie mam swój dom i pasiekę. Ale i dzisiaj nie boję się żadnej roboty. Chodzę w pole, pomagam co mogę. A w wolnych chwilach dalej „strzygę”, bo to już jak nałóg!



Z jego dużych, marzycielskich oczu przebija głęboka dobroć, spokój człowieka, który nie zmarnował życia, ale w ciężkim i krwawym trudzie doszedł do upragnionego celu.

W 1901 r. pracami Ignacego Dobrzyńskiego zainteresował się dr Bronisław Malewski i on to właśnie dostarczył redakcji „Wisły” wycinanki tego artysty. Wkrótce na łamach pisma ukazał się gorący artykuł, omawiający niezwykłą indywidualność „twórcy spod strzechy”. „Żaden zawodowy artysta, oddający się specjalnie ornamentyce”, pisał Jerzy Warchołowski — „nie powstydziliby się takich prac, a nawet niejedną na takie bogactwo przepysznych kompozycji nie zdobyłby się, a już z pewnością nie miałyby one tego uroku, tej szczerości, tej dziewiczości, która w sztuce tak dziwnie wyodrębnia wrażenia artystyczne”.

Autorytet Warchołowski utworzył Ignacemu Dobrzyńskiemu drogę do szerokiego rozgłosu i do

sukcesów artystycznych. Czasopisma zamieszczają reprodukcje wycinanek tego samorodnego i jakże oryginalnego twórcy ludowego. Znajdujemy je w „Materiałach Towarzystwa Polskiej Sztuki Stosowanej”, w „Tygodniku Ilustrowanym”, a zwłaszcza w „Sztuce Ludu Polskiego” Frankowskiego.

Sława Ignacego Dobrzyńskiego rośnie z każdym rokiem, a wycinanki pojawiają się na niezliczonych wystawach i pokazach sztuki ludowej, budząc powszechny zachwyt i uznanie. Twórczością samorodnego wiejskiego artysty zajmują się w ciągu wielu następnych lat tak etnografowie, jak i znawcy sztuki dekoracyjnej, plastycy i publicyści. Nie zmniejsza to jednak trudności materialnych, z jakimi boryka się, chcąc za wszelką cenę zapewnić sobie przynajmniej najniezbędniejsze środki egzystencji, by móc spokojnie tworzyć. Mimo to Dobrzyński nie ustaje w swej żmudnej pracy artystycznej. Wciąż idzie naprzód, szuka coraz to lepszych, doskonalszych form swej subtelnej, jakby z pajęczyny utkanej sztuki. Jego wystrzyganki są ciągle inne, bogatsze i piękniejsze od poprzednich. Rozszerza się też skala motywów. Już dawno prześcignął matkę, którą podziwiał jako mały chłopiec. Jest w pełni sobą.

W ciągu dwudziestu pięciu lat Ignacy Dobrzyński stworzył wiele set wycinanek o pełnej dojrzałości artystycznej, a każda z nich jest już w sobie skończonym dziełem sztuki. Niestety, nie wszystko to ocalało, gdyż ogromna większość z tych prac, dostawszy się w ręce prywatnych zbieraczy, amatorów lub snobów, uległa zniszczeniu. W ciągu dwu ostatnich wojen zmarnowały się też kolekcje dzieł tego znakomitego wycinankarza. Ale i to co ocalało wystarczy, by raz jeszcze potwierdzić znaną opinię o mistrzostwie i odrębności twórczej Dobrzyńskiego. Przy tym należy pamiętać, że sędziwy mistrz z Justynowa wciąż nie porzuca swojego najpiękniejszego w życiu umiłowania i nie rozstaje się z nożycami.

Jest to wybitna, oryginalna, szczerza i jednocześnie samorodna indywidualność artystyczna, talent o rzadkim poczuciu dekoracyjności, o bogatej fantazji i żywiołowym rozmachu. W każdej z wycinanek Ignacego Dobrzyńskiego zamyka się skończone piękno. Są to naprawdę małe papierowe arcydzieła.

Wycinanki Dobrzyńskiego odznaczają się rozmaitością motywów. A więc są wystrzyganki cięte w „koguciki”, „w pawie oczka”, w „serduszka”. Ale do najbardziej ulubionych motywów artysty należą: rośliny o bajecznych kształtach, ptaki, gwiazdy, geometryczne arabeski, pióra, a nawet i zwierzęta. Wszystko to jest ujęte w kształt koła, rozety lub gwiazdy nie przekraczającej 35 cm średnicy. Jednocześnie spod nożyc mistrza wychodzą też i przepyszne pasy, pasy o bogatej zamkniętej w prostokąt linii.

Doskonały znawca dorobku Ignacego Dobrzyńskiego Wiktor Ziółkowski tak pisze w swojej pracy o tym znakomitym wiejskim wycinankarzu: „Podobnie jak na obszarze między Wisłą a Bugiem wy-

stepuje u Dobrzyńskiego najczęściej charakterystyczna gwiazda ośmioramienna, w której nierzadko motywem wycięcia jest drzewko. Gałązki drzewka są ujęte z pewną stylizacją. Również dają w układzie wycięć promienistych nieoczekiwane arabeski. We wszystkich jego pracach przeważa znany typ podlaski. Do bardzo rzadkich wyjątków należy barwna wycinanka naklejanka.

Trzeba podkreślić, że kiedy wycinanka łowicka gra bogactwem barw, prace Dobrzyńskiego są przeważnie utrzymane w jednym zasadniczym tonie, zastępując kolor melodią linii, melodią, która stale powraca. Ten rytm jest charakterystyczny dla całej twórczości tego ludowego twórcy. Właśnie tu jednotonowość nadaje sztuce Dobrzyńskiego wyjątkowy i swoisty urok.

Mówiąc o walorach wycinanki Dobrzyńskiego, trudno nie wspomnieć o doskonałościach kompozycji tych „światów“, tych ażurowych kół, gwiazd i pasów. Jest tam ład wewnętrznej konstrukcji, nieomylnie niemalże architektonicznej budowy. Może dlatego tkwi w nich, oprócz walorów ściśle plastycznych, także i niemały ładunek emocjonalny, będący nieodzowną cechą każdego rzetelnego dzieła sztuki. Najlepszym dowodem tego niechaj będą zamówienia, jakie w swoim czasie napływały z Kanady i Australii od polskich chłopów, stęsknionych za ojczyzną. Ludzie ci, dowiedziawszy się z prasy o Dobrzyńskim i ujrawszy reprodukcje jego dzieł, zapragnęli mieć jedną przynajmniej z takich wycinanek, gdyż obraz ich kojarzył się w ich duszy z obrazem „starego kraju“. Chcą więc mieć chociaż rąbek dalekiej ojczyzny. Stąd prośba o „kogutki“, „pawie oczka“, „gwiazdy“ i „nasze pasy“. Jeden z emigrantów prosił o „słoneczko“, wycięte w papierze przez Dobrzyńskiego. I szły wycinanki za morza, za ocean, by stać się symbolem kraju. Na pewno wyciskały łzy i budziły uśmiechy.

Znalazły się też wystrzyganki majstra z Justynowa w muzeach, w kraju i za granicą. W muzeum Ziemi Lubelskiej w Nałęczowie, w muzeum Etnograficznym w Krakowie, w Muzeum w Lublinie, oraz w bardzo wielu prywatnych zbiorach. Przed kilkunastu laty dotarły aż do Paryża, potem osiadły w Rapperswylu.

Ale kariera artystyczna Dobrzyńskiego nie jest już skończona. Podeszły wiek wcale nie stłumił w nim tego zapału, jakim odznaczał się przez całe życie. Przed dwoma laty sędziwy twórca dowiedziawszy się o wielkim konkursie ZSCh z okazji 10-lecia Polski Ludowej od razu postanowił wziąć w nim czynny udział. Narzekał tylko na brak odpowiedniego papieru. Jest ciągle młody i w dobrej formie. Toteż najchętniej gawędzi z młodymi. Tylko go niepokoi jedna przykra myśl: komu zostawi swoje dziedzictwo, komu powierzy tajemnice swojej wspaniałej sztuki wycinankarskiej? Bo pseudo-wycinanek jest u nas wiele, istne zatrzęsienie. Prawie w każdej szkole dziewczęta próbują swych zdolności, w każdej chałupie w okresie Świąt Bożego Narodzenia zdobi się ściany i powałę nalepiankami lub też wystrzygankami z barwnego pa-

pieru, ale, niestety, większość tych prac nie odbiega od szablonu. A tutaj chodzi o uchwycenie istoty rzeczy, o utrafienie we właściwy ton, cechujący wartościowe dzieło artysty.

Ta właśnie troska o jutro każe sędziwemu już Dobrzyńskiemu szukać kontaktu z młodymi. Niedawno odbywał się w pobliżu miejsca zamieszkania Dobrzyńskiego kurs, którego celem było wyłowienie talentów spod strzechy. Na kursie tym zjawiał się i Dobrzyński, by pokazać „jak się strzyże“, zapalić dziewczęta, zainteresować chłopców. Nadzór nad całością tego eksperymentu miał artysta-malarz oraz zasłużony badacz folkloru Lubelszczyzny prof. Janusz Świeży. Ten stwierdził, że kurs na ogół udał się, a wycinanki, jakie tam stworzono, są zupełnie ciekawe i „na poziomie“. Mimo to jednak trzeba stwierdzić, że nikt nie potrafił stworzyć czegoś własnego, odrębnego, co wskazywałoby na szczery, samorodny talent. Prawdopodobnie sztuka Dobrzyńskiego pozostanie do nie naśladowania i może długo jeszcze nie znajdzie spadkobiercy.



Byłoby rzeczą ze wszech miar pożyteczną, gdyby spopularyzowaniem dorobku artystycznego Ignacego Dobrzyńskiego zajęła się CPLiA lub Wydawnictwo „Sztuka“. Placówki te mają za sobą znaczne osiągnięcia w dziedzinie upowszechnienia plastyki i dzieł wchodzących w zakres sztuki ludowej i tylko one mogłyby udostępnić szerokiemu ogółowi wycinankę tego wybitnego twórcy chłopskiego, wydając tękę poprzedzoną jasnym, zwięzłym wstępem. Nie wolno kwitować tego zagadnienia wypuszczeniem na rynek dwu reprodukcji formatu kartkowego i to wycinanek wcale nie najlepiej reprezentujących dorobek pięćdziesięcioletniej działalności artystycznej. A tak właśnie postąpiła CPLiA w Lublinie. Pamiętajmy, że Dobrzyński już przeszedł do historii polskiej sztuki ludowej, zdobywając sobie rangę wysoką i zaszczytną.

„Utwory Ignacego Dobrzyńskiego“ — pisze Julian Kot — „odpowiadają czystemu pojęciu wzo-

rowej formy wycinanki papierowej, spotykanej dziś jeszcze wśród naszego ludu. Tajemnica ich uroku tkwi nie tylko w wartościach indywidualnych, których treść plastyczna wyróżnia się oryginalnym na wskroś kształtem, ale także należyłym zrozumieniem szlachetnej techniki wycinankowej, dalekiej od uprawianej w naszych szkołach imitacji. Wzorowe przykłady wycinanek Dobrzyńskiego nie posiadają cech znamionujących zapożyczoną technikę artystyczną. Zwracają uwagę tak osobliwie wyczerpaną linią żywego konturu, jak i walorami formy i barwy, wydobytymi intuicyjnie z treści, opowiedzianej płaszczyzną papieru wyciętą zręcznie

nożycami. W tym leży ich wartość plastyczna i osobliwy urok dzieła szczerzego ludowego artysty.“

Jest to ocena najlepiej może ustalająca miejsce Ignacego Dobrzyńskiego w dziejach polskiej sztuki ludowej i dlatego zasługująca na specjalną uwagę.

Dobrze się stało, że Muzeum w Lublinie, pokonawszy liczne trudności, doprowadziło do otwarcia w dniu 9 października br. wystawy prac Ignacego Dobrzyńskiego, obrazującej twórczość tego wybitnego artysty ludowego.*)

jnk

*) Fotografie reprodukowane przy tym artykule pochodzą ze zbiorów Wiktora Ziółkowskiego.

Helena Platta

NOWY STEINWAY „BLUE RAPSODY” I ZIARNO, KTÓRE ZAKIEŁKOWAŁO

Niewiele na tym się znam, ale dyrektor Olgierd Straszynski był właśnie nieco zaaferowany:

— Proszę zrozumieć. Jest!

Kupili na Targach Poznańskich ślicznego, nowego Steinway'a i cieszą się nim, lecz mają kłopoty ze... strojem!

— Ach, prawda, trzeba i o tym powiedzieć, że fortepian, najmłodsze dziecko wśród instrumentów będących własnością Filharmonii Lubelskiej, stanął już na sali, którą wreszcie uzyskano tak na koncerty, jak i na próby orkiestry symfonicznej.

Skończyły się zeszloroczne, mroczne, pełne chłodu i drażniącego światła elektrycznego w dzień — próby w świetlicy przy ul. Krakowskie Przedmieście 32. Sala Koncertowa przy ul. Osterwy nie jest idealna, daleko jej również do całkowitego zadowolenia wymogów Filharmonii, ale tymczasem, ale na razie — jest lepiej.

I właśnie wracamy do tego — stroju. Orkiestra zestrojona jest pod kątem „drzewa”, ma strój zbliżony do francuskiego, a nowy fortepian brzmi niżej i należy uzgodnić te rozbieżności.

Jakże więc? Czy obniżyć zespoły drzewa i blachy do stroju wiedeńskiego czy też dostosować Steinway'a?

Nie miała Filharmonia kłopotu! Ale taki, to przecież dobry, bo przybył wspaniały instrument, więc może i kapryśni pianiści chętniej odwiedzać będą Lublin. Na przykład Adam Harasiewicz, w którego wykonaniu chopinowski Koncert F-moll przewidziany jest we wrześniowym programie. W ogóle ciepłe wrześniowe wiatry przywiałły Filharmonii Lubelskiej nowych ludzi i dużo nowych, jeszcze tu nie wykonywanych pozycji programowych.

— Ludzie? Wszystko — młodzi!

Karol Strzępa, dyrygent z trzyletnią już praktyką dyrygencką, asystent dyrygenta, Franciszek Klimczak, który w tym roku skończył Konserwatorium Warszawskie. Pod rutynowaną opieką dyrektora Straszynskiego ci młodzi ludzie będą otrzymywali samodzielne zadania dyrygenckie, a drugi z nich będzie tu stawiał „pierwsze kroki”.

Trzeci, to nowy koncertmistrz, Bolesław Łyp z Łódzkiego Konserwatorium, a miłe dla nas i ważne — syn ziemi lubelskiej. Pochodzi bowiem z Biłgoraja. Siedmiu lat studiów swych w Konserwatorium nie uważa mimo dyplomu za skończone i kontynuuje doskonalenie osiągniętego poziomu w aspiranturze u prof. I. Dubiskiej w Warszawie.

Wróćmy jednak do programu, który zapowiada się atrakcyjnie.

Na otwarcie sezonu (2 i 4 września) usłyszeliśmy M. Karłowicza poemat symfoniczny „Stanisław i Anna Oświęcimowie”. Z nowości zyskaliśmy S. Prokofiewa „Uwerturę Rosyjską”, uwerturę J. Elsnera „Andromeda” w opracowaniu K. Sikorskiego oraz „Echo w lesie” tego samego kompozytora, balet Moniuszki „Na kwaterunku”, „Wokalizy” Maklakiewicza. W trzeciej dekadzie września dyrekcja postawiła sobie za zadanie zapoznanie słuchaczy z muzyką słowiańską, przede wszystkim polską, rosyjską, a w październiku — białoruską, włączając do repertuaru uwerturę do opery „Dziewczyna z Polesia” Tikockiego.

Stodwudziesta rocznica urodzin Kamila Saint-Saensa uczczona zostanie Suitą „Karnawał zwierząt”, uwerturą „La princesse Jaune”, a grany będzie naturalnie i „Taniec szkieletów”, — ale to u nas już było. Ponadto z frapujących naszych melomanów nowości należa-

łoby wspomnieć o Schubertowskiej Symfonii C-dur, I Suicie z baletu „Romeo i Julia” Czajkowskiego (II Suita była grana), Borodina — nowe fragmenty z „Księcia Igora”, fragmenty „Pietruszki” Strawińskiego, Chaczaturiana kilka niegranych u nas części z „Gajane” („Pożar”, „Taniec Rosyjski” i „Taniec Aiszy”). W związku z październikową rocznicą śmierci Chopina wykonany będzie obrazek symfoniczny Lapunowa pt. „Żelazowa Wola” op. 37., a „Nieszpory sycylijskie” przypomną słuchaczom 55 rocznicę śmierci Giuseppe Verdiego.

W listopadzie Rok Mickiewiczowski uczci Filharmonia „Sonetami krymskimi” Moniuszki i Balladami. W marcu (19 rocznica śmierci Szymanowskiego) zostanie wystawione w naszej Filharmonii jego oratorium — „Stabat Mater”. Mamy przecież już dobre chóry, współpracujące z Filharmonią, prowadzone przez chórmistrza Tadeusza Chyłę. Z dzieł Szymanowskiego usłyszymy jeszcze „Pieśń Roksany” z opery „Król Roger”, wystawianej po drugiej wojnie światowej na Sycylii (w miejscowości, gdzie znajduje się świątynia Segesty), staraniem Jarosława Iwaszkiewicza.

No i rewelacyjna na naszym terenie „Blue Rhapsody” Gersvina w wykonaniu Władysława Kędry.

Tyle o programie. Jeśli zaś chodzi o urozmaicenie go przez wykonawców, to przyjadą do nas: Bronisław Rutkowski z koncertem organowym Haëndla, była już młodzieńca Halina Łukomska, śpiewaczka koloraturowa (sopran), solistka Opery Warszawskiej, nagrodzona II nagrodą na tegorocznym konkursie śpiewaczym w Warszawie. Będzie Janina Stano, również sopran koloraturowy, Halina Szczegłowska (alt z Wrocławia), Kunińska, Tatiana Muzurkiewicz — laureat „Prażskiego Jaro”, młody Witold Herman, Lesław Wacławik z Warszawy, pianiści: Łucjan Galon, który wrócił kilka lat temu do Kraju, porzucając Londyn, Piotr Łoboz, Władysław Szpilman z koncertem Brahmsa i inni. Nie zapomniano też o naszych lubelskich, jakkolwiek szczupłych siłach estradowych. Toteż usłyszymy w dziedzinie kameralistyki Kwintet fortepianowy Juliusza Zarębskiego (w siedemdziesiątą rocznicę śmierci) z udziałem Tamary Bogdanowskiej, Ryszarda Łosakiewicza, Stefana Krudowskiego, Bolesława Łypa i Andrzeja Góreckiego. Jako solista wystąpi Janusz Kucharski, Bolesław Łyp i Ryszard Łosakiewicz, ze śpiewaków zaś Helena Świda-Szaciłowska i Stanisław Michoński.

Z pobieżnej tej reasumpcji programu możemy się zorientować o żywotności i ruchliwej inicjatywie artystycznej dyirekcji programowej Filharmonii, która po-

trafi uprzystępnąć słuchaczom lubelskim zapoznanie się z najciekawszymi pozycjami muzyki klasycznej, romantycznej, słowiańskiej, polskiej, rosyjskiej i radzieckiej. Formą muzyki, która u nas cieszy się specjalnym powodzeniem (maksymalna frekwencja!), są operomontaże i koncerty z muzyką operową (fragmenty orkiestrowe, arie, duety itp.).

Doświadczenie zeszłoroczne (np. „Halka”, „Straszny Dwór”) kazało w tym roku dać więcej operomontaży, niezależnie od popularnych koncertów z muzyką operową. Usłyszymy więc: „Eugeniusza Oniegina”, „Borysa Godunowa”, „Carmen”, „Rigoletto”. Ponadto po raz pierwszy na estradzie wykonany będzie montaż operetkowy „Księżniczka Czardasza”. Doświadczenie zdobyte i w tym sezonie wpłynie na ewentualne zwiększenie z czasem ilości operomontaży i wszelkich estradowych wykonań tego rodzaju muzyki. Możliwe, że w przyszłym roku dojdzie do ewentualnych wykonań całych oper polskich i obcych.

Stąd o powiązaniu Filharmonii z odbiorcami między innymi niech świadczy fakt, że niejednokrotnie sami słuchacze (i prasa) upominają się o powtórzenie pewnych utworów muzycznych, które im się specjalnie podobają. W ubiegłym sezonie grupa robotników z Poniałowej przysłała delegację do dyrygenta z zapytaniem, dlaczego tym razem nie jest u nich grana „Bajka” Moniuszki? Nota bene grywana w latach ubiegłych nawet dość często w zakładach pracy. Dowodzi to, że powtarzanie niektórych utworów systematycznie, co pewien czas, lepiej utrwała je w pamięci mniej wyrobionych słuchaczy i, gdy zostaną one wreszcie przywołane — stają się potrzebą.

Cieszymy się, że zagrożona kilka lat temu w swoim bycie na naszym terenie Filharmonia Lubelska, tak bezspornie cenna placówka kulturalna — stanęła wreszcie na mocniejszych podstawach. Wywalczyła sobie zainteresowanie szerokich już dziś rzesz słuchaczy i rozwija się z roku na rok w coraz bogatszych i ciekawszych programach. Podnosi poziom artystyczny orkiestrowców, zdobywa młodych instrumentalistów i dyrygentów i zyskuje coraz większą popularność w miasteczkach, wsiach i fabrykach Lubelszczyzny, nie mówiąc o przyzwyczajonych do niej już mieszkańcach stolicy województwa.

Wydaje nam się, że Olgierd Straszyński, oddający energię i zapał w pracy oraz swe zdolności Filharmonii Lubelskiej, dobrze przysłużył się jej osiągnięciom.

Helena Platta

PIÓRÉM SZYDERCY

Hubert Krzyżanowski*)

Koło Młodych

WSPOMNIENIA FESTIWALOWE

czyli

DONŻUAN Z GARWOLINA FESTIWAL WSPOMINA

Cześć! Wracam właśnie z Festiwalu,
człek o kulturę chciał się otrzeć,
o tę — zachodnią. W każdym calu.
Więc do Warszawy mknę samotrzeć
razem z kumplami. Na dni dwa.
Olek i Bolek. No i ja.

A jak kultura, to **kultura!**
Wszak z głową łączy się ta rzecz,
więc à la Fanfan szyk-fryzura
(Niby z prowincji chłopak,

lecz

o takie rzeczy przecież dba!)
Olek i Bolek. No i ja.

Więc poszliśmy plerezy strzyc,
żeby wyglądać w nowym duchu,
ale to wszystko jeszcze nic,
bo trzeba było trochę ciuchów.
Ciuchy? W czym trudność? Się je ma!
Olek i Bolek. No i ja.

Migiem na dworzec i bilety...
...Już wysiadamy przed Pałacem.
W oczach się mąci. Te kobiety!
Więc zasuwamy rażno placem,
a każdy się przez tłumy pcha:
Olek i Bolek. No i ja.

Aż nagle jakieś zbiegowisko:
Trzy Paryżanki. Ach — kociaki!
Staliśmy nawet dosyć blisko,
słyszemy dziwny język taki:
„Habana mana tana ma...“
Więc rączo do nich my raz-dwa
Olek i Bolek. No i ja.

No i na migi na wyścigi •
rozmowa (Olek, Bolek, ja)
i za pod rękę już w trzy migi
(„Habana mana tana ma”).
Dekolty od pół pleców w górę,
więc ocieramy się aż ha!
(Człek chciał się otrzeć o kulturę)
Olek i Bolek. No i ja.

*) Nazwisko autora, który drukował poprzednio swoje utwory pod pseudonimem Krzysztof Janowski.

Lecz tu wynikła kwestia sprzeczna,
Bowiem się okazało, że
trzy Paryżanki są z Piaseczna.
Z Piaseczna. A z Paryża — nie.
Ale, że „babki” były fest,
myśl nam do głowy przyszła, że
w Piasecznie — też kultura jest.
(Olkowi. Bolkowi. I mnie).

Nazajutrz, także przed Pałacem
od ósmej rano aż po zmierzch
zasuwaliśmy znowu placem:
Fajki... Koszule zaś — na wierzch.
Tu się autograf komuś da,
języki obce też się zna:
„Habana mana tana ma”.
Olek i Bolek. No i ja.

KUPLETY O NIEDZIELNYCH WCZASACH

I

Młociny i Bielany
warszawski ma mieszkaniec,
na Śląsku zaś Świerklaniec
jest tłumnie uczęszczany,

Więc po tygodniu pracy
po odpoczynek zdrowy,
jedziemy, lubliniacy,
jedziemy do Dąbrowy!

Gdzie wczasowiczów grupki
(osoby i osóbkł),
gdzie w takt migają stópkł,
gdzie muzyka i śpiew;
papiery i skorupki,
skorupek rosą kupki
od ziemi aż po czubki,
po czubki leśnych drzew.
Lecz, choć niejeden letnik
las chciałby zmienić w śmietnik,
żeby nie poznał wnet nikt,
czy las to czy nie las;
ja okrzyk wnoszę gromki:
Do torb brać chleba kromki,
zamykać na klucz domki,
Za miasto! Taaaki wczas!

II

Chwil nie trać, lecz tam wal sam
bo moc najrozmaitsza
atrakcji: sztuki mistrza
Balsamo, żywic balsam,

i grają tam jazz-bandy
wśród ciszy gęstwin leśnych,
a ptaki i Czejandy
śpiewają swoje pieśni,

Gdzie wczasowiczów grupki... itd.

III

Obok dziewczyny leżysz,
jedząc na twardo jajka,
lub tańczysz z nią i wierzysz,
że życie to jest bajka,

to niebo i ta zieleń!
Gdy minie tydzień nowy,
chwil nie trać, więc się nie leń
i przyjedź do Dąbrowy,

Gdzie wczasowiczów grupki... itd.

Hubert Krzyżanowski

Władysław Cwik

Koło Młodych

GĘSI ZA WODĄ

Muchomoreska

Emfazy Jeziorko, młodszy kontysta w średnim wieku, o wiecznie nieogolonym podbródku, pokaznym nosie i usposobieniu raczej pogodnym, nie potrafił się „wgrzyźć” w otaczającą go rzeczywistość. Zawsze się czemuś dziwił, nie rozumiał przemian, jakie dzień po dniu, tydzień po tygodniu dokonywały się na każdym kroku jak Kantarki Małe długie i szerokie. A już do najwyższego stadium zdumienia doprowadziły go trzy problemy: skąd ekspedientka sklepu tekstylnego P.S.S., Cecylia Szpunt bierze tyle pieniędzy, że kupiła sobie pelisę na lisach, a mężowi barany z oposem, w jaki sposób magazynier trwającej od lat pięciu i pół budowy żłobka numer 1 niejaki obywatel Świszcz Józefat dorobił się motoru z przyczepą, którą wozi różne panienki i rozjeżdża kury oraz dlaczego dawny malarz pokojowy Putak nigdzie nie pracuje, a mimo to stawia sobie dom.

Emfazy Jeziorko myślał o tym bardzo często i głęboko, ale mimo energicznego pocierania wiecznie nieogolonego podbródka nie mógł dojść do żadnych konstruktywnych wniosków.

Wreszcie postanowił zwrócić się o miarodajną opinię do dwóch starszych kontystów — Walaska i Turkucia.

Zreferował im sprawę Cecylii Szpunt, Józefata Świszcza i byłego malarza Putaka, zadając na koniec takie pytanie:

— Patrzcie tylko, ludziom się powodzi, a ja chcę sobie dziś kupić kilo wędliny i nie bardzo mam za co. I zawsze tak przed pierwszym. Jak zrobić, żeby mieć na wszystko?

Starszy kontysta Walasek kopnął pod stołem starszego kontystę Turkucia, czego młodszy kontysta Jeziorko nie zauważył, a następnie powiedział w sposób wielce tajemniczy:

— Bo oni wszyscy kupują „na hasła.”

— Na hasła? — zainteresował się Jeziorko.

— Oczywiście — wyjaśnił szeptem Walasek. — Ale o tym głośno się nie mówi. Trzeba tylko znać hasło. Jak się takie hasło powie sklepowemu, to daje wszystko za darmo. Ja sam też czasem... jak znam hasło. Ale cicho sza!..

— Mógłby pan i mnie powiedzieć.

— Pan swój chłop, panie Jeziorko. Czemu nie.

— Ja bym dziś chciał z tymi wędlinami...

— Powiem panu w najgłębszej tajemnicy: dziś wędliniarnia wydaje na hasło „gęsi za wodą, kaczkę za wodą”. Od wpół do czwartej do czwartej.

Kiedy pan Jeziorko opuścił pokój starszych kontystów, pan Turkuć zwrócił się do pana Walaska:

— Aleś go pan „nadmuchał”.

Na to pan Walasek:

— Leć pan, panie Turkuć, do wędliniarni i powiedz co i jak. Warto się złożyć na taką hecę.

W Kantorkach Małych jest tylko jedna wędliniarnia, pełniąca równocześnie funkcję sklepu mięsnego. O godzinie piętnastej trzydzieści czasu miejscowego stanęła w drzwiach tego obiektu postać o nieogolonym podbródku i wydatnym nosie, w której uważny obserwator bez trudu rozpoznałby młodszego kontystę Emfazego. Pan Jeziorko (bo on to był istotnie) wbił się klinem w tłum kobiecinek stojących tu „za pasztetówką i salcesonem“ i dobrnąwszy do lady szepnął:

— Ja „na hasło“!

Sprzedawca skłonił się grzecznie, twarz mu dziwnie pojaśniała.

— Proszę bardzo. A jakie hasło?

— „Gęsi za wodą, kaczki za wodą“ — nieomal zaśpiewał pan Emfazy.

— A, to służę uprzejmie. Ma pan jakąś teczkę?

Pan Jeziorko podał teczkę. Po chwili teczka była pełna smakowitych wędlin. Pan Jeziorko skłonił się i wyszedł. Kobicinki odprowadzały go wzrokiem pełnym respektu.

Dziwnym trafem tuż za drzwiami wędliniarni natknął się na obu starszych kontystów.

— Panowie też na hasło?

— Oczywiście — odpowiedzieli.

— Wobec tego — powodzenia! — rzucił uprzejmie.

Wracał do domu wesoło pogwizdując.

— Dziwna rzecz — mówił pan Jeziorko nazajutrz w biurze. Chciałem dziś rano kupić gazetę. Mówię do kioskarza wyraźnie: „gęsi za wodą, kacz-

ki za wodą“. Ale on udał wariata i powiada, że takie pismo jeszcze nie wychodzi. Nieuświadomiony czy co?

— Być może — rzekli starsi kontysty.

— Albo dziś już obowiązuje nowe hasło...

— Być może — zgodzili się starsi kontysty. I zaraz dodali, że nowego hasła nie znają.

— Ta wieczna zazdrość — pomyślał sobie pan Jeziorko. Od tego czasu przestał im się kłaniać i zaczął na własną rękę odgadywać hasła. Wchodził np. do perfumerii i mówi: „Paweł i Gaweł w jednym stali domu“, wpada do sklepu z konfekcją i szepcze: „Wolność, Tomku, w swoim domku“, „nam strzelać nie kazano“, „co to za gospodarz co nie ma chałupy“, albo po prostu „Sezamie, otwórz się!“ Setki takich powiedzonek sypie jak z rękawa. Niektórzy śmieją się z niego i twierdzą, że te wszystkie hasła to bzdura. Ale pan Jeziorko patrzy na nich z politowaniem i dalej robi swoje. Jak dotychczas — bez skutku. Piekielnie trudna to sztuka odgadywanie haseł.

Tymczasem Cecylia Szpunt, ekspedientka tekstylna, stała się największą damą na całe Kantarki Małe, sypia już nawet w nylonowej bieliźnie, magazynier Józefat Świszcz kupił sobie nowy motor z jeszcze większą przyczepą, a były malarz Putak, ho, ho... Skończył już budowę domu i zakłada sobie właśnie sad z pasieką. Ci muszą codziennie używać niezawodnego hasła. Ale panu Emfazemu nie chcą uchylić nawet rąbka tajemnicy.

Kto wie, może to nawet i lepiej...

Władysław Cwik

Zbigniew Stepek

Koło Młodych

WYRÓŻNIONA STRONA

Reportażysta pewien
ze stolicy
co na pierwszej stronicy
się produkuje,
a także prozaik gruby
co nowele zamieszcza
na stronicy drugiej
oraz autor lirycznych wierszy
drukowanych na honorowej
stronicy trzeciej —
usiedli w kawiarni
przy stoliku
i dalejże naśmiewać się z satyryków:

że to oni zawsze —
na ostatniej stronie...
po prostu w ogniu
przebogatego twórczości wachlarza.

Jeszcze dobitniej to określili:

„na marginesie” —

czyli

że to są Muzy dzieci poronione.

Może i racja. Spróbuję jednak spytać:

— Czemu czytelnik ostatnią stronę
jako pierwszą zwykł czytać?

Zbigniew Stepek

W Ś R Ó D K S I A Ń Ż E K

Studium o Marii Dąbrowskiej

Lista tegorocznych nagród państwowych za osiągnięcia w dziedzinie literatury i sztuki przyniosła wśród nagród I stopnia sekcji literatury nazwisko Marii Dąbrowskiej, wyróżnionej „za całość twórczości literackiej”.

Liczni miłośnicy jej pięknego talentu przyjęli tę wiadomość ze szczególnym zadowoleniem.

Prawie równocześnie ukazała się książka młodego krakowskiego krytyka Włodzimierza Maciąga, poświęcona twórczości Marii Dąbrowskiej^{*)}.

Maciąg w końcowym ustępie studium, składając hołd pisarce, która „zasłużyła sobie na miano klasyka narodowej literatury”, przyznaje, że jego uwagi „nie mogą pretendować do wyczerpania wszystkiego, czy chociażby najważniejszego w książkach pisarki, bo każda wielka twórczość artystyczna jest dla czytelnika czy widza materiałem tak bogatym, że relacja przeżyć i wrażeń czerpanych z jej recepcji jest procesem niekończącym się”.

„Do Dąbrowskiej wraca się, pisze krytyk, z ufnym oczekiwaniem czytelniczego przeżycia, oczekiwaniem, które zawsze się spełnia i nigdy nie zawodzi. Piękno jej słowa jest niewyczerpaną skarbnicą wzruszenia”.

Zobaczmy kim jest Maria Dąbrowska w oświetleniu krytyka. Studium składa się z pięciu rozdziałów, zatytułowanych: Wczesne utwory, „Ludzie stamtąd”, „Noce i dnie”, „Znaki życia” i dramaty, Zakończenie. Poprzedza je krótka notatka biograficzna. Trzy rozdziały są mniej więcej rozmiarami równe, najwięcej uwagi poświęcono „Nocom i dniom”, notatki końcowe są już bardzo pobieżne i lakoniczne.

Maciąg zaczyna rozważania od ogólnego stwierdzenia, że wszyscy, zarówno czytelnicy jak krytycy, uznali zgodnie za jeden z najważniejszych uroków książek Dąbrowskiej: „niezwykłą obfitość wiedzy o świecie i człowieku, rzadko spotykane bogactwo wy-

darzeń, realiów i szczegółów, ludzkich przeżyć, uczuć i wrażeń”. Tę pochwałę stara się jednak natychmiast umniejszyć spostrzeżeniem, że jednak granice wiedzy Dąbrowskiej o świecie wcale nie są sznorkiem, poza nimi jest bowiem wiele ważnych, decydujących nawet dla epoki zagadnień i konfliktów społecznych, wiele spraw, którymi żyje współczesny człowiek.

Główna teza studium Maciąga brzmi: „Maria Dąbrowska nie należy do tego typu pisarzy, którym słusznie przyjęta postawa ideologiczna pozwala rozwijać się i doskonalić artystycznie. Jej twórczość rozwija się wbrew jej światopoglądowym przekonaniom, jej dzieła bogaciły się artystycznie w walce z oporem ideologii. Twórczość Marii Dąbrowskiej jest jednym z wielu przykładów, jak materiał życiowy, osobiste doświadczenie społeczne nie może pomieścić się w kusym kostiumie ideologii, jak surowa uczciwość pisarska zmusza do przełamania tych ciasnych barier. Dzieje narastania realizmu, dzieje artystycznego zwyciężania ideologii niedowładu — oto droga rozwoju pisarstwa Dąbrowskiej”.

Czy Maciągowi udało się pokazać w studium tę właśnie drogę rozwoju pisarstwa, czy zdołał przekonać czytelników, że Dąbrowska wciąż się błąkała, ulegała złudzeniom i tylko w „walce z oporem ideologii” tworzyła rzeczy dobre i piękne?

Przypatrzmy się głównym etapom tej drogi. Za największe, kolejne sukcesy Dąbrowskiej uważa Maciąg: „Uśmiech dzieciństwa” (1923), „Ludzie stamtąd” (1925) i „Noce i dnie” (1932).

Wzrusza się „Uśmiechem dzieciństwa” „pomimo świadomości, że świat, z którym obcujemy, jest światem eksploatatorów”. Podziwia „Ludzi stamtąd”, „tak olbrzymi, że aż niezupełnie zrozumiały skok naprzód w rozwoju sztuki pisarskiej Dąbrowskiej”. Pochłania go „bogactwo treści poznawczych” „Nocy i dni”. „Chyba tylko jeden Prus, klasyk realizmu krytycznego, obdarzony podobnym jak Dąbrowska upodobaniem do obfitości realiów, obfitości szczegółów, przewyższa pod tym względem naszą pisarkę”.

^{*)} Włodzimierz Maciąg, *Sztuka pisarska Marii Dąbrowskiej*. Wydawnictwo Literackie. Kraków, 1955. Str. 206 i 2 nłb.

Wszędzie jednak dostrzega zawężenie horyzontów poznawczych, stale stara się pokazywać, że realistyczne sukcesy pisarskie rodzą się wbrew światopoglądowym przekonaniom Dąbrowskiej, wbrew „ideologii niedowładu”.

Nie przekonał nas jednak krytyk o słuszności swych wywodów. Stały rozwój poglądu na świat Dąbrowskiej, która stopniowo przezwycięża więzy klasy i tradycji, która patrzy na świat coraz głębiej i szerzej, bogaci swe doświadczenia, ale zawsze odważnie walczy o to, co na danym etapie jej rozwoju wydaje się jej sprawiedliwe i najlepsze, jest naszym zdaniem nie zawily i kręty, ale prosty, wstępujący, doprowadza on do tych pięknych opowiadań, wobec których Maciąg, gdyby je także włączył do swych rozważań, nie wysuwałby już ideologicznych zastrzeżeń, bo „Trzecia Jesień”, a zwłaszcza „Na wsi wesele” pokazuje znakomicie, jak to już w „Kamieniu” zauważyła trafnie M. Bechczyc-Rudnicka, „typowość przeżywającej się nadbudowy z typowością linii rozwojowej naszego społeczeństwa”).

Zdaje mi się, że Maciąg tego stałego poszerzania się poglądu na świat Dąbrowskiej nie dostrzegł także z tego powodu, że nie śledził jej wystąpień publicystycznych, zawsze bardzo uczciwych i odważnych, nie zbadał też licznych wypowiedzi krytycznych, głosów o Dąbrowskiej z okresu dwudziestolecia, które wskazują, jak czytelnicy przyjmowali poszczególne dzieła pisarki i czym one dla nich wówczas były. „Noce i dnie” stały się np. nie tylko największym sukcesem beletrystycznym 1932 r., niespotykanym od czasów Żeromskiego, ale i powieścią bardzo gorąco dyskutowaną. Maciąg notuje z tej dyskusji tylko głosy Adamczewskiego i Flukowskiego, nie uwzględnia natomiast innych, często bardzo ciekawych, nawet obszernego studium K. W. Zawodzińskiego pt. „M. Dąbrowska. Historyczno-literackie znaczenie jej twórczości” (*Przegląd Współczesny*, 1933).

Z tego powodu nie widzimy w studium jak rosła sława i wpływ Dąbrowskiej i choć Maciąg głównie zajmuje się ideologią, nie śledzimy, jakie wartości wszczepliła powieściopisarka swoim liczным czytelnikom.

Tytuł studium Maciąga brzmi jednak „Sztuka pisarska M. Dąbrowskiej”. Można by się spodziewać, że poznamy za to dokładniej drogę doskonalenia się tego stylu, rozpatrzemy jego główne cechy i odrębności, dowiemy się nowych rzeczy np. o realizmie, o humorze Dąbrowskiej.

Czytelnik znajdzie w studium kilka trafnych spostrzeżeń, np. że „Uśmiech dzieciństwa”, pierwszy pełnowartościowy utwór Dąbrowskiej, wyróżnia się jasnością i klarownością stylu, że autorka zabiega o prostotę, że przy pomocy lakoniczności osiąga bardzo ciekawe efekty liryczne. Przy analizie „Ludzi stamtąd” powtórzy Maciąg zdanie Stefana Flukowskiego: język Dąbrowskiej jak gdyby nie istnieje. „Nie zauważamy go:

są tylko ludzie i rzeczy, które on powołuje do życia”. Rozwija tę myśl potem omawiając „Noce i dnie”. „Znaki życia” są, zdaniem Maciąga, wzorem sprawności kompozycyjnej, rzadkiego opanowania różnorodnych form nowelistycznych.

Głównym walorem stylu Dąbrowskiej, twierdzi znów słusznie Maciąg, jest realizm. Na temat rozwoju realizmu w twórczości pisarki umie Maciąg powiedzieć sporo bystrych spostrzeżeń. Dostrzega również wartości liryczne w kilku scenach, starannie przez Dąbrowską przygotowanych, np. pożegnania Bogumiła z Serbinowem.

Natomiast pomija zupełnie zagadnienie humoru w twórczości Dąbrowskiej, choć temat to ważny i bardzo wdzięczny zarówno przy rozważaniu wczesnych utworów pisarki, zwłaszcza „Uśmiechu dzieciństwa”, czy później bogatych w humor „Nocy i dni”. Ileż widzimy go np. w życzliwej charakterystyce Barbary, zazdrosnej i kapryśnej, w zabawnych portretach dzieci, np. Agnisi, w dowcipnych sylwetkach rozmaitych domowników i klientów szlacheckich dworaków. Tych pięknych cech stylu Dąbrowskiej Maciąg zupełnie nie widzi, a przecież świeżo rozkoszowaliśmy się doskonałym opowiadaniem „Na wsi wesele”, które może najlepiej uwydatniło ten ważny składnik stylu znakomitej pisarki.

O języku Dąbrowskiej też ma Maciąg mało do powiedzenia.

Czytelnik dowiedziałby się chętnie, jakie były oddziaływania na Dąbrowską Żeromskiego w pierwszym okresie jej twórczości, jak się z tego wpływu wyzwoliła; jakie są jej punkty styczności z Orzeszkową i Prusem, którym Dąbrowska poświęciła tak ładne wspomnienia, pominięte przez Maciąga.

Na usprawiedliwienie może przytoczyć Maciąg, że w ogóle zagadnienia języka i stylu naszych najznakomitszych pisarzy są dotąd przez krytyków prawie że nie tknięte, jakże więc on właśnie miał tym trudnym zadaniem podolać. Czytelnika wprowadza jednak w błąd tytuł szkicu, który pozwalał spodziewać się tu właśnie rozważań przede wszystkim z zakresu literackiego warsztatu.

Mimo tych zastrzeżeń studium Maciąga, napisane zajmująco, przynosi wiele cennych ujęć; mówi obszernie o ideologii pisarki; trafnie charakteryzuje główne postaci jej dzieł; zbliża czytelnika do bogatego jej twórczego dorobku.

Obok studium Melanii Kierczyńskiej o „Ludziach stamtąd”, zawartego w zbiorze „Spór o realizm” (1951), obok szkicu Ewy Korzeniewskiej „Z zagadnień realizmu „Nocy i dni” Marii Dąbrowskiej”, ogłoszonego w nr. 3—4 *Pamiętnika Literackiego* z 1952 r., trzecia to już powojenna wartościowa pozycja, która stara się pokazać kim jest dla nas Maria Dąbrowska, drogocenna perła współczesnej literatury polskiej.

*] Nr 3—4 z *ib.* artykuł pt. *Czułość a przeczułość.*

Wstęp do nauki o literaturze Stefanii Skwarczyńskiej

Ze szkoły średniej wynosimy wiadomość, że o tajemnicach rzemiosła pisarskiego mówili czytelnikom w różnych czasach rozmaite poetyki. Najważniejsze z nich: „Poetykę” Arystotelesa, list Horacego do Pizonów, „Sztukę poetycką” Boileau i „Sztukę rymotwórczą” Franciszka Ksawerego Dmochowskiego — poznaliśmy nawet w szkole w drobnych fragmentach.

Gorliwi i bliżej z literaturą związani zaglądali potem do prac Piotra Chmielowskiego, Gabriela Korbuta, Tadeusza Grabowskiego, Manfreda Kridla czy Romana Ingardena, aby dokładniej poznać co to jest literatura, jakie są sposoby tworzenia dzieła literackiego, co decyduje o treści i formie utworów¹⁾.

Poetyka nie miała jednak u nas przed wojną wielu odbiorców i badaczy. Ustępowaliśmy pod tym względem np. Związki Radzieckiemu, w którym ta dziedzina badań bardzo się rozwinęła i znalazła tysiące czytelników. Z radzieckiego przedwojennego dorobku dotarły do nas w przekładach tylko nieliczne pozycje np. W. Zirmunskij, „Wstęp do nauki poetyki” (1934) i B. Tomaszewski, „Teoria literatury. Poetyka” (1935).

Sytuacja zmieniła się gruntownie po wojnie. Zainteresowanie rzemiosłem literackim niepomiaralnie wzrosło wobec upowszechnienia kultury i poczytności dzieł literackich.

W 1946 r., nakładem „Książki”, ukazała się pod redakcją Kazimierza Budzyka zbiorowa praca pt. „Stylistyka teoretyczna w Polsce”. Nagłówek wydawnictwa „Z zagadnień poetyki” był zapowiedzią wznowienia, po wieloletniej przerwie, wileńskiego wydawnictwa prof. Kridla pod tym właśnie tytułem, które było przed wojną najbardziej chyba rewolucyjnym ośrodkiem polskiej nauki o literaturze i przyniosło między innymi prace najbardziej wówczas zbliżone do marksizmu Dawida Hopensztanda i Franciszka Siedleckiego. Niestety, zapowiedź ta nie została zrealizowana i seria „Z zagadnień poetyki” ograniczyła się do tego, jedyne po wojnie, a ósmego w całym zbiorze, tomu.

Pojawiło się za to sporo książek reprezentujących dorobek idealistycznej nauki o literaturze, np. K. Górskiego, St. Szumana, J. Parandowskiego, Wł. Tatarkiewicza²⁾. Wylicza je i ostrej ogólnej poddaje krytyce

Stefan Żółkiewski w rozprawie „Rozwój badań literatury polskiej w latach 1944—1954”³⁾.

Miłośnik literatury nie znajdował jednak dotychczas dostatecznej pomocy w krytyce marksistowskiej, która rzadko oceniała gruntowniejsze ukazujące się studia z zakresu nauki o literaturze, przeważnie formalistyczne.

Do nielicznych wyjątków należała np. obszerniejsza recenzja ciekawej i wartościowej książki Jana Parandowskiego „Alchemia słowa”, pióra Ryszarda Matuzewskiego, zatytułowana „Podzwonne mieszczańskiego estetyzmu”, przedrukowana potem w jego „Szkicach krytycznych” (1954).

Poloniści i historycy literatury znajdowali od 1948 r. oparcie w pracach Instytutu Badań Literackich. Ciekawe rozprawy zaczęły się pojawiać w „Pamiętniku Literackim”, czasopiśmie kwartalnym, poświęconym historii i krytyce literackiej, organie Instytutu. Wiele cennych prac zyskano w wydawnictwie Państwowego Instytutu Sztuki pt. „Materiały do studiów i dyskusji z zakresu teorii i historii sztuki, krytyki artystycznej, oraz badań nad sztuką”.

Miłośnik literatury nadal był jednak pozostawiony własnej orientacji i silniejsze podjęty do rozmyślań znajdował tylko przy lekturze studium Jana Kotta o „Lalce” Prusa (wyd. I. 1948) i wywołanej nim szerszej dyskusji, przy rozważaniu szkiców krytycznych Stefana Żółkiewskiego „Stare i nowe literaturoznawstwo” (1950) i Melanii Kierczyńskiej „Spór o realizm” (1951), szkiców Henryka Markiewicza „O marksistowskiej teorii literatury” (1952) czy pracy zbiorowej „Tezy Stalina o języku a metodologia badań literackich” (1952).

Wyczuwano się także brak przystępnego, nowoczesnego podręcznika, książki pomocniczej dla ucznia i nauczyciela, bo wydana w 1949 r. „Poetyka opisowa” M. R. Mayenowej, która postawiła sobie za cel tylko opis elementów artystycznego dzieła literackiego i ich układów, mimo zastrzeżeń autorki mocno była jeszcze formalistyczna i nie dawała pełnego poznania dzieła literackiego.

Na niedostatek szczegółowych, naukowo ugruntowanych prac poświęconych konkretnym zagadnieniom teoretycznym narzeka również Henryk Markiewicz w szkicu „Krytyka literacka w walce o realizm socjalistyczny 1944—1954” (1955).

Zrozumiałe jest więc zainteresowanie nie tylko krytyków literackich, ale i pisarzy i szerokich kół miłośników literatury najobszerniejszym z dotychczasowych wstępów do nauki o literaturze, pióra prof. Stefanii Skwarczyńskiej, którego już dwa pierwsze tomy, ogłoszone w 1954 r., rozrosły się do przeszło tysiąca stron.

Stefania Skwarczyńska od wielu lat pracuje nad teorią literatury. Ma bardzo rozległą w tej dziedzinie wiedzę i zgromadziła już ogromny materiał naukowy.

¹⁾ P. Chmielowski, *Metodyka historii literatury polskiej*. Warszawa, 1899. — G. Korbut, *Wstęp do literatury polskiej (Zarys metodyki badania literackiego)*. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego, 1921. — Tadeusz Grabowski, *Wstęp do nauki literatury, ze szczególnym uwzględnieniem literatury polskiej*. Nakład S. Jakubowskiego, Lwów, 1927. — M. Kridl, *Wstęp do badań nad dziełem literackim*. Wilno, 1936. — R. Ingarden, *O poznaniu dzieła literackiego*. Wydawnictwo Ossolineum, 1937.

²⁾ K. Górski, *Poezja jako wyraz*. Toruń, T. Szczepny, 1946. — S. Szuman, *O kunszcie i istocie poezji lirycznej*. Poligrafika, 1948. — J. Parandowski, *Alchemia słowa*. Gebethner i Wolff, 1950. — Wł. Tatarkiewicz, *Skupienia i marzenia. Studia z zakresu estetyki*. Kraków, M. Kot, 1951.

³⁾ *Pamiętnik Literacki*, 1954, Z. 4.

Tom I jej „Wstępu do nauki o literaturze” rozpada się na trzy części i omawia kolejno: przedmiot i zadania teorii literatury, strukturę treści w dziele literackim, kompozycję dzieła literackiego. Tom II przynosi część czwartą całości poetyki, rozbitą na rozdziały: ogólna problematyka tworzywa językowego, ważniejsze aspekty problematyki stylu, organizacja retoryczna wypowiedzenia i jej aspekt stylistyczny, ważniejsze aspekty organizacji wersyfikacyjnej wypowiedzi. Tom III zapowiada omówienie rodzaju literackiego i zagadnień w kręgu twórcy i odbiorcy ⁴⁾.

W ten sposób czytelnik otrzyma wszechstronny wstęp do nauki o literaturze, najobszerniejszy w nauce polskiej, a bodajże jeden z najrozleglejszych w literaturze w ogóle.

Nim krytyka marksistowska oceni spokojnie i gruntownie to ogromne dzieło w pracy chyba zbiorowej, bo każdy z wymienionych działów wymaga biegłego specjalisty, minie zapewne sporo jeszcze czasu. Moim zadaniem jest tylko poinformować czytelników „Kamery”, jaka ich czeka lektura.

„Wstęp do nauki o literaturze” jest ciekawy i cenny, wymaga jednak od czytelników dużej ostrożności i uwagi. Skwarczyńska nie ma daru jasnego i przystępnego wykładu. Nie wypowiada sądów zdecydowanych. Referuje pozornie obiektywnie cały, niezwykle obfity materiał, gromadzi wielkie bogactwo wskazówek bibliograficznych, stara się jakoby pogodzić dalekie poglądy, idealistyczne i materialistyczne, ale z doboru przykładów i ujęcia całości od razu można wywnioskować, że Skwarczyńska nie jest marksistką.

Podam na dowód, ile trudności może mieć czytelnik „Wstępu” przy decyzji, co uznać a co z wykładu odrzucić, dwa bardzo charakterystyczne przykłady.

Mówiąc o strukturze treści w dziele literackim przeprowadza Skwarczyńska przegląd tzw. wielkich form w sztuce. Pisze więc o realizmie, naturalizmie, idealizmie, czystym konstruktywizmie, karykaturalizmie i groteskowości. Realizm uwarunkowany ideologią klasy robotniczej, przedstawiający rzeczywistość w jej dynamizmie rozwojowym, nazywa realizmem socjalistycznym. W sposób jednak nie przekonujący rozpisuje się niebawem o realizmie katolickim, jako że katolicyzm ma być z istoty swej realistyczny i musi się rzekomo odżegnywać od zaliczenia jego filozoficznych

podstaw do rzędu systemów idealistycznych. Realizm katolicki „w imię szacunku wobec obiektywnego świata dąży — zdaniem Skwarczyńskiej — do pełnego odzwierciedlenia całej rzeczywistości w takim zakresie i ustaleniu, jakie dyktuje katolicka ontologia”. (T. I, str. 110). Cały ten wywód, moim zdaniem, nie jest do przyjęcia.

Przykład drugi. W rozdziale zatytułowanym „Aspekt foniczny wypowiedzenia a stylistyka”, zastanawiając się nad instrumentacją głoskową, przeprowadza Skwarczyńska interesujący rozbiór fragmentu znanego wiersza Kazimierza Tetmajera: „A kiedy będziesz moją żoną...”

W słowach poety:

„...i padnie biały kwiat lipowy
na rozkochane nasze głowy”

widzi Skwarczyńska w obrazie „białego kwiatu lipowego” pewne odchylenie od realistycznej obserwacji, bo kwiat lipowy jest przecież bladożółty i to nasuwa jej nagle skojarzenie przez słowa „biały” i „padać” z obrazem padającego śniegu. I tu zadaje Skwarczyńska, chyba żartobliwe, zapytanie: „Czy jednak w tym ideowo tematycznym zwrocie, gdy poeta nagina się do opiewania miłości do narzeczonej — żony, gdy otwiera z afirmacją perspektywę małżeńskiego życia w klatce mieszczańskiej szczęśliwości, w klatce „mieszczańskiego domu” — nie wymyka mu się ton buntu w stylu młodopolskiej cyganerii właśnie owym zasugerowanym obrazem padającego białego, zimnego śniegu, obrazem, który „przygasza” żar miłosnego zapалу? A jeśli tak, to jesteśmy w epoce: asystujemy wewnętrznym rozgrywkom klasy mieszczańskiej w początkowym etapie imperializmu”. (T. II, str. 187). Powtarzam — to chyba żart. Gdybyśmy stawiali podobne pytanie serio, analizy dzieł literackich byłyby i bardzo niebezpieczne i czasami chyba bardzo zabawne.

Ze „Wstępu do nauki o literaturze”, mimo tych zastrzeżeń, może się jednak czytelnik bardzo wiele nauczyć, zwłaszcza z dziedziny struktury i kompozycji dzieła, z tajników artystycznej techniki, stylu i wersyfikacji.

Polemika, jaką „Wstęp” zapewne wywoła, powinna się wydatnie przyczynić do zbliżenia badacza i miłośnika literatury do zagadnień twórczości i techniki literackiej.

Na taką polemikę czekamy. Życzy jej sobie zapewne i prof. Skwarczyńska, bo przecież największą satysfakcję dają autorowi dowody, że dzieło jego jest poczytne i pobudza innych do wymiany poglądów i do dalszych badań nad literaturą.

Stefan Papée

⁴⁾ Szkice z zakresu teorii literatury. Lwów. 1932. — Teoria listu. Lwów. 1938. — Z teorii literatury. Cztery rozprawy. Łódź. 1947. — Systematyka głównych kierunków w badaniach literackich. T. I. Łódź. 1948. — Studia i szkice literackie. Warszawa. 1953. — Wstęp do nauki o literaturze. T. I. Pax. Warszawa. 1954. Str. 474. — T. II. Pax. Warszawa. 1954. str. 572.

Nie jestem „kis“, nie jestem „nagy“, a jednak...

W nr. 30 „Świata“ z dnia 31 lipca br. jest artykuł Janusza Weyrocha pt. „Czy pan jest „kis“ czy „nagy“. Przeczytałem go z zainteresowaniem i westchnąłem. Westchnąłem gorzko. Weyroch opisuje dom towarowy w Budapeszcie, pozornie podobny do czterdziestu innych domów towarowych, ale mający jedną właściwość. Mogą w nim bowiem zaopatrywać się w odzież i galanterię męską wszyscy panowie zbyt drobnych lub zbyt dużych wymiarów. Bucik nr 25 lub kapelusz nr 62 to mucha dla tego domu towarowego. Nawet rozmiary większe czy mniejsze od wymienionych nie powodują konsternacji u sprzedawców. Ludzie o olbrzymich głowach czy obywatele o lilipucich nóżkach z łatwością zaopatrzą się w pożądaną artykuły, tylko ludzie o wymiarach normalnych lub zbliżonych do normalnych nie mają tam czego szukać. To dom towarowy nie dla nich. Do ich dyspozycji jest czterdzieści innych domów towarowych zaopatrzonych we wszystko. Przeczytałem artykuł od deski do deski i westchnąłem gorzko. Bo nie jestem „kis“, to znaczy zbyt mały, ani „nagy“ to jest wielki. Mam 170 cm wzrostu. Obwód głowy 58 cm. Obwód szyi — 40 cm. Buty noszę nr 28 lub 29. A jednak mam pecha, bo mieszkam w Lublinie. Przed wyjazdem na wczasy obiegłem całe miasto w poszukiwaniu płótniaków na sznurkowej podeszwie. Owszem

były. Ale numery małe. Największy rozmiar, jaki zdołałem wykryć, był nr 27. To samo dotyczyło obuwia letniego na gumie mikroporowatej.

— Chciałbym kupić buciki letnie na gumie nr 29 — zwróciłem się uprzejmie do sprzedawcy.

— Każdy by chciał — odparł filozoficznie — mamy numery 26 i 27.

Takie odpowiedzi usłyszałem w kilku innych sklepach.

Podobnie skwitowano mnie w sklepach z bielizną. Koszule letnie nr 40 okazały się nie do zdobycia. Przypomniałem sobie, że gdy jesienią ubiegłego roku usiłowałem kupić kapelusz nr 58, natrafiłem na analogiczne trudności.

Nie wiem, czy w Lublinie można kupić kapelusz nr 65 tak jak w Budapeszcie lub koszulę dla człowieka, którego szyja ma obwód 45 cm., ale za to panowie drobnowymiarowi czują się w naszym mieście jak ryby w wodzie. Dla nich pracuje przemysł odzieżowy i bielizniarski. Ich uprzejmym wzrokiem witają sprzedawcy. A ja jestem człowiek normalny czyli wyklęty. Czasami na wystawie widzę model odpowiedni. Wpadam do sklepu, by po chwili usłyszeć odpowiedź: „Z wystawy nie sprzedajemy, dopiero po zmianie dekoracji“. A gdy dekoracja się zmieniła, dowiaduję się, że jakiś inny normalny mnie ubiegł. Duplikatów natomiast sklep nie posiada.

Sprawa ponura

Rozkosze wczasów to słońce, kąpiel i spacer. Lubliniacy, którzy w obecnym sezonie wyjeżdżali do Ustronia Morskiego, mogli do woli rozkoszować się wymienionymi elementami. Dużo słońca, dużo wody (również tej z góry) i piękne spacer. Ustronie Morskie jest jednym z najpiękniejszych zakątków naszego wybrzeża. Piękny las, w którym rosną dęby, buki, brzozy, olchy i jodły, wydziela wspaniałe aromaty. Pofałdowanie terenu przypomina Lubelszczyznę z okolic Puław i Kazimierza.

Jedną z popularniejszych tras spacerowych jest droga wiodąca do wsi Łasin, powiatu koszańskiego (Ustronie leży w powiecie kołobrzeskim tuż przy granicy powiatu). Droga wiedzie łagodnymi wzgórzami do pięknej alei wysadzonej starodrzewem, a ta do osiemnastowiecznego pałacu, w którym według jednej z wersji często przebywał Hitler z Ewą Braun. Pałac podczas wojny został poważnie uszkodzony. Dziś główny budynek i jedno skrzydło zostały rozebrane. Cegłę przeznaczono na zabudowania gospodarce w po-

bliżu PGR. Ale wspaniały stary park, sad owocowy i zarosły rzęsą staw przyciągają spacerowiczów.

O kilkaset metrów dalej stoi stary opuszczony kościółek — budowla, która przyciąga uwagę wszystkich przyjezdnych. Kościółek — jak wskazują fragmenty, pierwotnie romański — przebudowany został w stylu wczesnego gotyku. W okresach późniejszych czyniono poprawki niekoniecznie potrzebne. Na szczęście było ich niewiele. Kościółek stoi na starym zarośniętym cmentarzyku. Przy pełni księżyca całość robi wrażenie romantycznego uroczyska. O dawności tego zakątka świadczą dwie tuje wyrosłe w duże drzewa. Obwód pnia jednej z nich przy ziemi ma ponad dwa metry. Takich drzew tujowych w naszym klimacie jest bardzo mało. Legitymują się one setkami lat.

Trzy lata temu kościółek był zamknięty. Dość się do niego można było niewielkim bocznym wejściem. Gotycki ołtarz, stare grobowce, tablice kamienne i chór wzbudzały zainteresowa-

nie. A dziś kościółek stoi otworem... stare bowiem, kute w żelazie drzwi wyłamano i zabrano. Ołtarz rozbity i rozebrany. Chór gruntownie zniszczony. Grobowce rozbite tak jak i znajdujące się w nich trumny, z których kości zmarłych zostały wyrzucone. Poza tym widać ślady zanieczyszczeń. Zabytkowa gotycka dachówka jest rozszabrowana. Widocznie używana jest na pokrycie nowych budynków. Pęknięcia ścian wieży i głównej nawy są tak znaczne, że spodziewać się należy zawalenia się murów w najbliższych latach czy nawet miesiącach. Czego nie dokonała barbarzyńska ręka człowieka, dokona czas wspomaga-

ny przez wodę, zamarzającą w okresie zimowym w szczelinach, i gwałtowne wiatry nawiedzające te okolice.

Uzucie przygnębienia rodzi się, gdy patrzy się na smutny los zabytkowej budowli. Niewątpliwie winę ponosi tu w pierwszym rzędzie komórka konserwatorska województwa koszalińskiego. Sprawa ta jednak nie jest tylko sprawą lokalną. Powinna ona odbić się echem i w Warszawie. Zainteresować się nią powinno również Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz odpowiednie kompetentne czynniki.

„Ladacznica z zasadami“ dla „młodzieży szkolnej“

Jedną z największych atrakcji kulturalnych na Festiwalu były występy zagranicznych zespołów teatralnych, a wśród nich francuskiego. Ilu ludzi znających jako tako język (nie mówiąc o tych co dobrze) marzyło, aby dostać bilety np. na występ „Teatru 14 lipca“.

W dniu 11 sierpnia br. teatr ten w sali „Syreny“ dał program złożony ze sztuk: „Syzyf i śmierć“ R. Merle'a i „Ladacznica z zasadami“ Sartre'a.

Widownia była zapełniona po brzegi. Tylko publiczność była nieco dziwna, większość jej bowiem składała się z młodzieży szkolnej szkół podstawowych. Wśród niej poważny procent stanowiły mundurki harcerskie. Już pobieżny rzut oka wskazywał, że młodzież nic nie rozumie z te-

go, co się dzieje na scenie, toteż uwaga jej wkrótce się rozproszyła. Część zmęczonej wielogodzinnym ruchem dzieciarni zasnęła, inni najwyraźniej znudzeni rozmawiali, szurali nogami i różnymi gestami wyrażali swe niezadowolenie. Niektórzy chłopcy, bardziej przedsiębiorczy, opuszczali salę.

Okazało się, że organizatorzy spudłowali. Chcąc zrobić gościom zagranicznym frekwencję, zwieźli ciężarówkami młodzież szkolną i zapełnili nią salę. A tymczasem liczni amatorzy francuskiego teatru, ciekawi sztuk Merle'a i Sartre'a, odeszli z kwitkiem. Był to czyn festiwalowy, który wywołuje rumieniec wstydu i gniewu. Organizacja tak poważnej imprezy powinna była znaleźć się w lepszych rękach.

Gdybyś wiedział, Homerze

Tegoroczna wystawa rolnicza w Lublinie ma swoje blaski i cienie. Piszemy o niej na innym miejscu. Tutaj chcemy poruszyć sprawę swoistą wiążącą się z działem hodowlanym. Że rolnicy hodują — wiadomo, że wystawiają — wiadomo. Ale mają jeszcze jedną specjalność, na którą opinia publiczna nie zwraca dostatecznie uwagi. Oto nadają okazom hodowlanym różne nazwy. I to nie byłoby dziwne, gdyż nadawanie nazw zwierzętom domowym ma swą dawną tradycję. Co innego zwraca uwagę — wybór nazw. Np. okazały knur rasy WB(a) nazwany został... Homerem. Zapewne twórca „Odyssei“ i „Iliady“, gdyby żył,

zdumiałby się wielce, gdyby skonstatował, że jego sława sięgnęła aż do chlewni. Właściciele knura mieszkają w Dębicy, woj. rzeszowskiego.

Dobrze, że inni hodowcy nie poszli za przykładem wykształconych rzeszowiaków i korzystając z okazji, że mamy rok mickiewiczowski, nie nazwali jakiego ogiera lub okazałego buhaja Mickiewiczem.

Proponujemy, aby jakieś wydawnictwo rolnicze wprowadziło stałą rubrykę dla swych czytelników: słownik nazw właściwych dla świń, koni, krów i owiec.

W. G.

„Kamena”, organ Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Redaguje Kolegium

Wydawca: Kolegium wydawnicze

Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c

Telefon: 36—45

Redakcja czynna od godz. 12 do 14

Administracja — od 10 do 14

Okladka wg projektu Jana S. Miklaszewskiego

WŚRÓD KSIĄŻEK:

Stefan Papée — Studium o Marii Dąbrowskiej; Stefan Papée — Wstęp do nauki o literaturze Stefanii Skwarczyńskiej 62

DRZAZGI SPOŁECZNE:

W. G. — Nie jestem „kis”, nie jestem „nagy”, a jednak...; Sprawa ponura; „Ladacz-nica z zasadami” dla „młodzieży szkolnej”; Gdybyś wiedział, Homerze... . . . 66

SPROSTOWANIA

Na prośbę dr. Jerzego Starnawskiego, autora artykułu pt. „Listy Prusa do narzeczonej i żony” (Nr 3—4 „Kamena” z rb.), podajemy do wiadomości, że artykuł ten został wydrukowany w formie skróconej. Jednocześnie prostujemy trzy błędy drukarskie w tym artykule:

s. 76, wiersz 24 od dołu — winno być: „na str. 121” zamiast „k. 21”;

s. 76, wiersz 16 od dołu — winno być: „na str. 122” zamiast „22”.

s. 78, przypisek 12) zamiast „v. s. 9”, odnoszącego się do stron w maszynopisie artykułu — winien być umieszczony przypisek, który omyłkowo wydrukowany został jako 14) na końcu artykułu.

W artykule „Fragment recepcji Sienkiewicza w Lublinie” („Kamena” Nr 5—7 z 1955 r.), omawiając pobyt Sienkiewicza w Lublinie w 1891 r., wymieniłem datę na podstawie „Kalendarza życia i twórczości Sienkiewicza”, opracowanego przez prof. Juliana Krzyżanowskiego, stwierdzając, że prof. Krzyżanowski nie podaje źródła tej wiadomości. Źródło to jednak zostało podane: „Godlewski” L 108—109. Oznacza to listy Sienkiewicza do Godlewskiego, które będą miały N-ry 108 i 109 w przygotowanym zbiorze listów Sienkiewicza. Pozycja ta wymieniona została przed artykułem Biernackiego, a przy tym wobec nie ogłoszenia dotąd korespondencji Sienkiewicza do Godlewskiego nic nie mówiła autorowi artykułu. Stąd nastąpiła pomyłka.